



SCOTT STAMBACH

Niewidzialne
życie Iwana
Isajenki

O miłości niemożliwej, i chorobie, która wbrew nadziei staje się szansą.
Dojrzała wersja powieści *Gwiazd naszych win* i *Oskar i pani Róża*.

Prószyński i S-ka

SCOTT STAMBACH

Niewidzialne
życie Iwana
Isajenki

Przełożyła
Anna Kłosiewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE INVISIBLE LIFE OF IVAN ISAENKO

Copyright © 2016 by Scott Stambach
Published by arrangement with St. Martin's Press, LLC
All rights reserved

Projekt okładki
Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce
© Wojciech Zwolinski/Arcangel Images;
Emerald Shatto/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Maciej Korbaśiński

ISBN 978-83-8097-814-0

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Mojej Mamie, której imię brzmi pięknie
w każdym języku*

+

Dla Josephine

PRZEDMOWA

Poniższy tekst został odnaleziony przez irlandzkiego dziennikarza podczas kręcenia filmu dokumentalnego na terenie szpitala dziecięcego w Mozyrzu na Białorusi. Spisano go niemal nieczytelnym pismem na wystrzępionych, poplamionych różnymi substancjami, od kawy po barszcz, kartkach. Kilka lat później za sprawą szeregu zbiegów okoliczności trafiły one w ręce pełnego zapału doktoranta nowojorskiego uniwersytetu, W.P. Kalisha, który scalił i zredagował tekst, a następnie przepisał go na komputerze.

Autorem tekstu był siedemnastoletni pacjent wspomnianego już szpitala, Iwan Isajenko. Z powodów, które szybko staną się oczywiste, Iwan będzie znacznie lepszym narratorem własnej historii niż ktokolwiek z nas, pozostawmy więc to zadanie w jego rękach. Na razie chcielibyśmy jedynie podkreślić dwie kwestie, by naświetlić kontekst całej opowieści, jak również naszą rolę w jej publikacji.

Po pierwsze, jak większość pacjentów szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu, Iwan cierpiał na kilka poważnych schorzeń stanowiących najprawdopodobniej skutek działania chmury radioaktywnych pyłów, które dostały się do atmosfery w następstwie wybuchu reaktora atomowego w Prypeci na Ukrainie 26 kwietnia 1986 roku. Z powodu braku współpracy ze strony personelu szpitala nie znamy dokładnej diagnozy, jednak amerykańscy lekarze, z którymi konsultowaliśmy ten przypadek, orzekli, że Iwan najprawdopodobniej urodził się z zespołem Bealsa, któremu towarzyszyło kilka innych anomalii genetycznych.

Po drugie, choć staraliśmy się zachować historię Iwana w jej pierwotnej formie, uznaliśmy za konieczne wprowadzenie kilku drobnych zmian. Przede wszystkim poprawiliśmy błędy gramatyczne oraz interpunkcyjne tam, gdzie intencje autora były dla nas jasne. Poza tym w kilku przypadkach Iwan używa słowa typowego jedynie dla języka rosyjskiego albo takiego, którego konotacje trudno w tłumaczeniu oddać. W takich sytuacjach pozostawialiśmy w tekście rosyjski zwrot, dodając jedynie przypis wyjaśniający jego znaczenie. Zdarzały się również rosyjskie idiomy, niemające bezpośredniego angielskiego odpowiednika. W takich przypadkach zastępowaliśmy je angielskimi idiomami o najbardziej zbliżonym znaczeniu albo też tłumaczyliśmy takie zdanie omownie, byle tylko zachować sens.

Zanim jednak oddam czytelników w ręce Iwana, chciałbym opowiedzieć pewną

anegdotkę. Na proszonych kolacjach czy koktajlach często jestem zasypywany pytaniami o tajemne życie redaktora. Teraz mam już na takie sytuacje jedną ripostę – po prostu pompatycznie odpowiadam, że czasem czuję się jak Bóg. Pomagam tworzyć nowe światy i decyduję o tym, które z ludzkich marzeń zostaną wypuszczone w przestrzeń, by trafić do świadomości zbiorowej. Mówię tak od lat, więc jakaś częśćka mnie chyba rzeczywiście w to wierzy.

Jednak raz na jakiś czas w moje ręce trafia historia, w której mój głos nie ma żadnego znaczenia – historia, w przypadku której prawdziwą zbrodnią byłoby nie wygładzić tekstu jedynie minimalnie i nie posłać go w świat w jak najbardziej prawdziwej formie. Byłoby to niewybaczalne, ponieważ istnieją takie miejsca na świecie, gdzie ludzkie słowa giną niewysłuchane, słowa przesycone udręką, a jednocześnie tak pełne życia, tak niezwykle, a przecież tak znajome, że trafiają do tych, którzy mogą im przetrzeć szlak do ludzkich serc i umysłów.

Historia Iwana jest właśnie jedną z takich opowieści.

James C. Bigley
Nowy Jork, czerwiec 2014 roku

CZĘŚĆ PIERWSZA

Lista obecności

*Zegar wskazuje godzinę 23.50.
Jest drugi grudnia 2005 roku.*

I

Znieczulenie Iwana Isajenki

Drogi czytelniku, którego nie znam, którego może nawet nigdy nie będzie, piszę nie dla ciebie, lecz dla samego siebie. Piszę, bo nie mogę zasnąć. Piszę, bo Polina nie żyje.

Jestem wstawiony – upiłem się trzema nakrętkami wódki wypitymi na pusty od trzech dni żołądek. To dzięki siostrze Natalii. Tylko ona wie, co tak naprawdę straciłem. Jest dla mnie niczym matka, której nigdy nie miałem, sama zresztą też traktuje mnie jak syna. I jak każda dobra matka czuwa nade mną. Od dwóch dni zagląda do mnie dosłownie co piętnaście minut. Tej nocy zrobiła to siedem razy, a ponieważ ciągle nie spałem, za ósmym zjawiła się z butelką stolicznej.

– Otwórz usta, Iwanie – powiedziała. – To pomoże ci zasnąć.

Wlała mi zawartość nakrętki do ust, przyprawiając mnie o atak kaszlu i niemal torsje, kiedy jednak chciała sobie pójść, chwyciłem ją za rękę i poprosiłem o więcej. Zawahała się, w końcu jednak napełniła nakrętkę ponownie i wlała mi jej zawartość do gardła.

– Jeszcze – poprosiłem.

Popatrzyła na mnie groźnie, jakby chciała powiedzieć, żebym nawet nie ważył się prosić o więcej, potem jednak, pełna współczucia, napoiła mnie kolejną porcją. Teraz wreszcie dobrze się czuję. Nie na tyle, by zasnąć, ale wystarczająco, by móc pisać.

Muszę ci przecież opowiedzieć o tym miejscu, mój drogi czytelniku. O moich przyjaciółkach, o których nigdy nie powiedziałbym na głos, że nimi są. O ukochanej, choć nigdy nie przyznałbym otwarcie, że ją kochałem. Bo jeśli nie spróbuję opisać naszego świata tu i teraz, na tych wybrudzonych nie wiadomo czym świstkach papieru, na których skrobię jak szalony niemal całkiem wypisanym długopisem, obawiam się, że wszyscy rozplątniemy się w mrokach niepamięci jako bezimienna masa. A przecież

zasługujemy na coś więcej. Mam nadzieję, że po skończonej lekturze przyznasz mi rację.

II

Spektrofobia

Mam siedemnaście lat, jestem mniej więcej mężczyzną i mieszkam w szpitalu dla odmieńców. Po raz pierwszy natknąłem się na nazwę tego miejsca – szpital dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu – w jakichś dokumentach, które znalazłem przypadkiem w świetlicy, ale nigdy w życiu nie zdołałbym go wskazać na mapie. Wiem tylko, że szpital znajduje się gdzieś w południowej Białorusi, w mieście, które zapewne nazywa się Mozyrz. Nigdy nie poznałem rodziców, ale o ile mi wiadomo, kiedy matka wreszcie wydała mnie na świat, spojrzała tylko raz na potwora, którego nosiła pod sercem, a potem czym prędzej porzuciła go na schodach najbliższej cerkwi z obawy, że padła ofiarą tej radzieckiej klątwy, o której tyle mówili w radiu. Tak się składa, że ta sama klątwa była odpowiedzialna za problemy z tarczycą u koni i fakt, że zwierzęta we wschodniej Europie łyślały bardziej niż Gorbaczow.

Ja tymczasem jestem tak odrażający, że w rezultacie rozwinęła się u mnie wręcz obezwładniająca fobia przed wszelkimi powierzchniami, w których można się przejrzeć (oraz przed wszystkim, co przypomina mi o moim wyglądzie). Dla dobra mej opowieści dzielnie stawię jednak czoło tej prawdzie i opowiem ci, czytelniku, jak obeszła się ze mną natura. Moje ciało jest tak straszliwie niekompletne. Mam tylko jedną rękę (lewą), z dłonią wyposażoną jedynie w dwa palce i kciuk, natomiast w miejscu pozostałych kończyn znajdują się krótkie, nieforemne kikuty, którymi mogę poruszać z wielkim wysiłkiem. Skórę mam niemal przezroczystą, przebija przez nią skomplikowana sieć słabych żył. Mięśnie mojej twarzy mają niewiele połączeń nerwowych z mózgiem, więc całość przypomina nieruchomą, sflaczałą maskę, co sprawia, że wyglądam jak kompletny idiota, zwłaszcza kiedy coś mówię. Ze wszystkich moich niedostatków ten okazał się jednak choć trochę przydatny, ponieważ pozwala mi udawać śpiączkę, kiedy nie mam ochoty na kontakty z lekarzami czy innymi pacjentami (czyli prawie zawsze). Zwykle jednak chodzi po prostu o to, by móc się schronić przed piekłem otaczającej mnie rzeczywistości w odrobinę bardziej znośnym piekle własnego umysłu. Przynajmniej wtedy mogę marzyć o zupełnie innym życiu, śnić, że jestem Spartakusem, dalajlamą, amerykańskim gwiazdorem – Michaelem

Jacksonem czy Eminemem, Oskarem Schindlerem, Oprah Winfrey, Carlem Saganem, Larrym Flintem (z czasów, kiedy nie był jeszcze przykuty do wózka), jakimś znanym rosyjskim pisarzem czy Konfucjuszem, by wspomnieć zaledwie parę możliwości.

III

Dzień, w którym zyskałem świadomość

Niewielu ludzi ma ten luksus, że potrafi przywołać swoje pierwsze wspomnienie. Wiem o tym, bo pytałem siostrę Natalię, Ridicka i mojego jedenastego terapeutę, doktora Dubowa, i żadne z nich nie potrafiło sobie przypomnieć czegoś takiego. Moje pierwsze wspomnienie tymczasem jest jasne i wyraźne – jeden szybki policzek, wymierzony prosto w twarz, a potem widok mojego zęba lądującego gdzieś w drugim kącie pokoju. Nigdy go zresztą nie znalazłem. Na szczęście był to tylko mleczak, bo miałem wtedy zaledwie cztery lata. No więc właśnie sprzed tego momentu nic nie pamiętam. Dosłownie nic, nawet ciemności. Po prostu jedna wielka pustka. Ciemność i pustka bardzo się od siebie różnią. Większość ludzi tego nie dostrzega. Ja jednak wolę pustkę od ciemności.

– Połknij je, Iwan! No, łykaj! – wrzeszczała, ściskając mi policzki tak mocno, że w końcu usta same mi się otworzyły niczym portmonetka z papieru, a potem wcisnęła do środka kilka białych sowieckich pastylek.

Plunąłem jej nimi prosto w twarz.

– Iwan, no co za *chuj morżowyj* z ciebie!¹. Weź wreszcie to lekarstwo!

Najwyraźniej stanowiłem prawdziwy wrzód na tyłku, jeszcze zanim podjąłem decyzję, że nim się stanę. Nie pamiętam, jakie to było lekarstwo ani dlaczego nie chciałem go połknąć (ostatecznie to przecież moje pierwsze wspomnienie). Pamiętam jedynie wyraz twarzy tej pielęgniarki, na której malowało się tyle rzeczy. Na przykład myśl: „Nienawidzę miesiączki”. Albo: „Nienawidzę też tylu innych rzeczy, że nie potrafię już odróżnić między tym wszystkim, czego tak naprawdę nienawidzę, a tobą”. A także: „Co to wszystko ma, do kurwy nędzy, znaczyć?”. I jeszcze: „Przecież wcale się taka nie urodziłam, ja się taka nie urodziłam”.

Malowało się tam jeszcze mnóstwo innych rzeczy, ale chyba już rozumiecie ogólny sens.

Nie znosiłem tej pielęgniarki. Moim zdaniem nikt, kto ma wszystkie części ciała na swoim miejscu, nie może sobie pozwalać na tego rodzaju myśli. Zanim w ogóle poznałem jej imię (przezywałem ją *czornyj puch* od owłosionego pieprzyka nad jej

górną wargą), zginęła podczas przypominającej prawdziwy huragan zawieruchy, spadając z dachu szpitala, dokąd wymknęła się na papierosa.

1 Po rosyjsku oznacza to mniej więcej tyle co „penis morsa”.

IV

Chłopak w śpiączce

Świat poza murami szpitala znam właściwie wyłącznie z obrazów migających na ekranie czarno-białego telewizora w świetlicy. Kiedy jednak nie oglądam akurat telewizji albo nie wpatruję się w któreś ze szpitalnych zakratowanych okien, uwielbiam udawać coś na kształt katatonii, żeby podsłuchiwać rozmowy pielęgniarek i lekarzy. To właściwie jedyny sposób, by zdobyć najświeższe wiadomości. Kiedy zapadam w tę udawaną śpiączkę, dorośli przestają się pilnować i wreszcie mówią to, co naprawdę myślą. Poza tymi krótkimi chwilami szczerości w rozmowach z pacjentami zwykle paplają bez sensu jak do maluchów albo wciskają nam kłamstwa wymyślane tylko po to, by sprawy wyglądały lepiej niż w rzeczywistości. Chociaż mój świat jest tak ograniczony, dzięki odrobinie wyobraźni potrafię tworzyć z tych okruczeń informacji zajmujące historie, w których niezmiennie odgrywam główną rolę. Grywam w nich rozmaite postacie, od bohatera po czarny charakter, nigdy nie jestem jednak wyłącznie obserwatorem, czyli tym, kim w rzeczywistości, w każdej minucie mojego życia. Zresztą bardzo sobie cenię tę wolność – dawno temu zrozumiałem, że rzeczy, które rozgrywają się wyłącznie w moim umyśle, nie mają zgubnych skutków.

Siostra Natalia dosyć szybko zorientowała się, że udaję te ataki katatonii, i delikatnie dała mi do zrozumienia, że o wszystkim wie. Uświadomiła mi to w sposób, który idealnie do niej pasował. Podsunęła mi pod nos zdjęcie znanej (i bardzo nagiej) białoruskiej aktorki, a potem rzuciła zachęcająco:

– Piękna dziewczyna, prawda, Iwanie? Taka piękna naga kobieta, co?

A kiedy już udało jej się przykuć moją uwagę, bo przecież byłem wtedy tylko beznadziejnie napalonym, pozbawionym seksu nastolatkiem, gwałtownie cofnęła rękę. Natychmiast powędrowałem pożądlivym wzrokiem za fotografią i wszystko się wydało. Nie musiałem jednak nic tłumaczyć, siostra Natalia doskonale wiedziała, co mną kierowało. Zamiast próbować mnie zawstydzić, jak zrobiłyby pewnie inne pielęgniarki, usadziła mnie przed sobą i zaczęła wypytywać o zainteresowania. Kiedy wyznałem jej, że nie mam żadnych, tylko machnęła ręką i wyszła. A następnego dnia

przyniosła mi zniszczony egzemplarz *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa w miękkiej oprawie. Pochłonałem książkę w trzy dni i poprosiłem o więcej. Od tamtej pory siostra Natalia ciągle przeszukiwała półki bibliotek i antykwariatów, by dostarczyć mi lektury. A w dni, kiedy jestem zbyt chory czy nafaszerowany lekami, by czytać, opowiada mi historie na rozmaite osobliwe tematy, od torfowisk człowieka z Tollund, poprzez zbudowaną z kości katedrę pod wezwaniem świętej Urszuli, aż po stosowane przez Kleopatrę techniki uwodzenia. Któregoś razu zapytałem ją, jakim cudem wie aż tyle o świecie zewnętrznym, skoro tkwi uwięziona w tym szpitalu prawie tak jak ja.

– Niewiele mi brakowało do zrobienia doktoratu, Iwanie – odparła. – Ale na uniwersytecie człowiek jest jeszcze bardziej samotny niż w szpitalu.

Któregoś dnia delikatnie zasugerowała mi, że powinienem zacząć spisywać wszystkie te historie rozgrywające się w mojej głowie podczas ataków pseudokatatonii. Jej zdaniem byłoby to dla mnie coś w rodzaju psychoterapii.

– Dokąd wymykasz się ze szpitala w tych swoich fantazjach? – zapytała. Uśmiechnąłem się krzywo i pokręciłem głową, odwracając wzrok. – Czasami najciekawsze historie rozgrywają się na twoich oczach, Iwanie – dodała. – Może powinieneś pomyśleć o ich spisaniu. – Urwała na moment, a potem podjęła z ironicznym uśmieszkiem: – Gdybyś spisywał je z taką samą arogancką szczerością, z jaką odnosisz się do pielęgniarek, za dwa lata byłbyś najbardziej znienawidzonym laureatem Nobla na świecie.

– Moje opowieści należą wyłącznie do mnie – odparłem.

– Teraz tak twierdzisz, Iwanie.

Uśmiechała się, a kiedy siostra Natalia się uśmiecha, oznacza to, że wie coś, z czego oboje doskonale zdajemy sobie sprawę.

Przez kilka następnych lat wracała do tematu raz czy dwa na tydzień, każdego tygodnia. Jak zawsze miała rację. Właściwie to nie wiem, czy kiedykolwiek się myliła.

A któregoś dnia zapytała mnie:

– Wiesz, jak Budda doznał oświecenia?

– Nie wierzę w oświecenie.

– To wspaniale, Iwanie. Budda by tego wcale nie chciał.

– Nie jest pani prawosławna?

– Dzięki Buddzie jestem lepszą chrześcijanką.

– No więc jak?

– Ale o co pytasz?

– Jak doznał oświecenia?

– Po prostu pewnego razu usiadł pod drzewem bodhi i ślubował, że nie ruszy się spod niego, dopóki nie rozwikła zagadki ludzkiego cierpienia.

Podaję, że teraz jako żywo przypominam tego Buddę pod drzewem bodhi.

*

Zegar wskazuje godzinę 1.32 nad ranem.

Piszę od dwóch godzin.

Jest trzeci grudnia 2005 roku.

Przymknąłem oczy i wreszcie zasnąłem, po raz pierwszy od trzech dni.

Choć śniłem zaledwie trzy minuty.

Widziałem cię, Polino.

A jednak widziałem cię taką, jaką byłaś trzy dni, nie trzy miesiące temu.

Dzień z życia Iwana Isajenki

Każdy dzień jest dokładnie taki sam jak poprzedni. Programy na ekranie wiekowego telewizora w świetlicy mogą się zmieniać, nastroje pielęgniarek wahać w zależności od wydarzeń w ich życiu prywatnym czy fazy zsynchronizowanego cyklu menstruacyjnego. W jadłospisie mogą się zmieniać jeden czy dwa składniki. Ale pod każdym innym względem dni są identyczne.

Pierwszych sześćdziesiąt sekund po przebudzeniu może wyglądać różnie – w zależności od tego, czy mamy akurat któryś z miesięcy pomiędzy kwietniem a październikiem. Latem słońce wstaje o czwartej, więc kiedy odzywa się mój wyćwiczony przez te wszystkie lata wewnętrzny budzik, przez zakratowane okno wlewa się już delikatne światło poranka i rozgrzewa zimne linoleum na tyle, że mogę się poczołgać do łazienki bez uczucia odrazy (za bardzo chce mi się sikać, żebym zawracał sobie głowę gramoleniem się na wózek inwalidzki).

Zimą jednak słońce wstaje dopiero w okolicach dziewiątej, więc kiedy się budzę, mój pokój jest ciemny i zimny. Mam wtedy wrażenie, że rodzę się znowu do tej pierwotnej samotności, w której rzeczywiście przyszedłem na świat. Pobudka w ciemnościach napełnia mnie jakimś egzystencjalnym lękiem i nie chodzi wyłącznie o kwestię czołgania się po zimnej podłodze do łazienki. Jest to coś znacznie poważniejszego, mroczniejszego, coś wywodzącego się z miejsca, którego chyba nigdy nie zdołam zrozumieć, a jednocześnie tak przecież znajomego.

Pierwszą rzeczą, jaką robię zaraz po przebudzeniu, jest odrzucenie kołdry z nadzieją, że wszystkie części mojego ciała znajdują się na swoich miejscach, a ostatnich siedemnaście lat było jedynie złym snem. Kiedy jednak w końcu dociera do mnie, że w tej kwestii nadal nic się nie zmieniło, opróżniam zawartość mojego niedorzecznie małego pęcherza, a potem zaczynam się ubierać w jeden z trzech zestawów składających się z T-shirtu, bluzy, szortów i dresowych spodni.

Jako czterolatek doprowadzałem pielęgniarki do szału uporem w kwestii doboru stroju, aż wreszcie, zmęczone ciągłą walką, całkowicie scedowały ten obowiązek na mnie. Pewnego dnia siostra Greta, do której zadań należało ubieranie mnie każdego

ranka, po prostu rzuciła torbę z rzeczami na podłogę i stwierdziła: „Proszę bardzo, radź sobie sam”. Przez cały następny rok poranny rytuał ubierania się stanowił najbardziej frustrujący punkt dnia. Czytelniku, jeśli chcesz choć na chwilę poczuć to na własnej skórze, odłóż trzymane w ręku kartki i spróbuj włożyć koszulę, posługując się wyłącznie jedną ręką i dwoma kikutami w miejsce nóg. Zaczekam...

A skoro już rozumiesz, jak to jest, powiem ci, że po roku tej udręki wreszcie odkryłem świetny sposób, który czule nazywam „techniką robaka”. Po prostu kładę bluzę czy koszulkę na łóżku, a potem staram się w nią wsunąć, wijąc się tak długo, aż wreszcie uda mi się precyzyjnie głowę przez wycięcie na górze. Potem pozostaje mi już tylko wepchnąć pozostałe kikuty w odpowiednie otwory. Dzięki tej metodzie jestem w stanie zakryć moje koślawe ciało w niecałą minutę.

Jeśli wszystko przebiega bez zakłóceń, jestem gotowy na dwuminutową wyprawę moim wózkiem inwalidzkim na śniadanie, które trwa od ósmej do dziewiątej. W stołówce bez zbędnej zwłoki zajmuję swoje miejsce przy długim stole, to samo, na którym jadam trzy posiłki dziennie każdego dnia od siedemnastu lat. W szpitalu mieszka zwykle od piętnastu do dwudziestu pięciu pacjentów, z których każdy ma swoje stałe miejsce, nie dlatego że zostały im one wyznaczone, ale dlatego że tak po prostu jest. O ile mi wiadomo, zajmuję swoje najdłużej.

Kiedy wreszcie wszyscy się zbierzemy, pielęgniarki stawiają przed nami talerze z jedzeniem, którego smaku chyba jeszcze nigdy tak naprawdę nie poznałem. To dlatego, że staram się pochłonąć swoją porcję jak najszybciej. Zwyczajnie sposób jedzenia większości moich towarzyszy niedoli przyprawia mnie wręcz o fizyczny ból, podobnie jak niedbałość, z jaką pielęgniarki karmią resztę. Tak czy inaczej wcale nie jestem pewien, czy byłbym w stanie poczuć smak jedzenia, nawet gdybym próbował „delektować się” każdym kęsem. Śniadanie zwykle składa się z jakiejś kombinacji chleba i kapusty. Chleb smakiem i fakturą niezmiennie przypomina dyktę, ale nie jest pieczony tutaj, a przywożony z piekarń w miejscach tak odległych jak Grecja czy Tadżykistan. Zdaniem naszego dyrektora, Michaiła Kruka, dzieje się tak dlatego, że od 1991 roku większość rodzimych wytwórni chleba i kapusty w naszym kraju albo nie działa, albo znajduje się w rękach *gownojedów*². Po śniadaniu, z twarzą ciągle jeszcze wybrudzoną tłustym kapuścianym sosem, wracam do pokoju, żeby czytać, dopóki nie przyjdzie pora na telewizję. Po dziś dzień żaden lekarz ani pielęgniarka ze szpitala w Mozyrzu nie byli w stanie wytłumaczyć mi, dlaczego godzina telewizyjna trwa rzeczywiście tylko godzinę. Przez całe trzy miesiące namawiałem siostrę Natalię, żeby telewizor grał cały dzień. Przedstawiłem nawet pisemną petycję wyliczającą argumenty przemawiające na korzyść takiego rozwiązania. Koniec końców siostra Natalia przekazała mi odpowiedź dyrektora Michaiła Kruka składającą się z zaledwie jednego zdania: „W szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu obowiązuje jedna godzina telewizji rano po śniadaniu, jedna po obiedzie i jedna wieczorem, po kolacji”.

Tak więc nadal każdego ranka po śniadaniu oglądam telewizję przez godzinę. Po jej upływie wracam do swojego pokoju, żeby czytać i marzyć o sposobach wyrwania się z tego miejsca. Dostępne mi opcje obejmują wymknięcie się przez drzwi wejściowe, kiedy nikt nie będzie patrzył, albo przecięnięcie się nocą między kratami w oknie mojej sypialni. Każda z takich fantazji kończy się jednak sceną, jak czołgam się powoli, ze śladami trawy i błota na kikutach, z łzami zaschniętymi na niemal przezroczystych policzkach, dopóki nie dogoni mnie pościg. Przez lata przemyślałem to sobie dokładnie, więc teraz już wiem, że nie zdołam stąd uciec. Nawet gdyby udało mi się dotrzeć do głównej drogi, wystarczyłby jeden rzut oka na moją żalostną postać, żeby napotkani ludzie odstawili mnie do najbliższego szpitala, czyli z powrotem tutaj.

I właśnie dlatego teraz obmyślam raczej inne, bardziej radykalne sposoby ucieczki. Posunąłem się nawet do tego, że stłukłem słoik majonezu i zabrałem jeden z poszarpanych kawałków szkła, zanim uświadomiłem sobie, że to jednak kiepski pomysł, bo przecież mam tylko jedną rękę i podcięcie sobie żył w nadgarstku zwyczajnie nie będzie możliwe z czysto fizycznego punktu widzenia. Poza tym nie znoszę widoku krwi, więc i poderżnięcie sobie gardła jest wykluczone (sama myśl o tym, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłbym w swoim życiu, byłyby czerwone strużki spływające po mojej szyi, jest zwyczajnie zbyt przerażająca, by w ogóle brać takie rozwiązanie pod uwagę). Natomiast wykorzystanie innych, mniej widocznych części ciała do wykonania nacięcia byłoby niestety zbyt trudne ze względu na moją skromną znajomość ludzkiej anatomii. Koniec końców w takich sytuacjach zwykle zaczynam się masturbować po raz pierwszy danego dnia (zwykle robię to dwa razy dziennie).

Zanim skończę i trochę posprzątam, zwykle nadchodzi pora na obiad. Ten posiłek na ogół okazuje się znacznie znośniejszy od śniadania, bo po pierwsze, dostajemy coś na ciepło, a po drugie, danie ma w swoim składzie mięso, chociaż trudno poznać, jakie konkretnie. Jest zbyt ciemne, żeby mógł to być kurczak, ale zbyt białe na wołowinę, sami więc rozumiecie. Raz popełniłem ten błąd i zapytałem siostrę Katię, czy to wieprzowina, na co usłyszałem tylko: „Iwan, czy kiedykolwiek widziałeś, żebym jadła tu obiad?”. Kiedy odparłem, że nie widziałem, siostra Katia nie powiedziała już nic więcej.

Po obiedzie przychodzi pora na drugą godzinę telewizji w ciągu dnia. Chociaż lubię oglądać telewizję, od czasu do czasu właśnie o tej porze symuluję napad katatonii. Uznałem po prostu, że byłoby zbyt oczywiste, gdyby moje ataki nie przytrafiały się w porze oglądania telewizji. W rezultacie wymyśliłem więc moją regułę „dwa-trzy” (to znaczy najpierw co drugi, a potem co trzeci dzień udaję katatonie podczas popołudniowej godziny telewizyjnej). Ten harmonogram pozwala mi dbać o wystarczające złudzenie przypadkowości, dzięki czemu oprócz Natalii jeszcze żadna z pielęgniarek nie zorientowała się, że moje ataki to tak naprawdę rezultat pierwszorzędneho aktorstwa.

Zwykle wybudzam się z tych stanów akurat na kolację, którą na ogół stanowią podawane na zimno resztki z obiadu. Często rozglądam się wtedy po twarzach pozostałych pacjentów i wciąż na nowo uświadamiam sobie, że chociaż może nie jestem pierwszoplanową postacią w tej sztuce, to przynajmniej jako jedyny w tej bandzie odmieńców znam swoje kwestie. Kiedyś zapytałem siostrę Natalię, dlaczego tylko ja jeden w całym szpitalu potrafię przeliterować własne imię, na co usłyszałem, że powinienem dziękować za to losowi. Oczywiście natychmiast rzuciłem, że skoro mam spędzić resztę życia w takim miejscu, to chyba wolałbym być upośledzony (a tak przy okazji – mam spore trudności z wymówieniem tego właśnie słowa). Wtedy siostra Natalia stwierdziła, że już moja samoświadomość dowodzi, że warto jest żyć. Odparłem, że moja samoświadomość czyni mnie bardzo samotnym człowiekiem, a ona obiecała, że dopóki będzie pracować w szpitalu, nigdy nie zostawi mnie samego. Chciałem jej powiedzieć, że nic nie rozumiała, ale ostatecznie nie zdobyłem się na to.

Po kolacji zawsze wracam do głównej sali na trzecią tego dnia godzinę telewizji. Kiedy i ona dobiegnie końca, za oknami panuje już ciemność, a reszta odmieńców trafia do swoich sal. Siedzę sobie wtedy jeszcze przez chwilę, pławiąc się w sztucznym świetle jarzeniówek, podczas gdy w korytarzach rozbrzmiewają ostatnie jęki i krzyki. Potem wracam na wózku do pokoju i czytam, dopóki nie będę na tyle zmęczony, by znowu zacząć się masturbować. Robię to tak długo, aż zmęcę się na tyle, by wreszcie zasnąć. A następnego ranka wszystko zaczyna się od nowa.

² Po rosyjsku „gównojady”, określenie kogoś chytrego i skąpego.

VI

Mieszkańcy szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu

Nie bardzo mam do czego porównać moje otoczenie, ale na podstawie informacji, które mam na temat świata zewnętrznego, mogę niemal z pewnością stwierdzić, że wszyscy mieszkamy w piekle. Dla większości z nas tym piekłem są nasze własne ciała, piekło innych kryje się w ich głowach. Nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że dla każdego tutaj piekłem są puste, zimne, bezosobowe, bure mury szpitala, które nas więżą. I mimo całej mojej inteligencji muszę przyznać, że jestem tu jednym z nielicznych szczęściarzy. Żebyście jednak mogli w pełni to pojąć, muszę wam przedstawić moich towarzyszy niedoli.

Polina

Pierwsza jest Polina, choć jako jedyna z nas tak naprawdę nigdy nie powinna się tu znaleźć. Od trzydziestu siedmiu minut rozpaczliwie próbuję ją opisać, jednak na próżno. Ręka drży mi na samą myśl o tym, że przedstawię ją wam w nie dość idealny sposób, zwłaszcza że moje słowa mogą stanowić jedyny czarodziejski eliksir, zdolny utrzymać ją przy życiu, na dodatek wyłącznie w głowach moich czytelników. Z pewnością rozumiecie już powagę sytuacji – tylko wy możecie uczynić Polinę nieśmiertelną, ocalić ją, choćby tylko przez przypadek.

Jedyną moją pociechą w tych daremnych próbach przywrócenia jej do życia jest myśl, że choć tak bardzo kocham słowa, w rzeczywistości są one raczej bezużyteczne i niezdolne uchwycić istotę czegokolwiek, więc co tu mówić o kimś tak niezwykłym jak Polina. Dlatego jeśli kiedykolwiek spotkam ją ponownie w jakimś innym świecie, będę mógł rzucić wszelkie wady tego opisu na język rosyjski, zamiast przyznać, że nie poświęciłem jej wystarczająco dużo uwagi. A skoro już zazaczyłem to wyraźnie, dodam jeszcze, że gdybym nie spotkał Poliny tutaj, w tym odludnym miejscu, za wiele

lat z pewnością ujrzałbym ją któregoś wieczora na ekranie wiekowego czarno-białego telewizora w świetlicy. Bo zostałaaby pełną gracji gwiazdą, wzbudzającą miłość i pożądanie każdego mężczyzny we wschodniej Europie i wyznaczającą niedościgniony wzór dla każdej kobiety i dziewczyny. Nie ma też najmniejszej wątpliwości, że nawet wtedy natychmiast oszalałbym na jej punkcie, pokochał ją tak, jak ją pokochałem, gdy gasła powoli tuż przy mnie.

Postawię sprawę jasno: obiektywnie rzecz ujmując, Polina była prawdziwą pięknoscią. Nie dlatego, że jako odrażający, rozpaczliwie spragniony towarzystwa kaleka obniżyłem moje standardy do poziomu, który mógł mi to towarzystwo zapewnić. Nawet blada, wychudzona i umierająca byłaby w stanie wygrać każdy konkurs piękności na świecie.

Teraz, po tych wszystkich wyjaśnieniach, mogę wam wreszcie opowiedzieć, jak wyglądała Polina. Miała długie, ciemne włosy, wiecznie zwijające się w loczki i kędziory, nawet kiedy jej walka dobiegała już końca – ta sama walka, z powodu której musiała zrezygnować z rozmaitych kobiecych sposobów dbania o siebie. Jej delikatną porcelanową cerę ożywiały lekkie rumieńce, prawy policzek ozdabiał mały pieprzyk, który czynił ją wystarczająco niedoskonałą, by mogła być realna. W ogóle jej twarz wydawała mi się tak egzotyczna, wszystkie jej szczegóły i krzywizny były jakby z lekka przerysowane, dzięki czemu żadna kobieta na świecie, nawet Kleopatra, nie mogłaby się z nią równać. Zapierało mi dech w piersiach za każdym razem, gdy na nią spojrzałem. Wysoka i smukła, z parą cudownych niewielkich piersi, unoszących się przy każdym jej oddechu aż po ten ostatni. Czytelniku, czy rozumiesz już, z czym musiałem się mierzyć?

*

I chociaż zatrzymujesz mnie, by z tobą zostać,
muszę stworzyć na nowo cały nasz świat.

Ty, ze wszystkich ludzi na świecie, na pewno mnie zrozumiesz³.

*

Max

Max ma dwa lata, a jego ciało kształtem przypomina sierp, z głową i piętami wygiętymi do tyłu w bezustannym wyścigu ku sobie. Jego cienkie, sine usta są suche

i spierzchnięte, buzia wiecznie napięta, a w wytrzeszczonych oczach maluje się coś pomiędzy irytacją a paniką, zupełnie jakby już w wieku dwóch lat biedny maluch zdawał sobie sprawę, że oczy stanowią jego jedyny sposób komunikacji ze światem. Niestety, nikt nigdy się nie dowie, co próbuje nam przekazać Max, choć chyba wszyscy i tak się tego domyślają.

Kiedy Max miał parę miesięcy, zacząłem go obserwować z wręcz niezdrową intensywnością. Może interesowało mnie to nowe życie w burym łóżeczku. A może chodziło o to, że nie potrafiłem sobie przypomnieć cierpienia większego niż to malujące się na jego buzi. Choć możliwe też, że powodowała mną niemal chorobliwa fascynacja tą mocno naciągniętą skórą, która sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili mogła pęknąć i odsłonić płataninę wnętrza. Chyba brakuje mi wiedzy na temat tego, co właściwie dzieje się w mojej głowie, by móc stwierdzić to na pewno. Za to nie mam najmniejszych wątpliwości, że w tych pierwszych miesiącach „znajomości” z Maxem doświadczyłem zupełnie nowego uczucia, które większość ludzi określa chyba mianem empatii.

Właściwie było to jednak coś więcej, bo kryło się w tym również poczucie odpowiedzialności. Może chodziło o wrodzony, wywodzący się ze zbiorowej świadomości, z pierwszych etapów ewolucji impuls, ojcowskie wręcz pragnienie zaopiekowania się maleństwem, które zbudziło się we mnie dopiero teraz, zwyczajnie dlatego, że przed pojawieniem się Maxa nie miałem nikogo, kim mógłbym się opiekować. I nawet nie brałem pod uwagę, że mogłoby się to kiedykolwiek zmienić. Właściwie to podejrzewam, że cieplejsze uczucia, jakie żywiłem do Maxa, miały tak naprawdę bardziej samolubne źródło w marzeniu, by poczuć się choć odrobinę mniej dziwnym niż cała ta menażeria cudaków, z którymi przyszło mi żyć.

Początkowo efekt był wręcz odwrotny, bo poczułem się jeszcze większym dziwakiem. Miałem jednak dość okazji do obserwowania zachowań normalnych ludzi, by wiedzieć, że nie różnią się ode mnie pod tym względem. Przysłuchuję się rozmowom pielęgniarek pocieszających jedna drugą po rozstaniu z mężem, który rzucił którąś z nich dla dziewiętnastoletniej baletnicy o błękitnych oczach i smukłych łydkach. Albo kiedy zapalenie jelit zaczyna im dokuczać, tak że prawie nie wychodzą z toalety i ledwie są w stanie pracować, choć przecież kiedy nie pracują, nie zarabiają, a kiedy nie zarabiają, nie są w stanie związać końca z końcem, a kiedy nie są w stanie związać końca z końcem, wówczas...

Jestem kaleką z niewielką wiedzą na temat ludzkiej natury, a jednak przecież dostrzegam błysk w oku siostry Ludmiły, która poklepuje siostrę Elenę po plecach i przekonuje ją, że wszystko będzie dobrze: mąż prędzej czy później znudzi się bezbarwną dziewiętnastolatką i wróci do domu z podkulonym ogonem, a jeśli nawet przez te ciągłe biegunki wyrzucą ją z pracy, na pewno znajdzie sobie znacznie ciekawsze zajęcie w jakimś biurze w Mińsku i tak dalej, i tak dalej. Prawda wygląda

tak, że siostra Ludmiła (najmłodsza wiekiem i stażem z tutejszych pielęgniarek) w głębi ducha sama jest kaleką, a już ja się na kalekach znam. Siostra Ludmiła potrafi wepchnąć sobie do odrobinę zbyt dużych ust zawartość całego pudełka *pticzego moloka*⁴, a potem zamknąć się w toalecie, żeby wszystko zwrócić. Wiem o tym, bo czasem zakradam się tam zaraz po niej i widzę kawałki piankowatych cukierków unoszące się na powierzchni wody. Więc kiedy siostra Ludmiła ma okazję kimś się opiekować, czuje się mniej kaleka. Tak jak ja, kiedy zajmuję się Maxem.

Podstawowe potrzeby Maxa w kwestii odżywiania zaspokajają maszyny. W niektórych sytuacjach jednak nawet one nie wystarczają. Na przykład Max musi wcześniej czy później wydalić pożywienie, które dostarczają mu długie plastikowe rurki. Zwykle służą mu do tego jednorazowe pieluchy. Któregoś razu zapytałem siostrę Katię (o ile mi wiadomo, jedyną czarnoskórą kobietę na całej Białorusi), czy mogę zmienić Maxowi pieluchę. Popatrzyła wtedy twardo, przeciągle na moje jedyne ramię o przezroczystej skórze i pozbawionej palców dłoni, a potem rzuciła: „Dziecko, czy ty już całkiem postradałeś zmysły?”. Chociaż miałem dobre czternaście lat na przyzwyczajenie się do tej żalostnej namiastki ciała, jaką otrzymałem od losu, i tak zabolalo. Zrobiłem więc jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Poprosiłem siostrę Natalię o kilka pieluszek. Popatrzyła na mnie pytająco, a potem skrzywiła się lekko, jasno dając mi do zrozumienia, że nawet nie chce się domyślać, po co mi one. Bez słowa jednak przyniosła mi z magazynku trzy pieluszki w niemowlęcym rozmiarze.

Pierwszą wypróbowałem na sobie. Okazała się za ciasna, ale na szczęście mam na tyle wąską miednicę, że jakoś udało mi się wcisnąć w gąbczasty materiał. W ciągu tych wszystkich lat dowiedziałem się dwóch podstawowych rzeczy na temat moich ograniczeń. Po pierwsze, po wylaniu litrów potu, a czasem też krwi, prędzej czy później jestem w stanie nauczyć się wykonywać praktycznie każdą czynność jedną ręką (wyjątek stanowi krojenie jajek na twardo); po drugie, jeśli Bóg istnieje, to powinienem mu podziękować za mój jedyny kciuk, bo tylko dzięki niemu punkt pierwszy jest możliwy.

Cierpliwie czekając, aż poczuję potrzebę wypróżnienia się, zacząłem się bawić przylepcami pieluchy. Ich przylepianie i odklejanie wychodziło mi coraz sprawniej, zaczynałem odkrywać kolejne drobne sztuczki, pozwalające mi robić to jedynie za pomocą kciuka i palca wskazującego i zachować odpowiedni poziom naprężenia materiału, by utrzymać pieluchę na miejscu. Wcześniej już niejednemu miałem okazję przekonać się, że po ośmiu godzinach ćwiczeń nabieram takiej wprawy w wykonywaniu praktycznie każdej możliwej czynności moimi niezgrabnymi palcami, że na mojej obwisłej twarzy pojawia się nawet rzadki gość – czyli uśmiech (a tak przy okazji, przed upływem wspomnianych ośmiu godzin nie waźcie się mnie nawet tknąć, bo będę gryzł, walił pięścią, warczał i prychał – w takich sytuacjach siostra Natalia mówi na mnie *djawol*⁵).

Na szczęście osiem godzin to również wystarczająca ilość czasu, by poczuć parcie na kiszkę stolcową. Kiedy wreszcie udało mi się opanować sztukę obsługiwania pieluchy, byłem gotów, żeby z niej skorzystać. Aż się wzdrygnąłem, kiedy ciepła masa rozsmarowała się po mojej *zadnicy*⁶. Zdjąłem pieluchę, co w tym momencie szło mi już całkiem zręcznie, a potem ręcznikiem wytarłem pośladki z kału, który zdążył już wcisnąć się w każdy zakamarek mojej skóry. Okazało się to zresztą znacznie trudniejsze, niż mogłem przypuszczać. Od razu pożałowałem, że nie mam w pokoju więcej ręczników i pieluch. W swoim uporze tak naprawdę nie przemyślałem, co zrobię z odpadami. Na dodatek nawet nie podejrzewałem, jak szybko smród odchodów przyprawi mnie o wymioty.

Sprawa zabrudzonego ręcznika była prosta. Zwyczajnie namoczyłem go w umywalce na całą noc, żeby następnego ranka wyżyć go z nadmiaru brązowej wody, dzięki czemu materiał bez problemów wrócił do tradycyjnego odcienia brudnej bieli zniszczonego szpitalnego ręcznika. Większym problemem okazała się pielucha. Rozważywszy kilka możliwości, ostatecznie uznałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie poczekać, aż dyrektor (oraz większość pielęgniarek) pojedzie już do domu, a potem ukryć dowody zbrodni za skórzaną kanapą w jego gabinecie. Co najmniej połowę dni w tygodniu dyrektor nie zamykał drzwi na klucz, żeby siostra Ludmiła mogła zakraść się do niego na nocne erotyczne igraszki. Po tylu latach nadal wyobrażam sobie wszystkie cielesne uciechy, jakim oddawała się ta dwójka na wspomnianej kanapie, dokładnie nad podrzuconą przeze mnie pieluchą.

Na tym etapie pozostała mi już tylko jedna kwestia. W pudle z bezużytecznymi zabawkami w świetlicy leżała stara (mam tu na myśli czasy stalinizmu) lalka. Niestety, przeglądanie zawartości skrzyni rozmiarów dziecięcego łóżeczka przekraczało moje fizyczne możliwości, musiałem więc zniżyć się do tego, by poprosić siostrę Elenę o odszukanie dla mnie tej zabawki (siostra Natalia tym razem nie wchodziła w grę, bo i tak mocno jej już podpadłem). Siostra Elena była oczywiście mocno zaskoczona, bo przez cały swój pobyt w szpitalu ani razu nie próbowałem się bawić tą przerażającą, brudną lalką, ale spełniła moją prośbę.

Z mieszaniną odrazy i podekscytowania wróciłem do pokoju, położyłem lalkę (którą zacząłem już nawet pieszczotliwie nazywać Rebeką Rebokową) na łóżku, zdjąłem z niej podarte ubranko i spróbowałem założyć pieluchę na jej bezpłciową miednicę. Potem wsunąłem Rebekę Rebokową pod kołdrę i położyłem się spać obok niej.

Nazajutrz zacząłem kolejny ośmiogodzinny trening. Cały ranek zakładałem i zdejmowałem pieluchę, zakładałem i zdejmowałem. Potem obiad i znowu ćwiczenia przez całe popołudnie. W pewnej wyjątkowo niezręcznej chwili siostra Natalia przyszła zmienić mi pościel (w rozgorączkowaniu kompletnie zapomniałem, że to dzień zmiany pościeli, trzeci wtorek miesiąca). Kiedy usłyszałem, jak drzwi się otwierają, obejrzałem się tylko przez ramię. Siostra Natalia stała w progu, ze zmianą pościeli

w objęciach, i przyglądała mi się szeroko rozwartymi oczami. Przez kilka trudnych do zniesienia sekund po prostu wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa, po czym siostra Natalia odwróciła się na pięcie, rzucając na odchodne:

– Za chwilę wrócę. Może wtedy naszej laleczce przyda się butelka.

Po upływie rzeczonych ośmiu godzin potrafiłem zmienić pieluchę w dziesięć sekund, co moim zdaniem jest całkiem niezłym wynikiem jak na inwalidę dysponującego jedną ręką i trzema palcami. Została mi już tylko jedna pieluszka – ta, którą oszczędzałem dla Maxa. Wieczorem odczekałem, aż światła pogasną, zwykły szpitalny harmider ucichnie, a pielęgniarki z dziennej zmiany pójdą wreszcie do domu, dzięki czemu bez problemów mogłem się zakraść do Żółtej Sali, w której mieszkają wszystkie maluchy do trzeciego roku życia.

Max raczej nigdzie nie ucieknie, więc jego łóżeczko nie ma wysokiej barierki. Właściwie to chyba nawet bardziej kołyska niż łóżeczko. Max wie dzie swoje żalosne życie w maleńkiej wyścielonej skrzynce o ścianach nie wyższych niż pół metra. Zresztą na całe szczęście, bo jest to dla mnie akurat wysokość do przebycia.

Tamtego wieczora zsunąłem się z wózka i wdrapałem do łóżeczka, tuż obok drobnutkiego ciała Maxa. Po raz pierwszy widziałem go w nocy. Najpierw przyszło mi do głowy, że śpiący Max ma dokładnie taką samą minę jak w ciągu dnia. W bezsenne noce obserwowałem wystarczająco dużo twarzy, by wiedzieć, że sen zwykle wygładza ich rysy, niezależnie od tego, jakie demony prześladują człowieka za dnia. Jednak nawet pogrążony we śnie Max wciąż wyglądał na zrozpaczonego.

Nie miałem pojęcia, jak pracują jego jelita, więc delikatnie odsunąłem brzeg pieluszki, by sprawdzić jej zawartość. Nie dostrzegłem śladów znajomej brązowej substancji, ulokowałem się więc wygodniej, żeby zaczekać. W pewnym momencie zacząłem nawet nucić Maxowi szeptem rosyjskie rymowanki o braciszku Iwanie czy zajączku, co wybrał się na spacer. Brzmiało to żałośnie, jak skrzywienie nastolatka tuż przed mutacją, ale przynajmniej się nie nudziłem.

A potem wreszcie to się stało: w powietrzu rozszedł się znajomy smród. Nawet najbardziej intensywne ćwiczenia nie przygotowują cię na coś podobnego. Na dodatek okazało się, że zmiana pieluchy wygiętemu w sierp Maxowi jest znacznie trudniejszym zadaniem, niż przypuszczałem. W końcu jakoś udało mi się ją zdjąć, przy okazji jednak wymazałem kałem ścianki jego mikroskopijnego lokum.

Ogarnęła mnie panika, pewnie dlatego, że od powodzenia tego zadania zależała moja reputacja. Ostatecznie to miał być dowód, że potrafię zająć się inną istotą ludzką przynajmniej na tyle, by zmienić jej brudną pieluchę. Za pomocą śliny i własnych spodni dresowych usunąłem więc najlepiej, jak umiałem, bure ślady z ciepłej pościeli Maxa.

Może zwariowałem – właściwie to jestem tego pewien – ale wydaje mi się, że napięcie w oczach Maxa zelżało odrobinę, kiedy skończyłem swoje dzieło. Wątpię, by

ktokolwiek zmieniał mu pieluchę z takim zapalem i miłością (pielęgniarki zwykle obchodzą się z nim bezceremonialnie, jakby miały do czynienia z workiem kartofli). Po zmianie pieluchy zostałem jeszcze chwilę, żeby wychrypieć piosenkę o babci, co zjadła groszek, a potem wróciłem na wózek. Po drodze do pokoju podrzuciłem brudną pieluszkę Maxa (już trzecią) do gabinetu dyrektora.

Następnego ranka zerwałem się z łóżka wyjątkowo wcześnie i od razu pojechałem do Żółtej Sali, żeby poczekać na pielęgniarski obchód. W końcu siostra Katia podeszła do łóżeczka Maxa, żeby sprawdzić mu pieluchę.

Patrzyłem, jak obcesowo obchodzi się z jego sztywnym, wygiętym ciałkiem, obracając go w rękach, a potem rozpina pieluchę. Ta okazała się pusta, Katia zapięła ją więc z powrotem i natychmiast rozpięła ponownie, żeby się upewnić. Potem zaczęła gorączkowo rozglądać się w poszukiwaniu śladów kału. Kiedy wreszcie dostrzegła brunatne smugi, zdumiała się jeszcze bardziej, a potem potoczyła wzrokiem po całej sali, teraz już wyraźnie spanikowana, podczas gdy ja przygryzłem wewnątrz policzka i wyobrażałem sobie martwe szczeniaczki, byle tylko powstrzymać śmiech. Kiedy wreszcie siostra Katia popatrzyła na mnie, odwzajemniłem jej spojrzenie z resztkami złośliwego uśmieszku. A potem zapadłem w swoją katatonię.

Tamtego dnia praktycznie adoptowałem Maxa. Przynajmniej w mojej głowie, gdzie nie potrzebuję żadnych oficjalnych dokumentów. Po sytuacji z pieluchą starałem się zresztą odgrywać swoją rolę najlepiej, jak potrafiłem. Gdy gasły światła, zakradałem się do jego sali z podwędzoną z biblioteczeki lekturą. Czasem było to coś stosownego do wieku, w rodzaju katalogu odzieży roboczej dla elektryków, czasem wręcz przeciwnie – *Lolita* czy *Notatki z podziemia*. Pewnie ani słowo z tego, co czytałem, nie docierało do świadomości Maxa, a nawet gdyby, to jego mina wyraźnie świadczyła, że maluch ma większe zmartwienia niż rosyjska literatura. Mimo wszystko jakaś część mnie chyba nadal wierzyła, że po prostu staram się wychować go na prawdziwego erudyty. Kiedy więc siostra Katia dopytywała po raz kolejny, po jakiego diabła czytam Nabokova sparaliżowanemu niemowlakowi, odpowiadałem jej jednym słowem: *otwiazis*⁷.

*

*Zegar wskazuje 4.57 nad ranem.
Piszę od pięciu godzin.
Jest trzeci grudnia 2005 roku.*

Według zegara spałem dwadzieścia dwie minuty. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale wiem, że wódka przestała działać, a to oznacza, że pamiętam też zieloną teczkę z moim

nazwiskiem na wierzchu, która leży pod moim łóżkiem i napełnia mój trzeźwy już umysł irytującymi myślami. Nie potrafię zmusić się do tego, żeby ją zapytać. Nie zdołam wydusić z siebie słowa albo zacisnę palce na jej szyi.

Nie pojawiła się, odkąd wlała mi do ust wódkę, a to niedobrze, bo naprawdę przydałaby mi się kolejna porcja stolicznej. Uznałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie wykorzystać stojący przy łóżku metalowy basen i zacząć nim uderzać w metalową ramę łóżka. Łomotałem tak długo, aż w drzwiach wreszcie stanęła siostra Ludmiła.

– Iwan, czego do diabła chcesz? – warknęła.

Teraz, po śmierci Poliny, to właśnie siostra Ludmiła ma znowu dyżur w nocy.

– Zawołaj Natalię.

– Skończyła swój tydzień.

Tak było. W szpitalu pracują cztery pielęgniarki, więc każda z nich ma tydzień nocnych dyżurów w miesiącu.

– Obiecała, że zostanie specjalnie dla mnie – skłamałem.

– Mów, czego chcesz. Nie mam czasu na głupoty.

– Potrzebuję Natalii.

– Zapomnij – burknęła tylko i okręciła się na pięcie, żeby wyjść, więc znowu zacząłem walić w ramę łóżka.

Siostra Ludmiła podeszła do mnie, wyrwała mi basen z ręki i cisnęła go w kąt. Zanim naczynie przestało brzęczeć, w drzwiach stanęła siostra Natalia – zmęczona i rozczochrana, w przekrzywionym fartuchu. Na jej twarzy malowało się potępienie dla zachowania nas obojga, ale na głos powiedziała tylko:

– Zajmę się tym, Ludmiło.

– Co ty tu robisz? – zdumiała się ewidentnie speszona koleżanka, ale Natalia zignorowała pytanie.

Kilka kolejnych minut poświęciła na to, by mnie porządnie zrugać. Słuchałem reprimendy, natomiast rozwścieczona siostra Ludmiła po prostu wyszła.

– Nikt nie dał ci pozwolenia na bycie dupkiem – łajała Natalia.

– To Ludmiła jest wredną małpą – mruknąłem.

– Oboje jesteście wredni.

– Potrzebuję więcej.

– Czego?

– Wódki.

– Nie ma mowy. Nie zamierzam pozwolić, żebyś zamienił się w pijaka przed osiemnastką.

– Oboje wiemy, że jestem zbyt uparty, żeby zostać pijakiem.

– I tak, i nie. Jesteś prawdziwym uparciuchem, to pewne, ale znałam niejednego upartego pijaka.

– Tylko wódka mi pomaga, a nie chcę przerywać pisania.

Zaryzykowałem z nadzieją, że uda mi się wzbudzić w niej współczucie. Uniosłem nawet zeszyt i przerzuciłem zapisane strony, z których kilka było pofałdowanych od moich łez. Na ten widok siostra Natalia tylko westchnęła i wyszła, żeby za kilka minut wrócić z butelką.

– Jest pełna – wyjaśniła, stawiając flaszkę na stoliku koło łóżka. – I niech ci do głowy nie przyjdzie prosić o więcej.

Spasibo, Natalia.

Przyklęknęła przy łóżku i pocałowała mnie w czoło.

– Zostałaś specjalnie dla mnie?

– Może.

Przeczesała palcami moje przetłuszczone, od dawna niemyte włosy, a ja przechyliłem głowę na bok, udając, że śpię. Dopiero kiedy wyszła, upiłem porządny łyk z butelki. Odczekałem chwilę, aż alkohol zadziała, a potem pociągnąłem jeszcze raz.

*

Alex

Od nosa w dół Alex wygląda właściwie normalnie. Niestety, w okolicach skroni ma narośl o średnicy przynajmniej trzykrotnie większej od reszty jego głowy. Kiedyś zapytałem siostrę Elenę, czemu jego głowa jest taka duża, na co usłyszałem tylko: „Głowa tego chłopaka to jeden wielki balon z wodą. Lepiej nie podchodź za blisko, Iwan, bo któregoś dnia jeszcze wybuchnie”.

Każdy, kto znajdzie się w pobliżu Alexa, od razu widzi, że jego punkt ciężkości znajduje się pośrodku jego czoła. Nic więc dziwnego, że chłopak ma problemy z równowagą i właściwie nie jest w stanie zapanować nad swoją monstrualną głową. W rezultacie ciągle uderza nią o meble, futryny i rozmaite urządzenia. Wygląda też na to, że cała ta woda w głowie Alexa powoduje najrozmaitsze problemy neurologiczne, wliczając w to niemożność wypowiedzania jakichkolwiek słów poza „szoko”⁸, ograniczoną możliwość poruszania nogami i spontaniczne wybuchy złości, które składają się na ścieżkę dźwiękową tego szpitala. Na szczęście często to właśnie szoko łagodzi jego napady. O dowolnej porze dnia i nocy znajdziecie ślady czekolady rozmazane przede wszystkim na policzkach i łokciach Alexa.

Alex ma jednak znacznie jaśniejszą stronę: kiedy akurat się nie złości, właściwie bez przerwy się uśmiecha. Jest to taki krzywy, bezrozumny uśmiech, ale jednak uśmiech – cieszyłbym się nawet z takiego, gdyby tylko moje wątle policzki na niego pozwalały.

Nie mam pojęcia, czemu Alex się uśmiecha. Może to ciężar całej tej wody uciska jakiś obszar w jego mózgu odpowiedzialny za tę właśnie funkcję. A może to po prostu jedna z nieszkodliwych konsekwencji uszkodzeń mózgu, jakich doznaje podczas ciągłego uderzania głową o rozmaite przedmioty.

Dawniej Alex miał mamę i tatę. Kiedy parę lat temu trafił tutaj, odwiedzali go w każdy niedzielny poranek. Zjawiali się wkrótce po mszy i z nieprzeniknionymi, kamiennymi minami poświęcali jakieś osiem minut na pogawędkę, w której udział Alexa ograniczał się do rozmaitych wariacji na temat słówka „szoko”, czasem wypowiedzanego głośnym, głębokim głosem, a czasem wykrzykiwanego gwałtownie piszczącym tonem, na co jego rodzice natychmiast podsuwali mu czekoladowe batoniki. A kiedy batoniki się kończyły, matka gwałtownie wycierała resztki czekolady z pucołowatych policzków syna, aż niemal było słyszeć wodę przelewającą się w jego głowie.

Ojciec, który rozpakowywał te wszystkie batoniki, był wysokim, barczystym i dosyć otyłym mężczyzną o poważnej, niemal srogiej twarzy, zawsze ubranym elegancko w drogie garnitury szyte na miarę, tak by pasowały do jego wydatnego brzucha. Matka, cierpliwie wycierająca ślady czekolady z twarzy syna, była spokojną, milczącą kobietą, wyglądała tak, jakby sama doznała jakiegoś uszkodzenia mózgu. Zawsze nosiła nudne, skromne sukienki, które okrywały całą jej sylwetkę tak starannie, że nie sposób było poznać, co się pod nimi kryje.

Przez te wszystkie lata, kiedy odwiedzali syna, chyba nigdy nie słyszałem, żeby wymienili między sobą choć parę słów. Czasami pielęgniarki próbowały ich zagadywać, zadawały pytania, ale nigdy nie doczekały się reakcji. Kiedy czas wizyty dobiegał końca, oboje zbierali swoje okrycia, szale i pozostałe rzeczy (z twarzami równie wypranymi z emocji jak w chwili przybycia), po czym wychodzili. Żadnych uścisków, łzawych pożegnań. A jednak wracali każdej niedzieli.

– Dlaczego rodzice Alexa są tacy? – zapytałem kiedyś siostrę Natalię, która akurat ustawiała w spiżarni ogromne puszki z sokiem z kapusty.

– Przypominają mi trochę moich rodziców, kiedy jeszcze żyli. Życie to dla nich wyłącznie obowiązki. Są dwoma małymi trybikami w jakiejś wielkiej maszynie, a maszyny przecież nigdy się nie uśmiechają, Iwanie. To pozostałość komunizmu. Starzy ludzie nie potrafiliby już być inni, nawet gdybyś oferował im *sbiten*⁹.

Przez lata powtarzali ten swój rytuał tydzień w tydzień, aż wreszcie któregoś dnia zmienił się jeden drobiazg. Zawsze tak świetnie dopasowane garnitury ojca Alexa nagle zaczęły się robić jakby za luźne. Początkowo nie potrafiłem powiedzieć, na czym polega ta różnica, jednak twardo obserwowałem ich z drugiego końca pokoju, z czego na szczęście żadne z nich nie zdawało sobie sprawy. Po kilku tygodniach stało się oczywiste, że garnitury zaczynają wisieć na starszym mężczyźnie niczym radziecka flaga, aż w końcu zmieściłoby się w nich dwóch takich mężczyzn jak ojciec Alexa.

I chociaż nie miałem pojęcia, jak ten nieprzystępny, szorstki mężczyzna znalazł w sobie dość dyscypliny i próżności, by odchudzić się równie szybko, w głębi ducha byłem pełen uznania. Przez jakiś czas wyglądał niczym wzorcowy przedstawiciel konserwatywnej partii Białorusi, ale wkrótce schudł jeszcze bardziej, a wtedy zrozumiałem, że ta przemiana nie była jego wyborem. Jego wychudzona twarz poszarzała, a garnitury (których nie wiedzieć czemu wciąż nie wymienił na mniejsze) zdawały się go wręcz pochłaniać. Ta metamorfoza sprawiła, że wyglądał na jeszcze bardziej srogiego, bardziej słowiańskiego niż wcześniej. Potem mężczyzna zaczął jakby zwalniać, każdy ruch zdawał się wymagać od niego całej woli przeżycia.

I przez cały ten czas, gdy ojciec mizerniał w oczach, Alex nadal uśmiechał się idiotycznie, a matka sprawiała wrażenie obojętnej i wręcz upośledzonej. Szczerze mówiąc, jeśli nie liczyć coraz bardziej wychudzonej twarzy mężczyzny i jego coraz luźniejszych garniturów, w cotygodniowych wizytach właściwie nic się nie zmieniło. Wszyscy troje zachowywali się jak zwykle. Sądząc po minach pielęgniarek, nawet one były zaskoczone tym brakiem emocji.

Pewnego niczym niewyróżniającego się niedzielного poranka zmienił się kolejny szczegół: matka Alexa zjawiła się sama. I chociaż płyn w głowie chłopaka musiał przecież zakłócać naturalne procesy umysłowe, Alex ewidentnie zdawał sobie sprawę, że zabrakło ojca. Kiedy matka usiadła obok niego i rozpakowała czekoladowy batonik (czym dotąd zajmował się wyłącznie ojciec), idiotyczny uśmiech zniknął z twarzy chłopca, a on sam wpadł w nieprawdopodobny wręcz szal i wykrzykując: „Szoko! Szoko! Szoko!”, próbował wytrącić matce smakołyk z rąk. Wtedy kobieta chwyciła go mocno za policzki i zaczęła mu wpychać kawałek batonika do zaciśniętych ust. W końcu Alex się poddał i zaczął przeżuwać czekoladę ze smutkiem, jakby zapadnięty w sobie, wpatrując się w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

Kiedy byłem mały, naiwnie wierzyłem w coś takiego jak karma. W to, że istnieje na tym świecie określona ilość zła, które może się przydarzyć ludziom, i że każdy z nas po prostu otrzymuje równą jego część. W innym przypadku Bóg okazałby się zbyt wielkim dupkiem. A może zwyczajnie nasiąknęłam w tych murach swoją własną wersją komunizmu. Tak czy inaczej to właśnie wiara w tę kosmiczną sprawiedliwość sprawiała, że każdego dnia zwlekałem się z łóżka. Bo jeśli miałem rację, oznaczało to, że otrzymałem już cały mój przydział złych rzeczy. Urodziłem się jako odrażający mutant, który został porzucony przez rodziców zaraz po narodzinach i trafił do posępnego szpitala. To moim zdaniem był mój przydział nieszczęść na całe życie, więc w przyszłości mogły mnie już spotkać tylko same dobre rzeczy. Ale w dniu, w którym ujrzałem łyzy toczące się po nalanych, wysmarowanych czekoladą policzkach Alexa, musiałem porzucić tę teorię. Alex, tak jak ja, już na starcie otrzymał swój przydział nieszczęść, a jednak przytrafiały mu się kolejne, a szanse, że w przyszłości spotka go coś dobrego, były praktycznie zerowe.

Po upływie roku matka Alexa też przestała przychodzić. Zapytałem siostrę Natalię, co się z nią stało.

– Kardiomiopatia, Iwanie. Niektórzy nazywają to zespołem złamanego serca.

A mnie nadal zdarza się poświęcać zbyt wiele czasu na rozmyślania, jaki byłby Alex, gdyby na jego mózg nie naciskała taka masa wody.

*

Dzieciaki z dziurawymi sercami

Enja, Dasza, Wład, Alexa i Nick mają dziurawe serca. Wygląda na to, że to schorzenie najczęściej występujące u pacjentów naszego szpitala. Wszystkie te dzieciaki mieszkają w Czerwonej Sali (której odrapane ściany, moim zdaniem, mają raczej odcień różowawy), gdzie leżą spokojnie w łóżkach i łóžeczkach, z plastikowymi rurkami wychodzącymi z ich piersi i prowadzącymi do maszyn, których zimna, bezosobowa inteligencja napełnia mnie egzystencjalnym niepokojem.

Dzieciaki z dziurawymi sercami nigdy nie zagrzewają u nas miejsca, w każdym razie nie na tyle długo, by zyskać w moich oczach odrębną osobowość i stać się pełnoprawną jednostką ludzką. Właściwie to bardziej przypominają miniaturowych kosmitów o humanoidalnych rysach twarzy niż prawdziwych ludzi. I wbrew powszechnemu przekonaniu ich krótki pobyt w naszym szpitalu nie dobiega tak szybko końca za sprawą ataku serca, a prawdziwego cudu. W przeciągu dziesięciu miesięcy ich serca są naprawiane, po czym dzieciaki wracają do rodzinnych domów, by wieść zupełnie normalne życie, wypełnione cukierkami, seksem i wyborami parlamentarnymi.

Chociaż w rzeczywistości to nie Bóg jest odpowiedzialny za naprawę ich serc, przynajmniej o ile mi wiadomo. Dawniej często zastanawiałem się, dlaczego On, jeśli rzeczywiście istnieje, nie daje nam, ludziom, jakoś wyraźniej do zrozumienia, że takie cuda to jego zasługa. A potem uświadomiłem sobie, że wówczas pewnie obwinialibyśmy Go o to, że cała reszta z nas nie jest równie łatwo naprawialna. Dopóki więc nie znajdę dowodów na to, że to właśnie Bóg jest odpowiedzialny za uzdrowienie tych wszystkich dzieciaków z dziurawymi sercami, nadal będę przypisywał wszystkie zasługi doktorowi Ridickowi.

Doktor Ridick zaczął odwiedzać nasz szpital, kiedy miałem jakieś osiem lat. Towarzyszyła mu cała świta asystentów, obładowanych pudłami z rozmaitym sprzętem medycznym. Wśród nich znalazło się też pudło z kilkoma kawałkami technologicznie zaawansowanego materiału, który najwyraźniej stanowił idealny substytut tkanek serca. Obecnie doktor Ridick odwiedza Mozyrz dwa razy do roku, w czerwcu i w grudniu,

i podczas swojego pobytu zszywa tyle serc, ile tylko zdoła. Następnego dnia po takiej operacji dzieciaki budzą się z uśmiechem na ustach, który płynie z poczucia, że ich serca biją równo i rytmicznie po raz pierwszy w ich życiu. Wiem to na pewno, bo nieraz czekałem cierpliwie pod salą, byle tylko zobaczyć, jak otwierają oczy. Zwykle dwa dni później pod główne wejście podjeżdża obcy samochód, jeden z takich świeżo „połatanych” dzieciaków odrobinę niepewnie schodzi po schodach i pakuje się na tylne siedzenie auta, które wiezie go w siną dal. Do tego nowego życia, w którym będzie mógł jeść prawdziwe jedzenie, przygotowane przez matkę, dumną z tego, że wydała go na świat, w którym znajdzie sobie normalnie mówiących przyjaciół i ukochaną.

Przez długi czas nie znosiłem dzieciaków z dziurawymi sercami, ale teraz jest inaczej. Nie dlatego, że moja sytuacja się zmieniła, ale ponieważ poznałem Ridicka. Jak większość ludzi początkowo go zniechęciłem. Podczas pierwszych kilku wizyt jemu i jego świcie towarzyszyła ekipa z kamerami i sprzętem audio, wędrująca krok w krok za dobrym doktorem, jakby był Bogiem ze Starego Testamentu. Kamerzyści filmowali otwarte, zakrwawione serca dzieciaków, nie pomijając najbardziej drastycznych szczegółów tej jatki, ku uciesze tysięcy bezimiennych widzów, którzy pragnęli poczuć w okolicy brzucha miłe ciepło na myśl o tym, że szczęśliwe zakończenia jednak są możliwe. Obserwowałem z bezpiecznej odległości, jak wygadani dziennikarze z całego świata przeprowadzają wywiady z Ridickiem, pielęgniarkami, a potem także z wyleczonymi dziećmi. Nie chodziło o to, że zazdrościłem im tego zainteresowania (choć może w głębi ducha jednak zazdrościłem), po prostu doprowadzało mnie do szału patrzeć, jak kamerzyści starannie ustawiają kamery, by ująć w śliczną ramkę sympatycznego lekarza i szczęśliwe dzieciaki z zacerowanymi sercami, zupełnie jakby ta mała grupka stanowiła wyspę odizolowaną od reszty nas, mutantów. A wystarczyłoby zatoczyć kamerą dokoła, by przekonać się, że tutaj k a ż d y ma jakąś historię. Ale dawno już zdążyłem się przekonać, że Nabokov miał rację, kiedy twierdził, że świat potrzebuje szczęśliwych zakończeń, choćby najbardziej nieetycznych.

Jako przykuty do wózka kaleka dysponuję ograniczonymi możliwościami dania upustu wściekłości czy innym trudnym emocjom, zwykle uciekam się więc po prostu do robienia kawałów. Pewnego ponurego dnia, kiedy nawet zdrowy człowiek zaczyna wątpić, czy życie ma sens, znalazłem się tuż obok Ridicka udzielającego wywiadu irlandzkiemu dziennikarzowi o imieniu Nigel, którego akcent sprawiał, że miałem wrażenie, jakby ktoś pocierał mi *chuja*¹⁰ papierem ściernym. Chociaż nie rozumiałem ani słowa z prowadzonej po angielsku rozmowy, miałem ochotę pourywać im obu łby. Oczywiście nie było to możliwe, wzięwszy pod uwagę moje fizyczne ograniczenia. Zamiast tego otworzyłem więc jedną z saszetek z keczupem, które podkradłem wcześniej ze stołówki, i wycisnąłem sobie całą jej zawartość do ust. Potem wymieszałem masę językiem (to jeden z nielicznych doskonale funkcjonujących narządów w moim

ciele), aż uzyskałem idealnie gładką konsystencję, tak że bez trudu można było pomylić keczup z krwią. Następnie zacząłem się wić w konwulsjach, zupełnie jakby opętał mnie duch Kaliguli.

Tak jak przypuszczałem, dobry doktor natychmiast rzucił się w moją stronę, podczas gdy żadne sensacje kamery natychmiast skierowały swoje obiektywy na to widowisko. Ridick niemal nadludzkim wysiłkiem wyszarpnął mnie z wózka, ułożył na podłodze i nachylił się, żeby przytrzymać mi głowę. Wpatrywał się przy tym we mnie uważnie i marszczył brwi, najwyraźniej próbując zdiagnozować, czemu nagle zacząłem podskakiwać jak epileptyk. Gdy tylko jego twarz znalazła się tuż przy mojej, charknąłem na niego moją pseudokrwcią. Kamery oczywiście zrobiły zbliżenie i uchwyciły każdy najdrobniejszy szczegół. Wbrew moim przypuszczeniom Ridick nie odskoczył z obrzydzeniem, tylko nadal przytrzymywał mi głowę, którą rzucałem jak oszalały, podczas gdy mieszanina keczupu i śliny spływała mu po podbródku i kapłała prosto w moje otwarte usta.

Potem kamery zniknęły, całe zamieszanie zmieniło się w szum gdzieś w tle – liczyły się już tylko oczy wpatrującego się we mnie Ridicka. I nagle uświadomiłem sobie, że doktor w ogóle nie przejął się odrażającą cieczą spływającą mu po twarzy, bo tak naprawdę obchodziło go jedynie podtrzymywanie mojej bezwładnej głowy. A potem przypomniała mi się piosenka *As Time Goes By* Franka Sinatry, którego widziałem kiedyś w telewizji. Może potrząsanie głową pobudziło to konkretne wspomnienie. Tak czy inaczej wszystkie dźwięki wokół nas ucichły. Zostały tylko błękitne oczy Ridicka i piosenka Sinatry. I zupełnie nieoczekiwanie, jakby w ogóle nie zależało to ode mnie, moje konwulsje osłabły, aż wreszcie całkiem ustały, głowa opadła mi na bok, a ja zacząłem szlochać. Płakałem ze wstydu i pewnie też odrobinę z żalu nad samym sobą, bo był to chyba jedyny moment, kiedy czułem się kochany przez kogoś poza Natalią.

W którymś momencie Ridick musiał wyczuć zapach keczupu, bo rozluźnił stalowy uścisk dłoni obejmujących moją głowę, a potem otarł z twarzy mieszaninę keczupu i śliny. Mógł mnie tak zostawić, płaczącego na podłodze jak idiota, zawstydzonego i upokorzonego. Mógł wezwać pielęgniarkę i poinformować ją, że trzeba mnie poddać badaniom psychiatrycznym. A tymczasem on nadal mnie obejmował, podczas gdy ja ryczałem już bez żadnych hamulców.

Kamery rejestrowały każdy szczegół, więc bardzo możliwe, drogi czytelniku, że widziałeś już w telewizji tę scenę, siedząc na kanapie razem z bliskimi w swoim wyjąłowym salonie. Program się skończył, puścili reklamy, a wy pewnie zaczęliście rozmawiać o mnie, żeby uniknąć niezręcznej ciszy. Często zastanawiam się, co mogliście wtedy mówić.

W którymś momencie musiałem zapaść w sen na tej zimnej podłodze, bo następnego ranka obudziłem się we własnym łóżku. Kiedy otarłem twarz z zaschniętych łez, zauważyłem na stoliku obok łóżka białą piłkę z czerwonymi szwami i autografem

składającym się z nieczytelnych zawijasów. Pod piłką leżała kartka, a na niej bardzo kiepskim rosyjskim napisano:

Drogi Iwanie!

Tę piłkę podpisał sam Reggie Jackson, mój ulubiony baseballista z czasów, kiedy byłem w twoim wieku. Nie mam pojęcia, czy o nim słyszałeś, ale jeśli zechcesz, możemy kiedyś porozmawiać o baseballu.

*Twój przyjaciel
Ridick*

Jeszcze tego dnia zdobyłem się na odwagę, żeby odszukać Ridicka i zwrócić mu prezent, którego zwyczajnie nie mogłem zatrzymać, choć bardzo tego chciałem. Siostra Elena poinformowała mnie jednak, że doktor odleciał już do Ameryki.

– Może to cię nauczy, żeby nie zachowywać się jak mały *gowniuk*¹¹ – dodała.

Na co odparłem:

– Ja przynajmniej muszę udawać, że nim jestem.

Elena odburknęła coś chamsko, po czym sobie poszła.

Czekałem sto osiemdziesiąt osiem dni na powrót Ridicka. Kiedy wreszcie któregoś dnia się zjawił, żeby zająć się naprawianiem kolejnych serc, oczywiście w towarzystwie nieodłącznej ekipy telewizyjnej, miałem przygotowane przeprosiny, które układałem w głowie od sześciu miesięcy, rozważając rozmaite scenariusze. Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Ridick rzucił mi kolejną piłkę, którą oczywiście upuściłem, bo przecież miałem tylko jedną dłoń wyposażoną w zaledwie dwa palce i kciuk. Ridick podniósł piłkę i włożył mi ją do ręki. Ta była podpisana przez jakiegoś Toma Seavera. Tego wieczora spędziliśmy dobre trzy godziny na rozmowach o baseballu. Od tamtej pory Ridick przywoził mi piłkę z autografem za każdym razem, kiedy przyjeżdżał zszywać serca. Mam ich już dwadzieścia dwie, z autografami takich sław, jak Mike Schmidt, Johnny Bench, Pete Rose, Jim Palmer, Steve Carlton, Carlton Fisk czy Catfish Hunter.

*

Zegar wskazuje godzinę 11.27.

Piszę od dwunastu godzin.

Jest trzeci grudnia 2005 roku.

Kilka minut temu siostra Natalia przyniosła mi czyste ubranie.

– Od czterech dni chodzisz w tych samych ciuchach – powiedziała.

– No i dobrze – mruknąłem.

– Cuchniesz tak, że czuć na korytarzu, więc zrób nam wszystkim przysługę i się przebierz.

– Zostaw rzeczy na łóżku.

Natalia wpatrywała się we mnie dłuższą chwilę. Już miałem ją zapytać o ten zielony skoroszyt, jednak wódka wciąż działała znieczulająco.

Rzuciła ubranie na łóżko.

– Wrócę za godzinę po brudne rzeczy.

– Lepiej za dwie.

*

Dennis

Dennis to prawdziwa zagadka.

Jest jedynym pacjentem, którego matka też mieszka u nas w szpitalu. Chociaż to może odrobinę za dużo powiedziane. Matka Dennisa jest warzywem utrzymywanym przy życiu przez wszystkie te maszyny z Sali Czerwonej. Jej losy stały się zresztą przyczyną wielkich kontrowersji w szpitalu.

Dennis i ja trafiliśmy tu prawie jednocześnie, w odstępie zaledwie paru dni. Już wtedy Dennis stanowił po prostu wielką masę pogrążonego w katatonii mięsa, przez czterdzieści minut na każdą godzinę kołyszącego się w wózku o wiele za małym dla dwumetrowego kolosa. Przez pozostałe dwadzieścia minut pozostaje zupełnie nieruchomy i obojętny na wszystko. W tych dwudziestominutowych interwałach lekarze kopali go i szturchali, dźgali, łaskotali, przypalali i bili po twarzy, ale nigdy nie udało im się wywołać żadnej reakcji. Na dodatek Dennis kołysze się ze zdumiewającą regularnością. Któregoś dnia, znudzony, policzyłem liczbę takich wahaniec na minutę podczas każdego z czterdziestominutowych cykli kołysania się. I odkryłem, że zawsze jest to niezmiennie siedemdziesiąt sześć wychyleń. Stanowiło to dla mnie kompletną zagadkę, dopóki dwa dni później jedna z pielęgniarek nie zamknęła mnie przypadkiem w Czerwonej Sali. Chociaż zbierało mi się na wymioty, zauważyłem, że maszyna, do której podłączono matkę Dennisa (zapewne podtrzymująca bicie jej serca), jest ustawiona właśnie na siedemdziesiąt sześć uderzeń na minutę.

Na samym początku matka Dennisa zjawiała się w naszym szpitalu z synkiem w objęciach, szukając pomocy. Kochała tę nędzną kupkę obciągniętych skórą kości, chciała jednak się dowiedzieć, dlaczego jej synek nigdy nie płacze, nie gaworzy, nie raczkuje, nie bawi się, nie chwyta niczego rączkami, nie kopie nóżkami, nie je. Po

pierwszych kilku tygodniach konsultacji i setkach badań neurologicznych, fizycznych i psychicznych lekarze orzekli, że Dennisowi zwyczajnie brakuje duszy. Miał w sobie wszystkie elementy składające się na osobowość człowieka, połączone ze sobą tak, jak Bóg przykazał, a jednak brakowało mu iskry życia (wtedy jeszcze Dennis nie wykształcił w sobie nawyku kołysania się). Cały zespół medyczny, składający się z trzech wykwalifikowanych pielęgniarek i lekarza z dyplomem nieakredytowanej akademii medycznej gdzieś na Litwie, uznał, że nie da się wysnuć żadnych innych wniosków.

Dni mijały, a matka Dennisa była coraz bardziej zrozpaczona. Ta rozpacz odcisnęła się najpierw na jej wyglądzie – twarz kobiety zaczęła się marszczyć niczym zgniatana w rękę puszka po coca-coli, włosy posiwiały. Z uporem domagała się przeprowadzenia jakichś eksperymentalnych zabiegów, które mogłyby tchnąć duszę w ciało jej syna. Specjaliści patrzyli w zrozpaczone oczy zrozpaczonej kobiety, a potem kłamliwie roztaczali przed nią wizje jakichś nowatorskich badań z pogranicza medycyny, choć doskonale zdawali sobie sprawę, że nie istnieje żadna metoda zdolna dokonać takiego cudu.

A teraz muszę wam opowiedzieć trochę więcej o matce Dennisa. Wedle krążących po szpitalu historii ta kobieta naprawdę urodziła się po to, by być matką. I tego właśnie od życia oczekiwała. Niestety, poroniła osiem razy, zanim wreszcie wydała na świat pozbawioną życia kupkę nieszczęścia, której nadała imię Dennis. Ojcem wszystkich poprzednich płodów był ten sam mężczyzna, który po ósmym poronieniu ostatecznie stracił cierpliwość i porzucił kobietę – oraz Białoruś. Matka Dennisa podjęła ostatnią próbę zajścia w ciążę – w ciemnym zaułku z pijanym żołnierzem, który właśnie wyszedł z baru przy Leninowskiej. Wygląda na to, że plemniki wstawionego faceta okazały się znacznie bardziej żywotne. Możecie więc wyobrazić sobie to rozczarowanie, kiedy po ośmiu nieudanych próbach kobieta wydała na świat dziecko obdarzone bijącym sercem i właściwie niczym więcej. Oto dramatyczny stan emocji matki Dennisa w momencie, kiedy zażądała od lekarzy, by wyleczyli jej synka.

Zdjęci rzadko tu spotykana litością, lekarze przez sześć miesięcy przeprowadzali rozmaite eksperymentalne zabiegi, byle tylko tchnąć duszę w ciało Dennisa. Robili to z przejętymi minami, chociaż dobrze wiedzieli, że chłopcu nie da się pomóc. A kiedy przetestowano już wszystkie teorie, z których żadna nie przyniosła rezultatów, zaoferowali matce Dennisa, że zatrzymają jej syna w szpitalu na stałe, żeby się nim opiekować i monitorować jego stan, czyli zajmą się nim tak, jak ona sama nigdy nie byłaby w stanie. Matka Dennisa bez słowa zabrała synka i opuściła szpital.

Dwa dni później zjawiała się z powrotem – prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Jak szalona biegła szpitalnymi korytarzami, gorączkowo poszukując jakiegoś lekarza, by ostatecznie zadowolić się pielęgniarką, której wręczyła dziecko, zanim sama zamknęła się w łazience. Chwilę później rozległ się stamtąd głośny łoskot, który mógł znaczyć

tylko jedno. Kiedy trzem pielęgniarkom do spółki ze strażnikiem udało się wyważyć drzwi, trudno było powiedzieć, czy bardziej krwawiły nacięcia na nadgarstkach kobiety czy skaleczenie na czole, które powstało podczas upadku na wyłożoną płytkami podłogę.

Lekarze jakoś zdołali zahamować krwawienie, nie byli jednak w stanie nic zaradzić na to, że matka Dennisa przypominała już tylko pustą skorupę, zupełnie jak jej synek. Trafiła do Sali Czerwonej, gdzie podłączono ją do maszyn, które nadal utrzymują ją przy życiu. Czasami zastanawiam się, czy tamtego dnia ona też straciła duszę. Któregoś razu spytałem nawet siostrę Natalię, zajęta składaniem pościeli, czy jej zdaniem mama Dennisa kiedykolwiek się obudzi.

– To wykluczone – odparła. – Jej mózg jest prawie całkowicie martwy.

– Więc czemu po prostu jej nie odłączycie? – zdziwiłem się.

– Iwanie, nasz szpital jest finansowany przez Kościół. Matka Dennisa zostanie tu tak długo, jak długo będziemy istnieć.

A potem tylko pokręciła głową na wyroki niewidzialnego bóstwa i wróciła do składania pościeli.

Ja jednak bardzo cenię Dennisa. Nie dlatego, że mu współczuję czy czuję z nim jakąś pierwotną więź – cenię go dlatego, że mimowolnie służy mi za czasomierz. Trzy sesje kołysania się po śniadaniu i wiem, że najwyższa pora udać się do świetlicy na kolejny odcinek *Wilka i zająca*¹². Sześć sesji od obiadu i czas na kolację. Dwie kolejne i wracam do świetlicy na nowy odcinek *Czterech pancernych i psa*¹³. Cztery następne ataki kołysania się – i cisza nocna.

Podczas jednej z tak częstych u nas przerw w dostawie prądu, która zatrzymała też wszystkie zegary w Czerwonej Sali, byłem nawet w stanie informować pielęgniarki i techników, która dokładnie godzina, wyłącznie dzięki kołysaniu się Dennisa.

Każdy zasługuje na to, by jego istnienie miało jakiś sens.

*

Rude bliźniaczki

Maria i Magdalena to jedenastoletnie rudowłose bliźniaczki. Ich długie włosy nie mają jednak tej płomiennej barwy, która tak zachwyca u modelek, a raczej nijaki odcień nieodłącznie towarzyszący nieciekawej, pospolitej twarzy i piegom przypominającym blizny. Skórę mają białą niczym alabaster, chyba nawet jaśniejszą od mojej, jeśli to w ogóle możliwe, z lekko lawendowym odcieniem, jak to się często zdarza u rudzielców. Do tego mnóstwo piegów i oczy zielone jak wodorosty. Mogłyby

nawet być na swój wyjątkowy sposób atrakcyjne, ale roztaczają wokół taką aurę, że chyba nawet by mi nie stanął.

Właściwie to sam nie wiem, dlaczego trafiły do szpitala. Wszystkie części ciała mają na swoim miejscu, potrafią zająć się same sobą i nawet zadbać o czystość. Wedle wszelkich społecznych standardów są całkowicie normalne. Chociaż nie, to akurat kłamstwo. Są tak straszliwie anormalne, że trudno w ogóle uznać je za istoty ludzkie. O ile mi wiadomo, n i g d y nie odezwały się do n i k o g o. A jednak, gdyby spytać kogokolwiek z mieszkańców szpitala, potwierdziłby, że rozmawiają ze sobą praktycznie bez przerwy, choć nie robią tego za pomocą słów. Wszyscy tutaj uważają, że dziewczyny komunikują się ze sobą i tylko ze sobą w myślach. Oczywiście, drogi czytelniku, chciałbyś teraz usłyszeć jakieś dowody na potwierdzenie tej teorii: kiedy Maria lub Magdalena postanawia, że najwyższa pora wstać i zajrzeć do pudła z zabawkami, podnoszą się **obie**. Kiedy któraś z nich decyduje, że dobrze byłoby zerwać się na równe nogi i pobiegać trochę po świetlicy, decyzję podejmują o b i e. Kiedy jedna uzna, że w końcu trzeba skorzystać z toalety, wychodzą **obie**. Właściwie wszystko robią jednocześnie. Nie ma nawet sekundy zawahania pomiędzy momentem, gdy któraś z nich podejmuje decyzję, a chwilą, gdy druga idzie w jej ślady. A jednak żadna pielęgniarka, żaden lekarz, nawet siostra Natalia, pełna przecież macierzyńskich ciągót i skłonna do żartów – zwyczajnie nikt nigdy nie zmusił ich do skinienia głową, mrugnięcia czy wykonania najdrobniejszego nawet gestu, który świadczyłby o tym, że są świadome istnienia świata poza ich własnymi umysłami. Któregoś razu nawet ja, wzorcowy przykład nietowarzyskiego mruka, podjąłem ten heroiczny wysiłek. Oczywiście nie po to, by zawierać jakieś przyjaźnie na całe życie – zwyczajnie zrobiłem to z nudów. Zacząłem od zupełnie niewinnych przekomarzanek: „Którą pielęgniarkę lubisz najbardziej, Marysiu? A ty, Magdusiu? Mogę tak do ciebie mówić? Naprawdę potraficie czytać w myślach, tak jak wszyscy mówią? No więc co sobie teraz myślę?” (a wszystko to powiedziane bardzo powoli, z przeciąganiem słów padających z moich wykrzywionych ust).

Wcale mnie nie zdziwiło, że nie doczekałem się odpowiedzi. Ale nie spotkałem się też z odrzuceniem.

To było moje zaproszenie do gry, w którą mogłem grać wyłącznie z samym sobą, a właśnie takie lubiłem najbardziej. Wyzwanie, by zaprząć do roboty szare komórki i sprowokować tę dwójkę do jakiegokolwiek reakcji na drugiego człowieka.

Pierwsza próba była skromna. Jak zwykle dziewczyny grały w *duraka*¹⁴ na zimnych płytkach świetlicy. Podjechałem do nich bliźutko, tak blisko, że wręcz czułem zapach ich szpitalnego szamponu, a potem ulokowałem się na samym środku odkładanych przez nie kart. Tak jak się tego spodziewałem, nawet nie mrugnęły, tylko grały dalej. Udałem więc, że zapadam w śpiączkę, i pozwoliłem, by ślina, która w takich sytuacjach zbiera mi się w kąciku ust, spływała mi po policzku i skapywała długą

strużką na karty. Przez następne pół godziny bliźniaczki grały dalej, podczas gdy kałuża mojej śliny zamieniała się powoli w prawdziwe jezioro. Kiedy Maria (a może Magdalena, jakoś nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby nauczyć się je rozróżnić) rzuciła ostatnią kartę, obie jednocześnie wstały, a potem zebrały swoje koce i poczłapały do łóżka, nie omijając nawet specjalnie kałuży mojej śliny. Obie po prostu przez nią przeszły, zostawiając wilgotne ślady małych stóp aż do samych drzwi. Ewidentnie musiałem bardziej się postarać.

Każdy człowiek musi wydalać odchody. Ta jedna rzecz jest nieunikniona. Co weszło, musi wyjść – to najświętsze prawo ludzkiej fizjologii. W naszym szpitalu każdy pokój stałego rezydenta jest wyposażony w łazienkę. Nie ma tu zbyt wielu luksusów, ale przynajmniej każdy z nas dostaje własną toaletę. Jedną z ogromnych wad tych łazienek jest to, że można zablokować drzwi, naciskając niewielki przycisk w klamce, a potem je zatrzasnąć. Łatwo więc odciąć sobie dostęp do toalety, jeśli człowiek przez przypadek uruchomi mechanizm zatrzaskowy z powodu swoich fizycznych ograniczeń (co dotyczy jakichś dziewięćdziesięciu siedmiu procent pacjentów). Znam to dobrze, bo przez wszystkie lata pobytu w szpitalu zatrzaskiwałem w ten sposób drzwi do swojej łazienki co najmniej sześć razy. Postanowiłem wykorzystać ten scenariusz w mojej kolejnej próbie – spowoduję podobny „wypadek” w łazience bliźniaczek. Uznałem, że kiedy natura się odezwie, dziewczyny nie będą miały innego wyjścia, jak tylko odszukać którąś z pielęgniarek i poprosić ją o otwarcie drzwi.

Chociaż bliźniaczki stanowią chyba najbardziej nieprzewidywalne i spontaniczne pacjentki szpitala, bez żadnego ustalonego rozkładu dnia, w jednej kwestii można na nich polegać – zaabsorbowane rywalizacją, potrafią grać całymi godzinami (być może wygrana czy przegrana to jedyny sposób pozwalający im w ogóle się rozróżnić). Czekałem cały dzień w świetlicy, aż wreszcie przyłapałem dziewczyny na zawziętym klaskaniu w dłonie, a była to zabawa najwyraźniej wymagająca ogromnej koncentracji, by nie zgubić rytmu i nie pomylić sekwencji uderzeń. Uznałem, że mam dwadzieścia do trzydziestu minut.

Wykorzystałem tę okazję, żeby pojechać do ich pokoju, gdzie wcisnąłem odpowiedni guzik w klamce drzwi łazienki, a następnie ostrożnie je zatrzasnąłem. Potem bez najmniejszych problemów wymknąłem się z powrotem na korytarz, niczym jedyny na świecie przykuty do wózka inwalidzkiego ninja, i nastawiłem się na czekanie. Minęły dwadzieścia cztery godziny. Potem czterdzieści osiem. Nie spuszczałem oka z bliźniaczek (oczywiście jeśli nie liczyć nocy, kiedy spały za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju). I nic. Bliźniaczki nie wypadły ze swojej sypialni, rozpaczliwie wymachując rękami, by ruszyć na poszukiwanie którejś z pielęgniarek. Nie słyszałem nawet, żeby szarpały za drzwi łazienki. Żadnych odgłosów.

Kiedy upłynął trzeci dzień, zrozumiałem wreszcie, że chociaż każdy z nas musi sikać, to niekoniecznie musi to robić w toalecie. Zdjęty ciekawością, zaczekałem, aż

bliźniaczki rozpoczęły kolejną pasjonującą karcianą rozgrywkę, a potem zakradłem się do ich sypialni. Oczywiście drzwi łazienki były nadal zamknięte. To sugerowało tylko dwie możliwości: albo rudzielce były w stanie wstrzymać się z sikaniem przez trzy dni, ryzykując zakażenie i pęknięcie pęcherza, albo znalazły inny sposób załatwiania naturalnych potrzeb. Gorączkowo krążyłem po całym pokoju, szukając jakichś wskazówek, aż wreszcie pod łózkami znalazłem to, czego szukałem. Bliźniaczki najwyraźniej podkładały podczas śniadań, obiadów i kolacji miski, a następnie napełniały je moczem i kałem. Pielęgniarki też pewnie wkrótce to odkryją, sprawdzą drzwi łazienki i je otworzą (innymi słowy – kolejna porażka).

Próba numer trzy: następnego wieczora odczekałem, aż bliźniaczki się położą, a kiedy już upewniłem się, że twardo śpią, zakradłem się do ich sypialni, uzbrojony w latarkę i nożyczki, które podwędziłem z biurka panny Kris. Za ich pomocą zacząłem ciąć długie pasma rudych włosów, raz za razem, pod różnymi kątami i na różnych długościach. Nowy image à la Iwan. Na koniec tymi obciętymi pasmami włosów związałem dziewczynom nogi. Po skończonej akcji odłożyłem latarkę i nożyczki na miejsce, żeby nie zostawić żadnych śladów przestępstwa.

Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, by dwoje ludzi, a zwłaszcza ludzi płci żeńskiej, choćby najbardziej patologicznie antyspołecznych czy psychicznie ze sobą związanych, mogło nie zareagować na fakt, że ktoś obciął im włosy i ich nimi związał. Następnego ranka jednak siostry wyłoniły się ze swojego pokoju z wystrzępionymi włosami, zupełnie jakby przeszły kilka cykli chemioterapii, ale twarze miały pogodne jak zawsze. Ramię w ramię poczłapały do jadalni.

Pierwsza zareagowała siostra Ludmiła.

– Na świętego Aleksandra, dziewczynki, co wy sobie zrobiłyście? – Uznałem to pytanie za retoryczne, ale pielęgniarka nie rezygnowała: – No odezwiecie się wreszcie?!

Bliźniaczki obojętnie przeżuwały kapustę. Siostra Ludmiła zaczęła nimi gwałtownie potrząsać, aż kawałki jedzenia posypały się z ich ust, ale nie doczekała się reakcji. To właśnie wtedy ostatecznie się poddałem, a stery przejęła siostra Ludmiła. Tego dnia zaczynała swój tydzień nocnych dyzurów. Obdarzona znacznie bardziej diabolicznym umysłem niż ja, uznała, że największą torturą dla bliźniaczek będzie zamknięcie ich w dwóch różnych pokojach (genialne w swej prostocie!), by wreszcie przerwać ich nadprzyrodzoną więź. Wieczorem przeniosła dwójkę dzieciaków z dziurawymi sercami do innych sal, a potem umieściła dziewczynki w ich pokojach. Niestety, wybrała dwie sąsiadujące ze sobą sale, co umożliwiło bliźniaczkom komunikację za pomocą telepatii i czegoś na kształt alfabetu Morse'a, którym wystukiwały sobie wiadomości przez całą noc. Następnego wieczora podstępna jak wąż Ludmiła postanowiła nie pozostawiać niczego przypadkowi. Umieściła Marię w pokoju Daszy w kobiecym skrzydle, a Magdalenę w sali Dennisa u chłopaków. Tej nocy nikt w szpitalu dla ciężko chorych

dzieci w Mozyrzu nie zmrużył oka. Wszystkich budziły przenikliwe, rozpaczliwe krzyki dwóch jedenastolatek.

[3](#) Te słowa nie pochodzą z oryginalnego tekstu Iwana. Zostały dopisane na prawym marginesie, uznaliśmy jednak, że warto je tu umieścić.

[4](#) Ptasia mleczko, popularny rosyjski deser.

[5](#) Z rosyjskiego „diabeł”.

[6](#) Z rosyjskiego potocznie „tyłek”.

[7](#) Z rosyjskiego mniej więcej tyle co „odpieprz się”.

[8](#) Zapewne zniekształcone „szokolad”, oznaczające po rosyjsku „czekoladę”.

[9](#) Zbiteń, tradycyjny rosyjski napój na bazie miodu z dodatkiem przypraw i dżemu, podawany na gorąco.

[10](#) Z rosyjskiego popularne potoczne określenie penisa. Nie jest wulgaryzmem – jak w języku polskim.

[11](#) Z rosyjskiego „zasraniec”.

[12](#) Rosyjski serial animowany produkowany przez Sojuzmultifilm (tytuł oryginalny: *Hy, nozodu!*, czyli *Ja ci pokażę!*) od 1969 roku. Szybko stał się popularny w całym bloku sowieckim. Ostatni odcinek nagrano w roku 2006.

[13](#) Popularny czarno-biały serial wyprodukowany w Polsce na podstawie książki Janusza Przymanowskiego.

[14](#) Popularna w krajach postsowieckich gra, której celem jest pozbycie się wszystkich trzymanych w ręku kart. Ostatni gracz, który ma jeszcze karty, zyskuje miano „duraka”, czyli durnia.

VII

Krwawiący, Niekrwawiący oraz Polina Intruz

O istnieniu Poliny dowiedziałem się, jeszcze zanim ją zobaczyłem. To zasługa mojej taktyki, by ciągle pozostawać czujnym, gotowym na wychwycenie najdrobniejszych okrucich informacji, które pozwolą mi przygotować się psychicznie na zmiany mogące naruszyć delikatną równowagę mojego świata. Odpowiedni wywiad pozwala mi też przewidywać nastroje szpitalnego personelu. Na przykład zawsze znam dzień (a nawet dokładną godzinę), w którym wszystkie pielęgniarki dostają okres (trzeciego każdego miesiąca, mniej więcej o 14.55). Niektóre cierpią wtedy bardziej od innych (jak siostra Ludmiła), więc lepiej wiedzieć, kiedy należy trzymać się od nich z daleka. Zignorowanie takiej wiedzy byłoby tragicznym w skutkach zaniedbaniem. Trwające dwadzieścia lat badania nad ludzką naturą pozwoliły ustalić znaczące różnice w sposobie, w jaki mężczyźni i kobiety reagują na konflikt: mężczyźni walą się po pyskach, a potem podają sobie ręce na zgodę, natomiast kobiety mają skłonność do zadawania swoim ofiarom przede wszystkim jak największych obrażeń psychicznych. Podejrzewam, że z punktu widzenia ewolucji ma to głębszy sens – kobiety musiały znaleźć własny skuteczny sposób na zadawanie bólu, by zrekompensować swoje niedostatki, jeśli chodzi o posturę i fizyczną siłę.

Moje namiętne szpiegowanie wszystkiego i wszystkich ma też taką zaletę, że jako jeden z pierwszych dowiaduję się o przybyciu do szpitala każdego nowego pacjenta. Potem już bez trudu zdobywam informacje o takim delikwencie (wiek, płeć, rasa, rozpoznanie kliniczne, rodzina i główne fakty z dotychczasowego życia, profil demograficzny), dzięki czemu łatwiej mi przewidzieć, w jaki sposób taki przybysz wpłynie na moje codzienne życie. Jestem już prawdziwym ekspertem w odczytywaniu mowy ciała lekarzy i pielęgniarek, więc bez trudu orientuję się, kiedy mogę się spodziewać ujawnienia naprawdę istotnych informacji. Zazwyczaj zaczyna się od tego, że lekarz rozgląda się nerwowo po całej sali. To dla mnie wskazówka, że najwyższa pora zacząć udawać śpiączkę. Kiedy głowa opada mi na bok, wystarczy kilka minut, a pan doktor już puszcza farbę i wydaje pielęgniarkom polecenia, jak mają się obchodzić z nowym podopiecznym, podczas gdy ja skrzętnie notuję wszystko

w pamięci.

W przeszłości ta strategia nieraz okazywała się przydatna, bo istnieją pewne typy pacjentów, których staram się unikać. Najbardziej wyróżniającą się grupą są ci, których towarzystwo oznacza konieczność oglądania krwi. To dlatego, że od zawsze boję się jej widoku (w takich momentach nawet nie muszę symulować katatonii). W ciągu tych wszystkich lat przyjęto do szpitala kilkoro nowych pacjentów, którzy bez żadnego uprzedzenia sprawili, że mdlałem i wymiotowałem na wszystko w promieniu dwóch metrów. Nazywam tych pacjentów Krwawiącymi.

Aljona też do nich należała. Miała na szyi ranę niegojącą się od dobrych trzech lat, bo nie potrafiła się powstrzymać przed jej rozdrapywaniem, choć wywoływało to rozmaite zakażenia. Gdybym dzięki podsłuchanym informacjom nie nauczył się jej unikać, chyba nie byłoby mnie tutaj i nie mógłbym spisać tej historii. Na szczęście Aljona nie mieszkała w szpitalu długo. Zmarła nagle z powodu powikłań wywołanych zakażeniem rany.

Bardziej niż Aljony obawiałem się jednak Georgija, którego krew cały czas spływała plastikowymi rurkami do specjalnej maszyny, ponieważ jego nerki nie pracowały właściwie. Sam nie wiem, czy uszedłbym z życiem, gdyby ktoś zmusił mnie do przypatrywania się krwi Georgija, krążącej rozmaitymi rurkami. Dzięki Bogu wcześniej przeprowadzony rekonesans pozwolił mi zorientować się, z jakim niebezpieczeństwem mam do czynienia, dzięki czemu mogłem trzymać się od niego z daleka.

Większość nowych pacjentów przyjmowanych do szpitala dla ciężko chorych pacjentów w Mozyrzu należy jednak do Niekrwawiących. Mam tu na myśli Maxa, Alexa, rudowłose bliźniaczki i większość dzieciaków z dziurawymi sercami. Kiedy zbiorę już wystarczająco dużo informacji, by uznać, że nowo przybyły będzie podpadać pod tę kategorię, mogę odetchnąć z ulgą i wrócić do czytania albo rozmyślań o piersiach Grace Kelly. Natomiast jeśli jest inaczej, czym prędzej uciekam do swojego pokoju (albo na schody – w zależności od tego, gdzie mam bliżej).

Istnieje jeszcze trzecia, znacznie bardziej tajemnicza kategoria. Ci pacjenci nie budzą już we mnie takiego niepokoju jak Krwawiący, ale jednak wciąż mogą naruszyć rutynę mojej codzienności. Nazywam ich Intruzami. Zwykle są to po prostu pacjenci, których poznanie wymaga ode mnie więcej czasu. I tak na przykład rudowłose bliźniaczki były Intruzami, zanim nie trafiły do przegródki zwyczajnych, nudnych Niekrwawiących.

Intruzów i Niekrwawiących odróżnia tak naprawdę ich IQ. W miejscu, w którym wskaźnik ten nie przekracza sześćdziesięciu pięciu, każdy człowiek o normalnej czy wyższej inteligencji stwarza niebezpieczeństwo dla spokoju mojego dnia. Na wspomniane niebezpieczeństwo składa się ewentualna rywalizacja o rozmaite szpitalne dobra, walka o władzę jak za czasów pierwszej wojny światowej oraz ewentualna konieczność wejścia w prawdziwą interakcję z drugim człowiekiem. A skoro już o tym mowa – Polina była Intruzem. I to najgorszego rodzaju – takim, który

w ogóle nie powinien tu trafić.

Po raz pierwszy usłyszałem jej imię wykrzykiwane przez naszego dyrektora podczas rozmowy telefonicznej – zapewne z przełożonym jakiegoś innego szpitala. Dyrektor był po prostu wściekły, aż pryskał wokół kropelkami śliny, kiedy obrzucał przekleństwami człowieka na drugim końcu linii. Podczas tej rozmowy udało mi się zebrać pewne informacje. Po pierwsze, ten ktoś na drugim końcu linii starał się namówić naszego dyrektora na przyjęcie nowej pacjentki na dłuższy okres. Po drugie, pacjentka miała białaczkę, co oznaczało spore prawdopodobieństwo, że będzie Intruzem (ostatecznie na białaczkę mogą cierpieć i mądrzy, i głupi ludzie). Po trzecie, dyrektor upierał się, że nasz szpital nie dysponuje ani miejscem, ani możliwościami leczenia chorej na białaczkę, więc najpewniej będzie to dla niej oznaczało wyrok śmierci. Po czwarte, pacjentka została całkiem niedawno sierotą i nie miała się gdzie podziać. Kiedy dyrektor w końcu rzucił słuchawką, stało się dla mnie jasne, że właśnie przegrał ten spór, a nowa pacjentka wkrótce zawita w progach szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu.

W tamtym momencie wiedziałem o niej tylko tyle, że ma szesnaście lat i jest dziewczyną. Postąpiłem więc tak, jak postąpiłbym w przypadku każdego innego Intruza. Następnego ranka ulokowałem się na swoim wózku nieopodal brązowych podwójnych drzwi, stanowiących główne wejście do szpitala, żeby obejrzeć nowo przybyłą. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę sobie, że powinienem być chyba bardziej przejęty na myśl o młodej dziewczynie, która ma do nas trafić, żeby umrzeć tu na białaczkę, sama, pozbawiona wsparcia niedawno zmarłych rodziców. Bardziej interesowały mnie jednak jej figura, długość włosów (jeśli w ogóle jeszcze miała włosy) i sposób poruszania się, które mogły mi powiedzieć, jak długo mniej więcej biedaczka u nas zabawi.

Po raz pierwszy ujrzałem Polinę piątego października o 9.17. Miała na sobie džinsy i T-shirt, a do jednego z jej kłapek przykleił się jesienny liść klonu. Dżinsy były lekko rozdarte na lewym udzie, a T-shirt zdobiła grafika przedstawiająca promień światła wpadający do błękitnego trójkąta i wychodzący z niego jako tęcza (później dowiedziałem się, że to okładka płyty ulubionego piosenkarza Poliny, zwanego Floyd Pink). Mój drogi czytelniku, czy potrafisz sobie wyobrazić coś bardziej nie na miejscu w naszym szpitalu? Jeśli odpowiedź jest twierdząca (?!), oznacza to, że nie udało mi się odpowiednio przedstawić ci naszej historii.

Muszę przyznać, że w tamtym momencie poczułem nawet coś na kształt współczucia. Dziewczyna nie miała pojęcia, dokąd trafiła ani w co się pakuje. To miejsce złamałoby każdą uroczą szesnastolatkę o pięknych brązowych włosach i błękitnych oczach, ubraną w T-shirt Floyda Pinka.

Ale przede wszystkim ją znienawidziłem.

Nienawidziłem jej, bo w ogóle nie powinna była się tu znaleźć.

Nienawidziłem jej, bo zanim zrobiła pierwsze trzy kroki, zrozumiałem, że jest święta. Nienawidziłem jej, bo już sama jej obecność była dla mnie szyderstwem.

Nienawidziłem jej, bo uświadomiła mi, jak łatwo przychodzi mi nienawiść.

Dwanaście kroków. Dokładnie tyle zrobiła od drzwi wejściowych do gabinetu dyrektora, gdzie miała wypełnić wszystkie niezbędne dokumenty. Tyle było ich trzeba, bym poczuł ten ogrom nienawiści.

Wtedy po raz ostatni widziałem Polinę w dżinsach. Po opuszczeniu gabinetu dyrektora podeszła do recepcji i wymieniła je na parę szarych dresowych spodni. Dostała też szpitalną koszulę, którą miała nosić podczas przyjmowania kolejnych cykli chemii, kiedy to pacjentom zdarza się tracić kontrolę nad zwieraczami.

Kiedy odchodziła z recepcji, wyposażona w nowy strój, była już zupełnie inną dziewczyną. Weszła do szpitala wyprostowana, z uniesioną głową, zupełnie jakby wkraczała w progi więzienia – gotowa rozkwasić nos pierwszej napotkanej osobie, byle tylko od razu ustalić swoją pozycję osobnika alfa. Teraz, kiedy zmierzała w głąb korytarza, ściskając w dłoniach swój mundurek dla chorych na raka, plecy miała przygarbione, a głowę pochyloną, choćby z całych sił starała się trzymać ją wysoko. Na dodatek wyglądała tak, jakby w ciągu tych trzech minut straciła dobre trzy kilogramy.

A mnie nagle wydała się o wiele mniej groźna.

Następnego ranka odczekałem, aż śniadanie dobiegnie końca, i ostrożnie pojechałem do świetlicy. Nie jadam śniadań przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny od przyjęcia do szpitala nowego Intruza. Sytuacja jest zbyt niebezpieczna. Zawsze potrzebuję kilku dni, żeby zebrać informacje, a dyskretna trzydniowa obserwacja pozwala mi odkryć wystarczająco dużo niedoskonałości, by strącić z piedestału nawet najbardziej niezniszczalnego Intruza. Co więcej, sama myśl o rozmowie bez przygotowania z żywym człowiekiem przeraża mnie równie mocno jak widok krwi.

Kiedy tamtego ranka ujrzałem Polinę po raz pierwszy, miała już podłączoną kroplówkę z chemią. Przez te wszystkie lata za sprawą rozmaitych cierpiących na białaczkę dzieciaków zdążyłem przywyknąć do tego widoku. Nowością była dla mnie myśl, że ktoś taki jak Polina może być szprycowany tą trucizną. Pamiętam, jak przeniosłem wzrok z worka z przezroczystym płynem na jej sięgające prawie do pośladków brązowe włosy. Były takie gęste, z tendencją do kręcenia się, i tak lśniące, że niemal mogłem w nich dostrzec swoje odbicie. W ciągu miesiąca zostaną z nich wystrzępione kosmyki, za dwa nie będzie po nich śladu.

Kiedy w szpitalu zjawia się jakiś nowy dzieciak z białaczką, zawsze zaczynam się zastanawiać, jak będzie wyglądać bez włosów. To w pewnym sensie wyzwanie dla mojej wyobraźni, które pozwala mi jednak przygotować się na to, co nieuniknione. Po raz pierwszy widziałem, jak pacjent z białaczką traci wszystkie włosy, kiedy miałem osiem lat. Bezceremonialnie powiedziałem wtedy piętnastoletniemu Władimirowi,

żeby oszczędził nam wszystkim męki i sam zgolił brzytwą te nędzne resztki, zanim sytuacja się pogorszy. Usłyszałem na to, że potrzebowałby czegoś znacznie więcej niż tylko brzytwy, by nie czuć mdłości na mój widok.

Trafiony zatopiony, Wład.

Ale tamtego dnia, kiedy patrzyłem, jak chemia sączy się powoli z kroplówki do krwiobiegu Poliny, po raz pierwszy nie byłem sobie w stanie wyobrazić łysego dzieciaka. Może po prostu nie chciałem. Może już wtedy ją kochałem, tyle że byłem zbyt przerażony i roztrzęsiony, by to zrozumieć. Wiem tylko, że choćbym nie wiem jak próbował wyobrazić sobie Polinę z łysą głową, nie byłem w stanie. Ale to żaden problem. Tak naprawdę coś ścisnęło mnie za serce, dopiero kiedy spuściłem wzrok na jej dłonie i zobaczyłem, że czyta *Martwe dusze*¹⁵. Mój drogi czytelniku, musisz wiedzieć, że pacjenci szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu nie czytają Gogola, o ile nie nazywają się Iwan Isajenko. I jeśli się nad tym zastanowić, to żaden z nich nie p o s i a d a też egzemplarza tej powieści, o ile nie nazywa się Iwan Isajenko. Co oznaczało, że Natalia obdarowywała książkami nie tylko mnie.

Jeszcze tego samego dnia postanowiłem porozmawiać o tej sprawie z siostrą Natalią. Nie żebym miał jej to wypominać, po prostu z czystej ciekawości. Akurat zeszkrobywała rozmaite gatunki pleśni z płytek podłogi w jednej z łazienek.

– Skąd ta nowa ma *Martwe dusze*? – zapytałem.

– A skąd mam wiedzieć? Pewnie przywiozła ze sobą.

– To niemożliwe. Widziałem na własne oczy, że przywiozła ze sobą tylko notes i kosmetyki.

– Może nie powinieneś traktować tak podejrzliwie wszystkich nowych pacjentów?

– Bardziej podejrzewam ciebie.

– No cóż, zupełnie niepotrzebnie. Dałam Gogola tylko tobie.

To oczywiście jedynie podsyciło moją ciekawość. Od razu pojechałem do swojego pokoju i zacząłem przerzucać stojące na regale książki. Dostojewski, Czernyszewski, Gonczarow, Bułhakow, Lermontow, Turgieniew, no i oczywiście Gorki. Ani śladu Gogola. Wniosek mógł być tylko jeden: zostałem okradziony!

To oznaczało zupełnie nowe kłopoty (że tak to ujmę). Byłem wstrząśnięty, ale nie tak, jak moglibyście przypuszczać. Przeraziła mnie nie świadomość, że naruszono moją osobistą przestrzeń, choć w innych okolicznościach rozpętałbym piekło na cały szpital. Było to poczucie niepokojącej obcości, którą odczuwam wyłącznie w przypadku owadów i prenterów wiadomości. To nie był kolejny Max, Alex czy Dennis albo jeden z dwu-, trzyletnich dzieciaków z dziurawymi sercami. Miałem do czynienia z zupełnie nowym gatunkiem. Kompletną zagadką bez przeszłości. Zniewalającym połączeniem aniołka i diabła. Dziecinną boginią, tak bardzo spragnioną porządnej rosyjskiej literatury, że gotowa była okraść kalekę. A to oznaczało, że mogła też dostrzec moje prawdziwe ja i zmusić mnie do tego, bym spojrział na siebie oczyma

kogoś z zewnątrz. Mogła sprawić, że przestanę się czuć jak duch nawiedzający korytarze tego szpitala. A tymczasem ja przywykłem do mierzenia się z różnymi chimerami, nie z kimś równym sobie. Co gorsza, Polina wcale nie była mi równa, była kimś więcej. Nie powinna się tu w ogóle znaleźć. Była Intruzem w pełnym tego słowa znaczeniu. Była doskonała, a jednocześnie na swój doskonały sposób tak niedopasowana. Powinna odgrywać rolę królowej w jakimś królestwie tylko dla dwojga. Na dodatek nie miałem pojęcia o bajkach. Znałem wyłącznie Gogola i skutki uboczne benzodiazepin.

Po dłuższej chwili w końcu jakoś zdołałem zapanować nad rosnącym niepokojem i ruszyłem z powrotem do świetlicy, żeby jeszcze raz popatrzeć na Polinę z daleka i nie dać się na tym przyłapać. Podjechałem parę metrów dalej, starając się stwarzać pozory, że nie mogę oderwać wzroku od telewizora, a potem kątem oka znowu zerknąłem na Polinę. Tym razem moją uwagę przykuły jej wystające spod szpitalnej koszuli nogi. Widok łydek o delikatnej skórze był dla mnie czymś zupełnie nowym, wręcz zakazanym. Różowe skarpety otulające jej stopy wydały mi się takie urocze. W końcu przeniosłem spojrzenie z powrotem na jej twarz. Nie dostrzegłem tam nawet śladu strachu, który musiała przecież odczuwać, czy choćby zapowiedzi mdłości wywoływanych przez chemię, atakującą już pewnie komórki żołądka Poliny. Czytała w skupieniu, spokojna – jak ktoś oddający się lekturze w hamaku gdzieś na tahitańskiej plaży, z dala od wszelkich ziemskich trosk. Jej twarz była tak niewzruszona, że przez chwilę wręcz chłonałem ją wzrokiem, tak jak człowiek chłonie uśmiech Mona Lizy. Kompletnie zapomniałem, że się na nią gapię, a w kąciku ust pewnie zbiera mi się ślina. Ona jednak musiała poczuć na sobie moje spojrzenie, bo w pewnym momencie oderwała wzrok od książki i popatrzyła mi prosto w oczy. Spanikowany, natychmiast zwolniłem hamulec wózka i odwróciłem się, żeby jak najszybciej odjechać (czyli niezbyt szybko, skoro mam tylko jedną rękę).

Tego dnia widziałem Polinę jeszcze raz. Zwykle kiedy chcę się ukryć przed całym światem, po prostu wracam do swojego pokoju i zamykam drzwi. Czasem jednak nie jestem w stanie usiedzieć spokojnie, krążę więc szpitalnymi korytarzami, dopóki nie spalę dość energii, by zwyczajnie paść bez czucia. Bywa, że zaszywam się na którejś z klatek schodowych i śpiewam jakieś bzdury, bo zwyczajnie podoba mi się echo. Tamtego ranka też wróciłem do swojego pokoju, ale byłem zbyt oszołomiony, by zostać w jednym miejscu, kilka następnych godzin spędziłem więc na włóczeniu się po rzadziej uczęszczanych korytarzach. Ale i one po czterech godzinach się skończyły, w związku z czym postanowiłem przenieść się na schody. Uwielbiam zwłaszcza podest na pierwszym piętrze, bo nie wiedzieć czemu echo przywodzi mi tam na myśl dziewiętnastowieczną cerkiew. Tym razem jednak, kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem odgłosy tłumionego szłochu, dobiegające gdzieś z parteru. Oczywiście od razu domyśliłem się, kto to może być. Mało kto w naszym szpitalu ma na tyle sprawne

kanaliki łzowe, by tak płakać, a głosy większości pielęgniarek zdążyłem już poznać. Co oznaczało, że to musiała być Polina. Nasłuchiwałem przez kilka minut, zastanawiając się, co mógłbym jej powiedzieć. A potem zrobiłem w tył zwrot i wróciłem do swojego pokoju.

Tamtego wieczora Polina przestała być Intruzem. Ta pozycja jest zarezerwowana dla robotów i psychopatów. Tymczasem Polina mimowolnie przeszła do zupełnie nowej, bezimiennej kategorii, która wydawała mi się znacznie bardziej przerażająca od pozostałych.

[15](#) Klasyczna powieść satyryczna Mikołaja Gogola z 1842 roku, o człowieku, który stara się podstępem odkupić od właścicieli ziemskich martwych chłopów pańszczyźnianych.

VIII

Trzymiesięczniacy

Najważniejsza informacja, jaką udało mi się zdobyć podczas udawania katatonii przez siedemnaście lat pobytu w szpitalu, jest taka, że mieszkające tu dzieciaki przynależą do jednej z dwóch kategorii: sześciomiesięczniaków lub trzymiesięczniaków. Po prostu leki są nam przepisywane albo na trzy miesiące, albo na sześć. Większość z nas otrzymuje sześciomiesięczne pakiety, bo to wymaga wypisywania mniejszej liczby recept i zwyczajnie wypada taniej. Jesteśmy więc, oczywiście, sześciomiesięczniakami. Jeśli jednak lekarz uzna, że nie ma wielkich szans, by jakiś dzieciak przeżył więcej niż jeden, dwa miesiące, zamawia tylko jedną trzymiesięczną kurację, by ograniczyć koszty. W realiach postkomunistycznego państwa liczy się każdy grosz.

Kiedy mieszkasz w miejscu, gdzie prawie nic się nie zmienia, nawet najbardziej makabryczna zmiana stanowi rozrywkę. Dlatego jednym z moich ulubionych zajęć jest typowanie trzymiesięczniaków jeszcze przed nadejściem dnia przepisywania leków. I muszę nieskromnie powiedzieć, że jestem w tym naprawdę dobry. Przez ostatnie cztery lata – aż do zeszłego miesiąca – nie pomyliłem się ani razu.

Bardziej duchowo usposobione pielęgniarki twierdzą, że napromieniowanie obdarzyło mnie paranormalnymi umiejętnościami przynależącymi do stanu śmierci, ale ja nie zgadzam się z tą teorią, bo to oznaczałoby złamanie Trzech Zasad Iwanizmu (patrz poniżej). Prawda jest taka, że po siedemnastu latach obserwowania powoli umierających dzieciaków po prostu nauczyłem się wyłapywać wszystkie charakterystyczne symptomy. Każda choroba ma swoje klasyczne objawy, taki wyznacznik umieralności. Na przykład główną przyczyną zgonów tu, w szpitalu, stanowi rak tarczycy. Kiedy chory na tarczycę dzieciak jest jeszcze sześciomiesięczniakiem, wygląda dokładnie tak jak każdy inny chory na raka (jest łysy, blady, chudy, ciągle biega do ubikacji i wydaje się z lekka otumaniony – tak działa na mózg cała ta chemia). Kiedy jednak staje się trzymiesięczniakiem, można oczekiwać pojawienia się znacznie ciekawszych objawów. Stałem się tak dobry w ich rozpoznawaniu, że siostra Natalia poprosiła mnie o przygotowanie arkusza oceny

diagnostycznej dla pozostałych pielęgniarek w nadziei, że to pomoże usprawnić opiekę i jednocześnie sprawi, że poczuję się przydatny. Oto kilka przykładowych stron (jak się przekonacie, w innym życiu byłbym doskonałym diagnostykiem).

Chory na tarczycę jest trzymiesięczniakiem, jeśli wykazuje co najmniej cztery z poniższych pięciu symptomów:

1. Jego szyja jest tak opuchnięta, jakby dzieciak połknął królika, który utknął mu potem w gardle.
2. Pacjent potrzebuje co najmniej trzydziestu minut, żeby przeżuć kęs jedzenia.
3. Kiedy prosi o zastrzyk przeciwbólowy, a jego głos przypomina komputerowy generator głosu.
4. Pacjent kaszle całą noc, budząc wszystkich dookoła.
5. Jego oddech przypomina sapanie grubasa, który właśnie pokonał dziesięć pięter.

Chory na białaczkę jest trzymiesięczniakiem, jeśli ma pięć z sześciu poniższych objawów:

1. Jego zęby wyglądają tak, jakby czyścił je nie nicią dentystyczną, a drutem kolczastym.
2. Wszystkie jego białe T-shirty są wybrudzone krwią z powodu codziennych krwotoków z nosa i oczu.
3. Nie może chodzić z powodu bólu kości.
4. Zaczyna przypominać Oliwię Oyl ze znanej amerykańskiej kreskówki o Popeye'u.
5. Przestaje przychodzić na śniadanie, obiad i kolację.
6. Zaczyna przesyłać ulubione programy w telewizji.

Dzieciak z zespołem Marfana jest trzymiesięczniakiem (choć zwykle chodzi raczej o trzy dni), jeśli występuje jedno z poniższych zdarzeń:

1. U pacjenta dochodzi do zatrzymania akcji serca, do zawału czy innej podobnej przypadłości.
2. Pacjent ślepnie.

Dzieciak ze stwardnieniem zanikowym bocznym¹⁶ jest trzymiesięczniakiem, kiedy:

1. Jego twarz staje się bardziej obwisła od mojej.
2. Pacjent jest biedny (nie wiedzieć czemu bogaci pacjenci żyją w naszym szpitalu dłużej).

Dzieciak z cukrzycą jest trzymiesięczniakiem, jeśli:

1. Amputowano mu co najmniej jedną kończynę.

2. Pacjent ślepnie.

To są tylko te choroby, które mają swoje nazwy. Pacjenci naszego szpitala cierpią jednak również na całe mnóstwo innych przypadłości, które wprawiają w zakłopotanie nawet najlepszych specjalistów¹⁷. Nadal jednak pozostaję prawdziwym jasnowidzem, jeśli chodzi o status trzymiesięczniaka w przypadku tych dzieciaków. Po jakimś czasie jestem w stanie nawet wyczuć po zapachu, które z nich już się poddały, bo ich ciała przesyłają do mózgu informację, że nawet najbardziej zacięta walka nie pozwoli im utrzymać się przy życiu. Koniec końców typowanie trzymiesięczniaka można ograniczyć do dwóch prostych objawów:

1. Z oczu takiego pacjenta znika całe światło.
2. Jego sylwetka zaczyna wyglądać tak, jakby ktoś ukradł mu połowę kości.

Siostra Katia, znana ze swojej obcesowości, zapytała mnie któregoś razu, czy moim zdaniem zdołam poznać, kiedy sam stanę się trzymiesięczniakiem. W pierwszym odruchu burknąłem, żeby się odpieprzyła. A potem dodałem, że sama będzie trzymiesięczniakiem mieszkającym samotnie w szpitalu dla ciężko chorych starych ludzi w Mozyrzu na długo przedtem, zanim ja się nim stanę. Siostra Katia, znana również z tego, że nie grzeszy inteligencją, nie umiała mi się nawet odciąć, ale gdy tylko satysfakcja z wygranej bitwy na słowa przygasła, rzeczywiście zacząłem się zastanawiać, czy będę w stanie przewidzieć ten moment. Ostatecznie postanowiłem sobie, że nigdy nie pozwolę, by tak się stało.

¹⁶ W Stanach Zjednoczonych lepiej znane jako choroba Lou Gehriga.

¹⁷ Dla informacji ogółu społeczeństwa redaktorzy czują się w obowiązku zaznaczyć, że w okresie, kiedy Iwan przebywał w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu, w regionie odnotowano wzrost zachorowań na następujące choroby: postępujące kostniejące zapalenie mięśni, progeria, przykurcz Dupuytrena, młodzieńcze reumatoidalne zapalenie stawów, zespół Parry'ego-Romberga, choroby wywołane mutacją genu COL2A1, stwardnienie rozsiane oraz większość odmian raka.

IX

Personel szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu

Poliną, mną i pozostałymi odmieńcami w naszym szpitalu zajmują się cztery pielęgniarki: siostra Ludmiła, siostra Elena, siostra Katia i siostra Natalia. Ich zadania to mierzenie nam ciśnienia i pobieranie krwi, zmiana pościeli i pieluch, pranie naszych ubrań, sprząkanie naszych toalet, czyszczenie naszych tyłków, opatrywanie naszych ran, podawanie nam leków i jedzenia, fałszowanie recept na nasze lekarstwa (w szpitalu nie ma lekarza na stałe), włączanie nam telewizora, mierzenie nam temperatury i rozstrzyganie, czy chodzi o infekcję wirusową czy też bakteryjną, by ewentualnie podać antybiotyki.

To chyba wszystkie wymagania, jeśli chodzi o pielęgniarki w naszym szpitalu. Dodatkowe cechy dobrego pracownika zakładu opieki zdrowotnej, takie jak empatia, humanitaryzm, uczciwość, szacunek, profesjonalizm i zwykła ludzka przyzwoitość, nie są obowiązkowe. Wiem o tym, dlatego że postawiłem sobie za punkt honoru podsłuchiwanie rozmów kwalifikacyjnych wszystkich pielęgniarek w ostatnich ośmiu latach, a zdarzyło się ich dokładnie dwie, bo dzięki temu czułem się tak, jakbym i ja miał coś do powiedzenia w procesie rekrutacyjnym.

Oczywiście siostra Natalia jest wyjątkiem. Pewnego dnia, kiedy akurat szorowała moją toaletę, zapytałem:

– Możemy porozmawiać o pewnej oczywistej sprawie, której wszyscy unikają jak ognia?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. W tym szpitalu jest mnóstwo takich spraw – odparła.

– No właśnie.

– Iwan, nie próbujesz przypadkiem za bardzo mącić?

– Wszystko jest już i tak wystarczająco mętne.

– To prawda, ale głośno nigdy tego nie przyznam.

– Powiedz mi tylko, dlaczego ciebie tak lubię, a ich wręcz nie znoszę?

Natalia przerwała szorowanie toalety, zdjęła jasnoróżowe rękawice i przytuliła mnie

niezgrabnie, bo akurat siedziałem na wózku. Trzy razy w życiu ktoś mnie przytulił, na dodatek w dwóch przypadkach była to właśnie siostra Natalia (pierwsza zrobiła to narratorka jakiegoś amerykańskiego filmu dokumentalnego, ale kilka sekund po wypuszczeniu mnie z objęć starannie wytarła ręce).

– Wiesz, że mój mąż nie żyje, prawda? – zapytała.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś, więc skąd miałbym wiedzieć?

– Bo wszystkiego innego potrafisz się domyślić.

– Kiedy umarł?

– Osiemnaście lat i dziewięć miesięcy temu.

– Czyli na rok przed tym, zanim cię poznałem.

– Właśnie zdecydowaliśmy się na dziecko, a potem nieoczekiwanie on umarł.

– Jak?

– Domyśl się.

– Jakaś odmiana niekontrolowanego podziału komórkowego?

– Owszem.

– Jasne.

– Po jego śmierci stanęłam przed wyborem. Mogłam pozostać mu wierna do końca życia albo znaleźć kogoś, kto da mi dziecko. Próbowałam nawet, ale nie potrafiłam się zmusić do tego, by dotknąć innego mężczyzny. Zostałam więc pielęgniarką i teraz mam więcej dzieci, niż kiedykolwiek mi się marzyło.

W tamtym momencie spłynęło na mnie cudowne, wręcz kosmiczne objawienie – podczas gdy pozostałe pielęgniarki były po prostu wrednymi, marudnymi babami, Natalia była w każdym calu matką.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tak.

– Ale przecież wszyscy jesteśmy tacy pokręcani.

– Jesteście dokładnie tacy, jacy powinniście być.

– Dlaczego nie mogłyby przynajmniej udawać?

– Iwan, ty się wściekasz, kiedy dostaniesz na śniadanie zimną kapustę. Jak myślisz, jaką pielęgniarką byłbyś w miejscu takim jak to?

Dobrze powiedziane, Natalio.

X

Jungowskie archetypy

Carl Gustav Jung, uznany psycholog i protegowany Zygmunta Freuda, to jedyny człowiek, który byłby w stanie powiedzieć mi na temat mojego umysłu coś, czego jeszcze nie wiem. Jak w przypadku każdego innego autora, którego pozycję czytam, starałem się podawać w wątpliwość każdą jego tezę, głównie dlatego, że jestem wręcz patologicznie uparty. W książce *Archetypy i nieświadomość zbiorowa* Jung stawia tezę, że każdy człowiek reprezentuje jeden z archetypów albo ich mieszaninę, czyli w skrócie rzecz ujmując, którąś z kosmicznych osobowości, które istniały na długo przed naszymi narodzinami. Pierwszych pięćdziesiąt stron przeczytałem wyjątkowo uważnie, zdanie po zdaniu, starając się zdekonstruować i obalić jego tezę. Przy setnej zrezygnowałem z tej nierównej walki. Obecnie jungowskie archetypy to jedyna metodologia, jaką się posługuję, by zrozumieć ludzi zaludniających mój świat. Moimi ulubieńcami są: Trickster (to ewidentnie moja dominanta), Matka (Natalia), Dziecko (Max) oraz Bogini (Polina).

Pozostałe pielęgniarki też reprezentują swoje archetypy. Siostra Elena jest Pijaczką. O ile się nie mylę, w rozmaitych szafkach i kanapach na terenie całego szpitala poutykała co najmniej siedem butelek wódki rozmaitych marek, choć nie mam pojęcia, dlaczego nadal je ukrywa, skoro i dyrektor, i pozostałe pielęgniarki doskonale znają jej schowki. Na szczęście dla niej alkoholizm jest na Białorusi powszechnie akceptowany.

Siostra Katia jest Dręczycielem. Potężnie zbudowana, groźna i bardzo czarna. Jest również bardzo nieszczęśliwą kobietą, obarczoną ósemką dzieci i zaledwie połową męża (i to dosłownie, bo człowiek ten stracił w wypadku przy pracy obie nogi, a wiem o tym, ponieważ co kilka miesięcy zjawia się w naszym szpitalu na ściąganie płynu z kikutów). Jung stwierdziłby zapewne, że siostra Katia wykorzystuje swoje gabaryty i egzotyczny wygląd, by sprawować kontrolę nad światem, w którym często czuje się tej kontroli pozbawiona.

Siostra Ludmiła odgrywa rolę Niepewnej Siebie Jędzy (moim zdaniem trafniejszym określeniem byłoby Bulimiczka Cudzołożnica, ale na to Jung nie wpadł). Jest również Egzekutorką, ponieważ twardo i nieustępliwie przestrzega wszelkich reguł, nawet

w miejscu, w którym reguły praktycznie nie mają znaczenia. I choć większość personelu szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu stanowią podejrzone indywidua, ona jedyna wzbudza we mnie prawdziwy, nieprzemijający strach. A to dlatego, że jest kompletną socjopatką. Nie mam żadnych wątpliwości, że tak jak Dennis urodziła się bez duszy. By rozprawić się najpierw z najbardziej oczywistą sprawą, Ludmiła od dawna jest wplątana w obrzydliwie fizyczny romans z naszym dyrektorem, Michałem Kurkiem. Wiem o tym, bo we wtorkowe i czwartkowe poranki na korytarzu często cuchnie ich erotycznymi igraszkami, a poza tym Ludmiła krzyczy podczas orgazmów. Ale jej złośliwe sztuczki sięgają daleko poza obręb dyrektorskiego gabinetu. Ludmiła trafiła do nas pięć lat temu ze szpitala dla psychicznie chorych po tym, jak jeden z jej podopiecznych strzelił sobie w głowę. Najwyraźniej grał z kilkoma innymi pacjentami w rosyjską ruletkę. Co więcej, w naszym szpitalu nieraz byłem świadkiem, jak podkrada pieniądze pozostałym pielęgniarkom, zabiera batonik szoko Alexowi tylko po to, by zaraz wyrzucić go do śmieci, a poza tym regularnie nacina sobie skórę po wewnętrznej stronie ud rozmaitymi kuchennymi nożami, które ukrywa za proszkiem do prania. Był też pewien pacjent, Dimitrij, z którym prawie się zaprzyjaźniłem, bo prawie dorównywał mi inteligencją, a którego siostra Ludmiła dręczyła psychicznie tak długo, aż wreszcie uciekł ze szpitala bez słowa pożegnania.

Moja historia ma jeszcze jednego godnego wzmianki bohatera: sekretarkę Kristinę. Kristina całe dni zajmuje się papierkową robotą, mechanicznie pozdrawiając pielęgniarki i pacjentów mijających jej stanowisko. Odgrywa rolę Uległej Sługi, choć osobiście wolę określenie Poduszczecka na Igły. Przez siedemnaście lat mojego pobytu w szpitalu nigdy nie widziałem jej w innej sytuacji niż podczas skrupulatnego wypełniania cudzych poleceń. Dyrektor albo któraś z pielęgniarek wykrzykuje tylko rozkaz, a ona natychmiast podrywa się z miejsca. Jung powiedziałaby pewnie, że za sprawą doświadczeń z wczesnego dzieciństwa, spędzonego z emocjonalnie nieobecny ojcem i matką, której zwyczajnie nie dało się zadowolić, uwierzyła, że liczy się wyłącznie służenie innym. A wiem o tym, bo jej matką jest siostra Elena.

*

Zegar wskazuje godzinę 14.18.

Piszę od piętnastu godzin.

Jest trzeci grudnia 2005 roku.

Nie zdawałem sobie sprawy, że zapadłem w sen, dopóki nie poczułem, jak siostra Natalia szarpie mnie za kikut ręki.

– Iwan – rzuciła wysilonym szeptem.

- Co? – Pociągnęła nosem i pokręciła głową z dezaprobatą. – Sama dałaś mi wódkę.
 - Muszę ci coś powiedzieć.
 - Tak?
 - Będziemy mieli pogrzeb.
 - Co takiego?
 - Dokładnie tak.
 - Religijny?
 - Owszem, prawosławny.
 - Myślałem, że nie ma pieniędzy na takie rzeczy.
 - Miasto za to zapłaci.
 - Miasto jeszcze nigdy nie zapłaciło za pogrzeb kogoś od nas.
 - W tym przypadku zamierzają zrobić wyjątek ze względu na okoliczności.
 - Jakie okoliczności?
 - Chodzi o jej młody wiek. No i o jej zmarłych rodziców.
 - To ty za wszystko płacisz, prawda? – Cisza była najlepszą odpowiedzią na moje pytanie. – Przecież nie masz pieniędzy.
 - Gdybym ich nie miała, nie byłoby pogrzebu, zgadza się? A jednak pogrzeb się odbędzie, więc najwyraźniej muszę jakieś mieć.
 - Robisz to dla mnie.
 - I dla niej.
 - **Wszyscy** zasługujemy na porządny pogrzeb.
 - Od kiedy przejmujesz się takimi sprawami?
 - Od teraz.
 - Zabiorę cię ze sobą.
 - Nie.
 - Tak.
 - Nie pojedę.
 - Kiedy umarł mój mąż, też myślałam, że nie dam rady przez to przejść. A jednak to zrobiłam.
 - Dlaczego?
 - Bo gdybym nie wzięła udziału w jego pogrzebie, byłoby tak, jakbym naplula na jego grób.
 - Nigdzie nie idę.
 - Przestań zachowywać się tak, jakby chodziło wyłącznie o ciebie.
 - Ona nie żyje, więc z definicji już nic nigdy nie będzie dla niej.
- Przekręciłem się na drugi bok.
Natalia wstała.
- Za trzy dni, Iwanie. – Przystanąła jeszcze w drzwiach. – Bądź przygotowany.

XI

Doktor Michaił Kruk, dyrektor

Michaił Kruk to idealny przykład mieszanki archetypów. Po pierwsze, jest Złodziejem. Jego praca polega właściwie na przyjmowaniu od Cerkwi pieniędzy przeznaczonych na leczenie dzieciaków. Tyle że w rzeczywistości nasz dyrektor wydaje na to zadanie mniej niż połowę otrzymanych funduszy. Wiem o tym, bo kiedy udaję katatonię, pielęgniarki często narzekają, że muszą ciągle poprawiać jego raporty finansowe.

Dyrektor odgrywa również rolę Casanovy. Dwa razy w tygodniu urządza sobie potajemne schadzki z najmłodszą – i zwykle obdarzoną największym biustem – pielęgniarką w naszym szpitalu, chociaż ma żonę i trójkę dzieci.

Jest również Najbardziej Przeciętym Facetem na Świecie, co pewnie czyni go też idealnym everymanem: jest bystry, ale nie za bardzo. Ma charyzmę, ale tylko tyle, by nadawać się do kierowania podupadłym szpitalem. Jest gruby, ale nie karykaturalnie otyły. Po prostu – jest przeciętny w najgorszy z możliwych sposobów.

Przez siedemnaście lat rozmawiałem z nim dwukrotnie: raz o moim penisie i raz, kiedy upiłem się jego wódką. Po dwunastu latach obserwowania ukradkiem, jak raczy się napojami wyskokowymi, byłem zwyczajnie ciekawy, postanowiłem więc spróbować zakazanego trunku po raz pierwszy. Zakradłem się do gabinetu dyrektora podczas jego kolejnej nocnej schadzki z siostrą Niką, najmłodszą i najbardziej piersiastą pielęgniarką w tamtym okresie, a potem otworzyłem szufladę biurka, z której zawsze wyjmował butelkę. Pod nią leżało zdjęcie jego rodziny gdzieś nad jeziorem, na tle pokrytych iglastym lasem wzgórz. Wyglądali na szczęśliwych, a Michaił uśmiechał się niewinnie. Przy okazji zrozumiałem też, dlaczego uprawiał pozamałżeński seks. Z obiektywnego punktu widzenia jego żona przypominała nosacza – gatunek małąp, które widziałem w telewizji.

Kiedy człowiek jest przyzwyczajony do jedzenia dzień w dzień pozbawionej smaku kapusty, jeden łyk wódki może być zupełnie szokującym doświadczeniem, dlatego też wyplułem całą pierwszą porcję na biurko dyrektora, na jego skórzany fotel i pojemnik na długopisy, po czym kolejną godzinę spędziłem na wycieraniu tego wszystkiego papierem toaletowym. Potem zebrałem całą odwagę, jaka mi jeszcze została,

i postanowiłem spróbować jeszcze raz, tyle że tym razem przełknąłem wódkę tak szybko, że nie zdążyłem jej wypłuć.

Najpierw zastanowiło mnie, po co ktoś w ogóle miałby pić takie świństwo. Ale zaraz potem etanol przekroczył barierę krew–mózg, a ja zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że ludzie nie piją tego przez cały czas. Pociągnąłem z butelki po raz trzeci, a że ważyłem wtedy jakieś trzydzieści kilogramów (nie mając przecież wszystkich kończyn), wypilem tyle, ile oznaczałyby dwie setki dla przeciętnego Białorusina. Mój świat zaczął wirować w jakimś szalonym tańcu. Czym prędzej odłożyłem butelkę na miejsce, co dało mi szansę na przyjrzenie się po raz kolejny rodzinie starego dobrego Michaiła, a to z kolei sprawiło, że nagle zapragnąłem go poznać. Doskonale się zresztą złożyło, bo właśnie w tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich pan dyrektor we własnej osobie. Zanim się odezwał, wyjąłem fotografię i powiedziałem, że ma piękną rodzinę. A potem zarzygałem mu całe biurko. I kompletnie odleciałem.

Obudziłem się w swoim łóżku. Na mojej piersi leżała kartka: „Niech to będzie ostatni raz. Michaił”.

XII

Mój terapeuta, doktor nauk medycznych Arkady Jakowlew

(oraz dr Leontij Iwanow, mgr Walerija Lagunow, mgr Roma Pawłow, doktor nauk psychologicznych Witalij Maksimow, mgr Igor Polzin, dr Masza Sokołow, dr Michaił Anders, dr Lazar Wasiljew, dr Naum Berkinow, dr Danił Trocki, doktor nauk psychologicznych Alosza Konstantinow, dr Marlen Fubow oraz mgr Tichon Andriejew)

Odkąd w 1991 roku Białoruś ogłosiła niezależność od Mateczki Rosji, rząd był na tyle szczodry, by opłacać comiesięczne wizyty psychologa, psychiatry oraz/lub pracownika opieki społecznej, by próbowali naprawić nasze głowy. W ciągu ostatnich siedemnastu lat zajmowało się mną co najmniej czternastu różnych specjalistów od zdrowia psychicznego. Miałem siedem lat, kiedy po raz pierwszy zostałem poddany badaniom psychiatrycznym przez doktora Leontija Iwanowa (w skrócie: doktora Leona). Nasza pierwsza rozmowa brzmiała mniej więcej tak:

Doktor Leon: Dzień dobry, Iwanie. Jestem doktor Leon. Miło cię poznać. Jak się miewasz?

Ja: Źle.

Doktor Leon: Dlaczego źle, Iwanie?

Ja: Bo jestem w szpitalu. Bo jestem paskudny i nikt tu nie mówi. I nie mam rodziców.

Doktor Leon wygląda na naprawdę przejętego moimi słowami.

Ja: Wszystko w porządku, doktorze Leon?

Doktor Leon: Oczywiście, Iwanie. A więc chcesz powiedzieć, że jest ci tu źle, bo czujesz się samotny?

Ja: Tak, ale i z tych innych powodów, o których mówiłem.

Doktor Leon: A jak to jest czuć się samotnym, Iwanie?

Ja: Już mówiłem. Źle.

Doktor Leon: Możesz mi powiedzieć na ten temat coś więcej?

Ja: A czuł się pan kiedyś źle?

Doktor Leon: Oczywiście, Iwanie. Każdy czasem czuje się źle.

Ja: No więc tak to właśnie jest. Tyle że na dodatek przez cały czas.

Doktor Leon: A gdzie koncentruje się to nieprzyjemne uczucie?

Ja: W głowie. Właściwie to chyba wszędzie.

Doktor Leon: W palcach u stóp też?

Ja: Ja nie mam palców u stóp.

Doktor Leon: Rozumiem. Od jak dawna się tak czujesz?

Ja: Od zawsze.

Doktor Leon: No cóż, to nie brzmi dobrze.

Ja: Mogę o coś spytać, doktorze Leon?

Doktor Leon: Oczywiście, Iwanie. Pytaj, o co tylko chcesz.

Ja: Dlaczego mam wrażenie, że to pana pierwszy dzień w pracy, skoro jest pan taki stary?

Doktor Leon był moim terapeutą przez kolejne dwa lata. Każde spotkanie wyglądało mniej więcej tak samo jak to pierwsze.

Po doktorze Leonie moją terapeutką została panna Lagunow. Nasza pierwsza rozmowa wyglądała następująco:

Panna Lagunow: Cześć, Iwanie. Jak się miewasz?

Ja: Żle.

Panna Lagunow: Przykro mi to słyszeć. A dlaczego źle, Iwanie?

Ja: Bo jestem w szpitalu. Bo jestem paskudny i nikt tu nie mówi. I nie mam rodziców.

Panna Lagunow: I jak się z tym czujesz?

Ja: Żle.

Panna Lagunow: Aha, rozumiem, Iwanie. Spójrzmy...

Panna Lagunow zaczyna zawzięcie stukać w klawiaturę komputera, niedawno sprezentowanego szpitalowi przez miejscową białoruską firmę informatyczną Bielanuw.

Panna Lagunow: Czy powiedziałbyś, że często jesteś też zły?

Ja: Tak.

Panna Lagunow: Czy straciłeś zainteresowanie ulubionymi rzeczami?

Ja: Mało jest rzeczy, które lubię.

Panna Lagunow: I ciągle czujesz się smutny.

Ja: Tak jak mówiłem, czuję się źle.

Panna Lagunow: Spójrz tutaj, Iwanie.

Panna Lagunow odwraca ekran komputera w moją stronę.

Panna Lagunow: Iwanie, to jest Internet. Możemy się z niego wiele dowiedzieć. Według tej strony internetowej cierpisz na depresję.

Ja: A to nie znaczy po prostu, że źle się czuję?

Wszyscy ci lekarze nie dostrzegali jedynej rzeczy, na której naprawę mi zależało – żeby wreszcie spotkać kogoś, kto pozwoli mi choć na chwilę zapomnieć, że

rozmawiam z psychiatrą o tym, jak to jest tkwić zamkniętym w takim miejscu. Przy piątym terapeutcie, doktorze Polzinie, uznałem, że znacznie lepiej poradzę sobie sam. Zacząłem więc prosić siostrę Natalię (przy której często zapominam, że rozmawiam z pielęgniarką) o każdy możliwy podręcznik psychologii klinicznej, jaki wpadnie jej w ręce. Obecnie uważam się za równie dobrze wyedukowanego w temacie procesu terapeutycznego jak którykolwiek z moich terapeutów. Co więcej, kiedy z perspektywy czasu patrzę na tę paradę pajaców udających psychologów, jestem niemal pewien, że co najmniej dziesięcioro z całej czternastki miało o wiele większe problemy psychiczne niż którykolwiek z mieszkańców szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu. Moim zdaniem większość terapeutów wybiera takie studia, by pomóc sobie, a dopiero potem daje się zwieść na manowce i próbuje leczyć innych. Przy szóstym terapeutcie uznałem, że to będzie wyjątkowo altruistyczny uczynek – pomóc moim terapeutom.

Moim pierwszym projektem była pani doktor Masza Sokołow. Kiedy popatrzyłem jej w oczy, uznałem, że biedaczka żyje przede wszystkim we własnej głowie. Wiecznie się garbiła, co, jak wyczytałem w książce na temat techniki Alexandra, oznaczało, że jest z natury uległa. Na dodatek ubierała się jak popadia, mówiła o wiele za szybko, prawie nigdy nie patrzyła mi w oczy, a po zakończeniu każdej sesji odchodziła niemal biegiem, żeby, jak się później dowiedziałem, móc wreszcie zapalić papierosa. Niecierpliwość, z jaką się zaciągała, przywodziła mi na myśl wygłodzone niemowlę, przysysające się do piersi matki po całym dniu postu. Podsumowując, doktor Sokołow wymagała terapii. Podczas jednej z sesji akurat mówiła coś w rodzaju: „A więc, Iwanie, czy zrobiliśmy jakieś postępy, jeśli chodzi o twój sposób komunikowania się... bla... bla... cały ten psychobełkot... bla?”, kiedy bezceremonialnie jej przerwałem:

– Pani doktor, czy czuje się pani w moim towarzystwie nieswojo?

– Hm, nie, oczywiście, że nie, Iwanie. Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy? – odparła swoim charakterystycznym szeptem.

– Zauważyłem, że nigdy nie patrzy mi pani w oczy. To chyba Carl Rogers¹⁸ stwierdził, że kontakt wzrokowy stanowi podstawę umożliwiającą zbudowanie zaufania i porozumienia podczas procesu terapeutycznego?

– Przecież patrzę ci w oczy, Iwanie.

– Sama pani widzi, próbowała pani nawiązać kontakt wzrokowy na samym początku, a potem spuściła pani wzrok na swoje ręce. Czuje się pani w moim towarzystwie skrępowana, proszę to przyznać. Sama pani powiedziała, że musimy się nauczyć ufać sobie nawzajem.

– Iwan, przysięgam...

– Zastanawiała się pani kiedykolwiek, dlaczego tak się dzieje?

– Ale co?

– Dlaczego czuje się pani skrępowana w moim towarzystwie?

– Iwanie, to moja praca, przysięgam...

Urwała, żeby upić łyk herbaty, co dało mi okazję, by ponownie wtrącić:

– Czuje się pani skrępowana, bo ma pani ochotę się ze mną przespać. – Doktor Sokołow zakrztusiła się, tymczasem ja ciągnąłem: – Nie zamierzam pani oceniać, pani doktor. Bynajmniej. Z pewnością istnieje mnóstwo zupełnie zrozumiałych powodów, dla których odczuwa pani perwersyjny pociąg do osób niepełnosprawnych.

– Iwanie...

Rozpaczliwie próbowała odzyskać kontrolę nad rozmową, ja jednak nie zamierzałem się poddawać:

– Podejrzewam, że w dzieciństwie była pani raczej pospolita, jeśli nie wręcz brzydka. Czuła się pani samotna. Podejrzewam, że pani ojciec stosował przemoc psychiczną i tylko umacniał w pani poczucie nieprzystosowania.

Tak naprawdę byłem pewien tego, co mówię, w zaledwie sześćdziesięciu procentach.

– Iwanie, to naprawdę niestosowne i... po prostu paskudne. Lepiej wróćmy do ciebie.

Nawet zgorszona nie była w stanie podnieść głosu ponad wściekły szept.

– Pani doktor Sokołow, jak możemy nawiązać obopólnie korzystną relację terapeutyczną, jeśli nie załatwimy kwestii sprawy silnego seksualnego przyciągania między nami? Niemal widzę żar promieniujący z pani lędźwi.

Skinąłem ręką w stronę jej podbrzusza.

– Przestań albo natychmiast wychodzę – zagroziła.

– Miasto zapłaciło już pani za tę godzinę, więc równie dobrze możemy spędzić ten czas przyjemnie. Poza tym to naprawdę ważne. Jak już wspomniałem, pani poczucie własnego nieprzystosowania ukształtowało się w okresie dojrzewania i to właśnie wtedy zaczęła pani fetysyzować osoby niepełnosprawne, bo gdzieś w głębi ducha sama czuje się pani kaleką.

– Przestań, Iwanie.

Jej szept przypominał krzyk, na ile tylko było to możliwe.

– Proszę się nie przejmować, pani doktor. To zupełnie naturalna i zrozumiała reakcja. Mnie ciągle się to zdarza. Aż tak bardzo się od siebie nie różnimy.

– W ogóle nie jesteśmy do siebie podobni.

– Skończyła pani studia na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym w Mińsku? Mogła pani znaleźć etat w dowolnej klinice w Europie, a jednak wybrała pani kiepsko płatną pracę w Mozyrzcu, polegającą na rozmawianiu z dziećmi takimi jak ja. Czy kiedykolwiek zadała sobie pani pytanie: Dlaczego?

– Mój brat chorował na to samo, na co ty chorujesz.

Zacząła zbierać dokumenty.

– Ile razy myślała pani o mnie podczas masturbacji, pani doktor?

- Jesteś odrażający.
- Ale to nie ja mam jakieś fetysze.
- Nigdy więcej nie będę z tobą pracować.
- No i dobrze. Pewnie i tak nic by z tego nie wyszło przez całe to seksualne napięcie.

To była moja ostatnia sesja z doktor Sokołow. Ale złapałem bakcyła. W ciągu następnych sześciu lat za pomocą „Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders” (DSM) przekonałem doktora Konstantinowa, że cierpi na nieuleczalne uogólnione zaburzenia lękowe, doktora Andriejewa, że tłumy skłonności homoseksualne, doktora Jakowlewa, że cierpi na zaburzenia schizoaktywne, a doktor Pawłow, że ma zespół Münchhausena. Jedynym terapeutą, którego nie zdołałem złamać, był doktor Berkinow, ale stało się tak tylko dlatego, że w tym przypadku miałem do czynienia z psychopatą. A jestem tego pewien, bo dwa lata później doktor Berkinow został aresztowany przez władze Mozyrzu w trakcie wycinania matrioszek z kości zmarłych, których wykopywał na mińskim cmentarzu.

[18](#) Carl Rogers (1902–1987) – amerykański psycholog, jeden z głównych przedstawicieli nurtu psychologii humanistycznej.

XIII

Moja matka

Drogi czytelniku, poznasz tę historię jako pierwszy człowiek na świecie. Nawet siostra Natalia i Polina nie miały o tym pojęcia. Łatwiej jednak będzie mi opowiedzieć o wszystkim tobie, dlatego że nigdy się nie spotkamy. Mam matkę, z którą zresztą jestem całkiem blisko. Właściwie to widuję ją niemal codziennie. Nie doszło jednak do tego tak z dnia na dzień. Po prostu w pewnym momencie przestałem ją obwiniać o to, że porzuciła mnie na stopniach cerkwi i zniknęła niczym ostatnia kropla wody na Saharze. Przed samym sobą przyznałem, że istniała cała gama wyjaśnień, które nie czyniły z niej potwora. Może kiedy mnie urodziła, była umierająca. Albo lepiej – umarła w trakcie porodu. Może padła ofiarą tej samej politycznej katastrofy, która stworzyła Iwana Isajenkę, i zdawała sobie sprawę, że nie zdoła zająć się mną tak, jak na to zasługuję. Albo na przykład ruszyła w świat, by szukać lekarstwa na moje kalectwo. Trudno kogoś nienawidzić, dopóki którakolwiek z tych możliwości pozostaje realna. Kiedy więc przestałem już gardzić moją tajemniczą matką, zapragnąłem dowiedzieć się, jak wyglądała i kim była.

Nigdy wcześniej o nią nie pytałem. Dawno temu stworzyłem sobie jej obraz z mieszaniny rozmaitych hipotez i mechanizmów obronnych, byle tylko mieć na kogo skierować swoją nienawiść. W którymś momencie uznałem jednak, że to nie fair, i poprosiłem siostrę Natalię, która akurat przekładała worki z krwią w ogromnej lodówce:

– Opowiedz mi o mojej matce.

Dłuższą chwilę milczała, nie przerywając pracy.

– Czemu pytasz mnie o to właśnie teraz, po tych wszystkich latach? – odezwała się w końcu. – Myślałam, że nie chcesz tego wiedzieć.

– Bo nie chciałem. Ale to się zmieniło.

– Kochanie, przykro mi, ale tak naprawdę nic nie wiadomo o twojej matce.

– Kłamiesz.

Na twarzy Natalii odbiły się jednocześnie szok i rozczarowanie.

– Możesz sobie wierzyć, w co chcesz.

- Nic? Naprawdę nic?
- Nic, Iwanie.
- Więc jakim cudem w ogóle się tu znalazłem?
- Pewnego dnia po prostu przewieźli cię tu karetką. Bez dokumentów i bez matki.
- I nikt nie uznał tego za dziwne?
- Wręcz przeciwnie. Ale rozejrzyj się wokół. Tutaj wszystko jest dziwne.
- A co z moim imieniem? Jak je w ogóle dostałem?
- Tak jak wszystkie bezimienne dzieciaki, które tu trafiają – chłopcy dostają imiona na I, dziewczynki na K.
- A co z nazwiskiem?
- Dokładnie tak samo.
- Nie wierzę.
- Jak mam cię przekonać?

To było pytanie retoryczne, więc nie odpowiedziałem.

Pomimo tych wszystkich oskarżeń, gdzieś w głębi ducha chyba jednak jej wierzyłem. Siostra Natalia nie tylko była dobrym człowiekiem, ale też nigdy nie zrobiła nic, co sprawiłoby, że zwątpiłbym w jej uczciwość. Bałem się tylko, że czuła się w obowiązku przed czymś mnie chronić. Właśnie dlatego uznałem, że jedynym logicznym rozwiązaniem będzie zatelefonowanie do każdego Isajenki na Białorusi. Szkopuł w tym, że nie umiałem posługiwać się telefonem, bo dotąd nie miałem kontaktu z nikim z zewnątrz. I właśnie dlatego wkrótce wciągnąłem siostrę Natalię w następującą rozmowę.

Ja: Mogę do ciebie kiedyś zadzwonić?

Siostra Natalia: Ojej, Iwanie, zadzwonić do mnie? Ale po co? Przecież codziennie rozmawiamy twarzą w twarz, tak jak się powinno rozmawiać.

Ja: To dla ciebie coś oczywistego, prawda? (Nie ma to jak odrobina wyrzutów sumienia, że dyskryminujesz niepełnosprawnych).

Siostra Natalia: Co takiego?

Ja: Takie prozaiczne rzeczy jak rozmowa przez telefon. Robisz to wszystko każdego dnia. A ja nigdy nawet nie wykręcałem numeru. Dla mnie to prawdziwa magia.

Siostra Natalia: Zapewniam cię, że nie ma w tym nic ekscytującego.

Ja: Pokaż mi, jak to zrobić, a zadzwonię do ciebie dziś wieczorem. Porozmawiamy chwilkę, a potem się rozłączę.

(Podejrzliwa cisza).

Siostra Natalia: W porządku.

Wiedziałem, że z początku będzie się opierać dla zasady, ale w końcu ulegnie i wyciągnie stojący w recepcji telefon z tarczą z 1952 roku, żeby pokazać mi, jak się wykręca numer. Co więcej, jakimś cudem udało się jej przekonać siostrę Katię (która akurat miała nocną zmianę), żeby wzięła udział w tym spisku. O dwudziestej pierwszej

jak zwykle ponura Katia zajrzała do mojego pokoju i zapytała:

– Iwan, zdaje się, że miałeś gdzieś zadzwonić?

Pojechałem do recepcji i wykręciłem numer do siostry Natalii. Rozległ się sygnał, a w połowie drugiego w słuchawce zabrzmiał głos tylko nieznacznie przypominający ten, który znałem.

Głos: Dobry wieczór, Iwanie.

Ja: Halo. To ty, Natalio?

Głos: A któż by inny?

Ja: Jak się miewasz?

Głos: Dobrze. Chociaż jestem zmęczona.

Ja: Aha, to był długi dzień.

Głos: A co tam w szpitalu?

Ja: Cisza, spokój. Nikt dziś nie krzyczy.

Głos: Chyba powinieneś położyć się już spać.

Ja: Wiem.

Głos: Dobranoc, Iwanie.

Ja: Dobranoc.

Kiedy się rozłączyłem, na półce pod blatem dostrzegłem ważącą dobre trzy kilogramy książkę telefoniczną. Przynajmniej nie musiałem już się zastanawiać, jak zdobędę numery wszystkich Isajenków na Białorusi. Kolejny problem, jak ominąć pielęgniarkę mającą akurat nocny dyżur, rozwiązał się sam, kiedy przypomniałem sobie, że za trzy dni zaczyna się tydzień siostry Eleny, która zwykle przed północą zasypia w świetlicy, spita do nieprzytomności.

Tak więc trzy dni później, dwie minuty po północy pojechałem do recepcji i wyciągnąłem książkę telefoniczną. Spisałem z niej imię, adres i numer telefonu każdego możliwego Isajenki, przy każdym zostawiając odrobinę miejsca na ewentualne notatki. Lista obejmowała 869 pozycji. Od godziny 00.01 do 5.59 dzwoniłem do wszystkich tych ludzi.

Po wykręceniu pierwszego numeru spanikowałem, bo nie przemyślałem sobie wcześniej, co właściwie miałbym powiedzieć, a na dodatek zapomniałem już, że jest środek nocy. Zanim jednak zdążyłem się rozłączyć, usłyszałem głos Iwanny Isajenko.

– Lepiej, żebyś był premierem albo Duchem Świętym, skoro wydzwaniasz o tej godzinie.

– Nie, to ja, Iwan – rzuciłem tylko, a potem się rozłączyłem.

Powtórzyło się to jeszcze trzy razy, zanim uznałem, że muszę sobie przygotować jakąś wiarygodną wymówkę.

W końcu metodą prób i błędów opracowałem skuteczny scenariusz.

Ja: Halo. Czy mogę rozmawiać z panią/panem Isajenko?

Pani/Pan Isajenko: To ja.

Ja: Och, dobry wieczór. Mam dla pani/pana dobrą i złą wiadomość. Od której mam zacząć?

Pani/Pan Isajenko: Od tej złej.

Ja: Wygląda na to, że pani/pana syn Iwan zmarł w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu. Dobra wiadomość jest taka, że Iwan okazał się geniuszem. Przed śmiercią wymyślił kilka komputerowych patentów, które obecnie są warte ponad trzy miliony rubli. Zapisał te pieniądze w spadku swoim biologicznym rodzicom.

Ta historyjka stanowiła doskonały początek poważniejszej rozmowy.

A oto rezultaty 869 połączeń:

259 Isajenków wyraziło współczucie, ale zaprzeczyło, by miało syna o imieniu Iwan – z czego 68 osób dodało, że bardzo tego żałuje.

59 Isajenków orzekło, że sprawiam wrażenie pijanego, ale zapewniłem ich, że po prostu mam taki głos.

196 Isajenków od razu się rozłączyło.

212 Isajenków odparło, że wcale nie nazywa się Isajenko.

27 Isajenków kazało mi się odpieprzyć.

45 Isajenków w ogóle nie odebrało.

38 Isajenków miało odłączony telefon.

7 Isajenków nie żyło.

13 Isajenków miało syna o imieniu Iwan, który spał teraz spokojnie w swoim łóżku.

8 Isajenków miało syna o imieniu Iwan, który jednak mieszkał z żoną i dziećmi gdzieś na przedmieściach Mozyrza.

5 Isajenków twierdziło, że ma syna przebywającego w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu, ale po kolejnych pytaniach przyznało, że kłamie, bo potrzebuje pieniędzy.

Żaden Isajenko nie był ze mną spokrewniony.

Na dodatek siedemnaście rozmów było zamiejskowych, co łącznie kosztowało szpital 470 rubli – najwyraźniej wystarczająco dużo, by zwrócić uwagę dyrektora, który z góry obwinił o to siostrę Elenę. Ta z kolei przeprowadziła prywatne śledztwo i odkryła, że wspólnym mianownikiem wszystkich połączeń było moje nazwisko. W rezultacie nigdy więcej nie dopuszczono mnie do telefonu.

Ten eksperyment uświadomił mi z całą wyrazistością jedno – będę musiał wymyślić sobie matkę. Stworzyć ją od zera, choćby tylko w mojej głowie. Będzie miała ciemne włosy, których nie tknęła jeszcze siwizna. Zawsze uważałem brunetki za silniejsze od blondynek, a skoro miałem wolną rękę, mogłem obdarzyć matkę wszystkimi atrybutami

siły.

Poza tym będzie miała silny poleski akcent, bo jeśli mam być szczery, brzmiała podobnie do siostry Natalii, tyle że bez tej charakterystycznej chrypki.

Pachniała bzem.

Była silna, a jednak delikatna.

Kiedy zacząłem tworzyć jej obraz, zauważyłem, że trudno mi zachować całkowity obiektywizm. Początkowo jej długie włosy bezustannie zdawał się rozwiewać jakiś wymyślony wiatr – ewidentny skutek zbyt częstego oglądania rosyjskiej telewizji. Koniec końców długie włosy zostały, ale ograniczyłem efekty specjalne.

Jej twarz dodawała otuchy, budziła poczucie bezpieczeństwa, ale to cechy osobowości, które nadałem matce, sprawiały, że czułem się kochany i widziany takim, jakim nie widział mnie jeszcze żaden żywy człowiek. Była taka serdeczna i opiekuńcza, że przy niej zniósłbym wszystko, umiała jednak przywołać mnie do porządku. Potrafiła powiedzieć mi bez ogródek, które myśli są toksyczne, a które zanoszą mnie daleko.

I co najważniejsze – znała m n i e. Przyznaję, że miała nade mną przewagę – widziała i słyszała wszystkie myśli kłębiące się w mojej głowie. Nikt na świecie nie potrafił ogarnąć chaosu w mojej łepetynie tak jak ona.

Jeden przykład. W którymś momencie swojego życia postanowiłem pójść za radą siostry Natalii i zacząć pisać dziennik. Tyle że szybko zamienił się on w coś wręcz przeciwnego – w próbę ubrania w słowa marzeń o życiu, które wiódłbym, gdybym urodził się normalny i nigdy nie trafił do szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu. W tym alternatywnym świecie byłem nastolatkiem mieszkającym w Pradze. Właśnie skończyłem liceum i wybierałem się na studia do Berlina. Wymyśliłem nawet tradycyjny dylemat chłopaka mającego opuścić szkolną sympatię dla nowego ekscytującego życia w zupełnie obcym mieście. Starannie odmalowałem wszystkie niepokoje, których bym wówczas doświadczał. I wręcz cieszyłem się tymi problemami (gdyby tylko ludzie wiedzieli, jak cudowne potrafią być ich codzienne kłopoty).

Oczywiście potrzebowałbym powiernika, kogoś, kogo mógłbym zapytać o radę. Nic więc dziwnego, że postanowiłem dodać do tego świata moją matkę. Zapełniałem kolejne strony, wymyślając nowe szczegóły na jej temat, tworząc pełną życia istotę, która miała w sobie dość mądrości, by wyprawić mnie do Berlina, wyposażonego we wszystko, co potrzebne, by stawić czoło przyszłości i poradzić sobie ze złamanym sercem.

Jedyny problem tkwił w tym, że znała nas obu zbyt dobrze. I mnie – bohatera historii, i tego, który tę historię pisał. W pewnym momencie żołądek podszedł mi do gardła, bo uświadomiłem sobie, że na tych dwóch odręcznie zapisanych stronach mimowolnie stworzyłem pochwałę wychowania twardą ręką.

„Iwan, co ty wyprawiasz?”, łajała mnie matka w tym równoległym wszechświecie. „A jeśli przeczyta to któraś pielęgniarka? Może już to zrobiły, wścibskie *staryje*

wied'my¹⁹. Życie jest nie do wytrzymania, ale to przynajmniej coś realnego”.

Posłuchałem jej rady i zniszczyłem zapiski, paląc je w kuchennym piekarniku. Od tamtej pory matka zawsze przy mnie była – i w najtrudniejszych, i w najlepszych momentach mojego życia. A kiedy zaczynam się zastanawiać, po co w ogóle żyję, szepce mi do ucha wszystkie te niebiańskie powody, dla których jestem taki pokręcony. Niestety, od śmierci Poliny przestała się pojawiać.

¹⁹ Z rosyjskiego „stare wiedźmy”.

XIV

Początki

Tak jak ja Polina była wręcz patologicznym samotnikiem. Przez te pierwsze, podobne jeden do drugiego dni od czasu do czasu wpadaliśmy na siebie, w stołówce czy w świetlicy, gdzieś na korytarzu albo przed telewizorem, zaledwie parę metrów od siebie, ale nie zamieniliśmy ani słowa. Ona wprawdzie próbowała przestrzegać podstawowych zasad uprzejmości. Kiedy na przykład nasze oczy zetknęły się przypadkiem, z uśmiechem kiwała głową, jakby chciała dać sygnał, że dostrzega moje istnienie. A ja, zamiast odwzajemnić grzeczność, popuszczałem w spodenki kilka kropel moczu i odjeżdżałem.

O ile akurat nie chowała się na schodach, Polina zachowywała się jak prawdziwa dama. Któregoś razu podliczyłem, że przez jakieś sześćdziesiąt procent dnia na jej ustach gościł mniejszy czy większy uśmiech. Kiedy raniem zjawiała się w stołówce, żeby zjeść swoją porcję zimnej kapusty i czerstwego chleba, robiła to z ćwierćuśmiechem. Kiedy wtulona w fotel oglądała w świetlicy film, na jej ustach gościł półuśmiech. Nawet gdy tkwiła podłączona do kroplówki z chemią i przewracała strony jakiegoś angielskiego brukowca, po jej twarzy błąkało się coś na kształt jednej ósmej uśmiechu.

Najwyraźniej miała w sobie coś, czego mnie brakowało, coś, co opromieniało jej twarz niezależnie od okoliczności. Zaprząłem szare komórki do roboty, byle tylko znaleźć jakieś wytłumaczenie tego stanu rzeczy.

Wytłumaczenie 1: Polina wiodła dotąd piękne, beztroskie życie. To oczywiste, że uśmiech przychodzi jej o wiele łatwiej niż mnie.

Wytłumaczenie 2: Polina miała rodziców. Nawet jeśli ich straciła, zdążyli zaszczepić w niej tę odrobinę beztroski, której mnie brakuje. To oczywiste, że uśmiech przychodzi jej o wiele łatwiej niż mnie.

Wytłumaczenie 3: Polina dopiero co trafiła do piekła. Ja żyję w nim od siedemnastu lat. To oczywiste, że uśmiech przychodzi jej o wiele łatwiej niż mnie.

Szybko jednak zorientowałem się, że na każde wyjaśnienie jej pogody ducha, jakie przychodzi mi do głowy, potrafię natychmiast wymyślić doskonały kontrargument,

dlaczego powinna być nieszczęśliwa.

Kontrargument 1: Owszem, Polina wiodła dotąd piękne, beztroskie życie, ale musiało ją zboleć, gdy zrozumiała, jak łatwo to wszystko stracić.

Kontrargument 2: Owszem, Polina miała rodziców, ale teraz, kiedy potrzebowała ich najbardziej, akurat ich zabrakło.

Kontrargument 3: Owszem, Polina dopiero co trafiła do piekła, ale ja miałem siedemnaście lat, by do niego przywyknąć.

Koniec końców całe to racjonalizowanie wcale nie poprawiło mi humoru. Zacząłem się nawet zastanawiać, dlaczego to taki popularny mechanizm obronny.

XV

Chemofryzura Poliny

Wystarczyły zaledwie trzy tygodnie, by trucizna odcisnęła swoje piętno na jej pięknych ciemnych włosach, spomiędzy których zaczęła przeziierać blada skóra. Nie przez przypadek tego samego dnia dostrzegłem też pierwszy wyłom w jej chłodnym opanowaniu. Pewnie wyczuła, że przypatruję się jej z drugiego końca sali, dostrzegam przerzedzone włosy, bo nagle gorączkowo przeczesala je palcami. W jej dłoni została cała ich garść. Natychmiast zawołała najbliższą pielęgniarkę, którą niestety była siostra Ludmiła. Polina pokazała jej garść włosów i szepnęła coś do ucha, ale siostra Ludmiła zabrała tylko splątany kłęb i obróciła się na pięcie. Po policzkach Poliny powoli toczyły się łzy. Chciałem jej powiedzieć, że o wszelkich katastroficznych zmianach stanu zdrowia można mówić wyłącznie siostrze Natalii, ale ciągle nie potrafiłem się odezwać w jej obecności. Chciałem ją zapewnić, że wszystko będzie w porządku, ale istniały tysiące powodów, dla których nie mogłem tego zrobić. Po pierwsze, kiedy mówię, brzmie jak ostatni idiota, a nie chciałem, żeby wzięła mnie za przygłupa. Po drugie, nigdy dotąd nie powiedziałem nic, by pocieszyć drugiego człowieka, więc nawet nie wiedziałem, jakich słów użyć. Trzeci i najważniejszy powód był jednak taki, że z całą pewnością n i c nie będzie w porządku, a ja nie umiem kłamać. Przez następne dwie godziny Polina czytała, ocierając ukradkiem łzy, które nie zdążyły się jeszcze wymknąć spod powiek, podczas gdy ja wyczekiwałem siostry Natalii i wpatrywałem się jak ostatni głupek w Polinę, ze wszystkich sił udając, że wcale tego nie robię.

W końcu siostra Natalia pojawiła się na dyżurze. Dopadłem ją, zanim zdążyła zdjąć płaszcz.

– Musisz mi pomóc – powiedziałem. – Długopis wpadł mi za łóżko i nie mogę go dosięgnąć.

– Wiem, że jesteś Białorusinem z krwi i kości, Iwanie, ale to jeszcze nie oznacza, że nie możesz powiedzieć „proszę”.

– Proszę – dodałem.

– Już idę.

Kilka minut później siostra Natalia zjawiała się w moim pokoju i zabrała się do

odsuwania łóżka od ściany. Powiedziałem jej, żeby dała sobie spokój, a potem wyjaśniłem, że Polina zaczęła tracić włosy i niedługo będzie potrzebowała peruki.

– Iwanie, odkąd to zacząłeś się przejmować, że jakiś Intruz zaczyna gubić włosy? – zdumiała się Natalia.

– Polina nie jest Intruzem. Jeszcze nie pojęłaś mojego systemu? Zresztą jakie to ma znaczenie? Polina potrzebuje peruki.

– Jeszcze dziś zaniosę jej kilka do wyboru.

Szpital dysponuje zwykle trzema, czterema perukami dla pacjentów chorych na raka. Przechowywane są w Sali Zielonej, w której znajduje się też większość szpitalnej pościeli, koszul i szlafroków.

Nazajutrz włosy Poliny wyglądały na jeszcze bardziej przerzedzone, ale peruki nie miała. Następnego ranka chyba już wszyscy widzieli prześwitującą między nimi skórę, jednak nadal nie było mowy o peruce. Kolejnego zauważyłem, że Polina wzięła sprawy w swoje ręce i obcięła włosy, by ukryć ich gwałtowną utratę. Nie żeby robiło to jakąś różnicę. A następnego dnia jej włosy były znowu długie, gęste i lśniące, choć w jej krwi krążyła już kolejna porcja chemii. Polina na chwilę odzyskała wdzięk, opanowanie i pewność siebie, które sprawiały, że czułem się przy niej taki pokraczny. Wyglądała na szczęśliwą w najbardziej kruchy z możliwych sposobów. A ja jakimś cudem poczułem się szczęśliwy przez wzgląd na nią, choć moja krew znowu była gęsta jak melasa.

XVI

Mój chuj

Żadna opowieść o Polinie nie będzie kompletna, dopóki nie opowiem wam o moim *chuju*. Pierwszej erekcji dostałem w wieku dziesięciu lat. Od tamtej pory z moim *gowiązjim swistkom*²⁰ łączy mnie wyjątkowo skomplikowana relacja. I to z kilku powodów:

Powód 1: Przez naprawdę długi czas w ogóle nie wiedziałem, co z tym począć. Erekcja pojawiła się bez ostrzeżenia, a ja nie miałem żadnych książek, w których mógłbym znaleźć wytłumaczenie, co się ze mną dzieje. W takim otoczeniu mogłem zapomnieć o jakimkolwiek dostępie do typowych źródeł informacji na temat męskich genitaliów. Większość programów telewizyjnych, które można oglądać w świetlicy, jest tak niewinna, że nie zgorszyłaby nawet Jego Świątobliwości Patriarchy moskiewskiego i całej Rusi²¹, więc nie miałem żadnej szansy dowiedzieć się z nich, co zrobić z moim siusiakiem.

Jedyne informacje na temat seksu, jakie miałem, udało mi się zdobyć wyłącznie dzięki ciągłemu nadstawianiu ucha. W ten sposób dowiedziałem się na przykład, że rozmiar *chuja* ma znaczenie, podobnie zresztą jak częstotliwość, z jaką się go używa. Pielęgniarki ze szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu dzieliły się na te, które chciały oglądać męzowskie przyrodzenie częściej, i na te, które wolałyby oglądać je rzadziej. Przy czym żadna z nich nie wydawała się zadowolona z obecnego stanu rzeczy. Ja tymczasem nadal nie byłem w stanie odgadnąć, co właściwie mam począć z moim problemem.

Pomyślałem, że powinienem o to spytać matkę przy następnej wizycie. Gdy parę dni później zawitała w mojej głowie, wymieniliśmy kilka niezobowiązujących uwag, zanim wreszcie wypaliłem: „Mamo, mogę ci zadać osobiste pytanie?”. „Oczywiście, pytaj, o co tylko chcesz, Iwanie”, odparła. „Możesz mi powiedzieć coś więcej o moim *chuju*?”. „Na litość boską, Iwanie, jak można zadawać takie pytanie m a t c e?”, rzuciła tylko i zniknęła.

To właśnie wtedy poznałem ograniczenia wyobraźni – wymyślona matka może odpowiedzieć tylko na pytania, na które znasz już odpowiedź. W rezultacie

pozostawały mi dwa wyjścia: albo poprosić pobożną siostrę Natalię o stosowną książkę, albo zapytać Michała Kruka, który ewidentnie miał spore doświadczenie w tym temacie. Po namyśle zdecydowałem się na to drugie rozwiązanie, bo choć obawiałem się naszego dyrektora każdą komórką mojego pokracznego ciała, to jednak był on jedynym poza mną mężczyzną w szpitalu, który nie spędzał całego życia wiecznie zaśliniony.

Wyczekałem stosownej chwili, kiedy dyrektor nie był wściekły, nie rozmawiał przez telefon, nie siedział za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu albo nie podrywał akurat jednej (czy nawet kilku) z pielęgniarek – musiałem czekać w straszliwych mękach trzy tygodnie – aż wreszcie pojechałem do jego gabinetu i zapukałem do drzwi.

– Tak, Izaaku, możesz wejść – rzucił, nie odrywając wzroku od leżących przed nim dokumentów.

– Mam na imię Iwan.

– Oczywiście. Mogę ci pomóc w czymś, z czym pielęgniarki sobie nie poradzą?

– Tak, proszę pana. Mam problemy z obrzmieniem. O, tutaj – powiedziałem, wskazując podbrzusze. Mimo że miałem dopiero dziesięć lat, bez trudu dostrzegłem, jak bardzo skrępowany poczuł się dyrektor.

– To się nazywa erekcja, Iwanie. Zupełnie naturalna sprawa u chłopców w twoim wieku.

– Ale co mam z tym zrobić?

– Nic, Iwanie, nic. Nie dotykaj tego, bo może to mieć poważne następstwa.

– Jakie następstwa? – dopytywałem.

– No cóż, ewentualne problemy ze wzrokiem. Skutkiem może też być choroba psychiczna lub psychoza. Oraz uzależnienie. Nie wspominając o tym, że możesz mieć potem problemy z osiągnięciem orgazmu podczas normalnego seksu.

– Skąd pan to wie? Dotyka pan swojego *chuja*?

– Nie, skądże! I tak się tego nie nazywa, Iwanie. To...

W tym momencie przestałem go słuchać. Nie byłem aż tak mały, by nie zorientować się, że dyrektorowi nie można ufać.

Tydzień (i trzy erekcje) później zrezygnowałem z tej nierównej walki i zwróciłem się do siostry Natalii. Akurat w świetlicy zmieniała Dennisowi kroplówkę.

– Możemy porozmawiać w moim pokoju, kiedy skończysz? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie z troską, a potem rzuciła:

– Oczywiście, Iwanie. Jedną chwileczkę.

Minutę później zjawiała się w mojej sypialni.

– O co chodzi, Iwanie? – zapytała, ewidentnie zmartwiona. – Wszystko w porządku?

– Nie – burknąłem. – Mam erekcje i nie wiem, co z nimi zrobić.

Przez dłuższą chwilę milczała. Z jej twarzy bez trudu dało się wyczytać, co właśnie myśli. „I zwracasz się z tym problemem do m n i e? Na miłość boską, przecież jestem

dla ciebie prawie jak matka. Czy naprawdę nie ma tu nikogo innego, kogo mógłbyś zapytać o sprawy związane z seksem? A, zaraz, przecież naprawdę nie ma tu nikogo takiego. Tylko ja mogę ci pomóc. No cóż, mój drogi, z całą pewnością nie usłyszysz z moich ust takich rzeczy. To jedno jest pewne”.

A potem powiedziała na głos:

– No cóż, rozumiem twój niepokój. Przyniosę ci jakąś książkę.

Następnego dnia przyniosła mi dwie książki. Okładka jednej krzyczała wielkimi literami *Wszystko o seksie*²², drugiej: *Sztuka masturbacji*²³. Znalazłem je na łóżku, gdzie pod moją nieobecność musiała je zostawić siostra Natalia. Zachowanie nietypowe jak na nią, bo zwykle lubiła się ze mną podzielić opinią na temat dostarczonej mi literatury.

Dzięki tym poradnikom poznałem szczegóły stosunku seksualnego (co przyprawiło mnie o frustrację, bo zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę miał szansy obcować w ten sposób z drugą osobą) oraz masturbacji. To z kolei wyjaśnia, dlaczego moje relacje z własnym *chujem* okazały się tak skomplikowane: po przeczytaniu *Sztuki masturbacji* uświadomiłem sobie, że moje ciało w ogóle nie jest przygotowane do samodzielnego zaspokajania się. Chociaż wszelkie codzienne czynności wykonuję lewą ręką, jestem prawie pewien, że gdybym urodził się normalny, byłbym praworęczny. Doszedłem do tego wniosku, ponieważ wszystko, co robię za pomocą lewej ręki, wychodzi mi niezgrabnie, a na dodatek wymaga ode mnie ogromnego wysiłku. A przecież, sądząc z treści dostarczonych mi przez Natalię książek, nie powinno to być wyczerpujące zajęcie.

Oczywiście nie powstrzymało mnie to przed spróbowaniem. Potrzebowałem dokładnie godziny i trzydziestu siedmiu minut, by zapoznać się z zawartością *Sztuki masturbacji*. Jedną z nielicznych czynności, które przychodzą mi bez trudu, jest czytanie, a że temat był dla mnie zajmujący, pochłonałem podręcznik w czasie krótszym niż potrzeba na obejrzenie *Jeziora łabędziego*. Odłożyłem książkę dokładnie o godzinie 11.18. Wiem to na pewno, bo nie dawała mi spokoju świadomość, że muszę czekać dokładnie dziesięć godzin i czterdzieści dwie minuty do zaczynającej się o dwudziestej drugiej ciszy nocnej, żeby zabrać się do eksperymentowania bez obaw, że zaskoczy mnie któraś z pielęgniarek. Jak zapewne się domyślasz, drogi czytelniku, na samą myśl o tym, że ktoś mógłby mnie przyłapać na masturbowaniu się, ogarniało mnie przerażenie, bo po pierwsze, byłoby to bardzo krępujące, a po drugie, taka pielęgniarka miałaby na mnie haka.

Ten dzień ciągnął się w nieskończoność, co było dla mnie prawdziwą udawką. Z trudem powstrzymywałem się przed ciągłym spoglądaniem na zegar, a kiedy wreszcie to zrobiłem, okazało się, że wcale nie minęła godzina, jak mi się wydawało, a zaledwie jedenaście minut. Często zastanawiam się, czy każdy czeka z takim niepokojem na swój pierwszy orgazm, niecierpliwie odliczając sekundy. Pociuszające

jest jednak to, że choćby czas dłużył się w nieskończoność, wyczekiwany moment wreszcie nadchodzi. Ja też doczekałem się chwili, gdy zegar na szafce obok mojego łóżka wyświetlił godzinę 22.03.

Następny dylemat dotyczył kwestii odpowiedniej stymulacji podczas tego pierwszego razu. Autor podręcznika opisywał szczegółowo, że w celu osiągnięcia podniecenia można wykorzystać zdjęcia pornograficzne. Z pewnością nie zaskoczę czytelnika tą informacją, ale w naszym szpitalu mamy bardzo ograniczony dostęp do pornografii. Przez ograniczony dostęp mam na myśli fakt, że w swoim czasie przeszukałem w tym budynku każdą możliwą szafkę, szufladę i biurko, nie wyłączając gabinetu dyrektora, a znalazłem jedynie stary katalog fińskiej firmy sprzedającej wszystko, co możliwe – od sprzętu nagrywającego po stroje kąpielowe. Choć nie było to może idealne rozwiązanie, bo naprawdę chciałem się dowiedzieć czegoś więcej na temat kobiecego ciała, postanowiłem wykorzystać zdjęcia modelek w przecenionych kostiumach kąpielowych. Oczywiście nikt nie miał prawa znaleźć tych zdjęć, schowałem je więc w materacu, nadpruwszy uprzednio jego róg. Kiedy wreszcie wyjąłem pomoce naukowe, mocno już pogniecione i nieco wyblakłe, poczułem, że mój członek wędruje ku górze. Zdjąłem spodenki i zacząłem stosować techniki opisane w książce, co okazało się wielce frustrującym doświadczeniem, bo szybko zrozumiałem, że trzy palce to za mało, żeby się zaspokoić. Poza tym miałem wtedy siłę i koordynację niemowlęcia, więc te pierwsze, trwające dobre dwie godziny próby tak naprawdę oznaczały serię fałszywych alarmów. Nie muszę chyba opisywać szczegółowo moich poczynań (na pewno doskonale zdajecie sobie sprawę, jak idiotycznie to wyglądało). Powiem tylko tyle, że za każdym razem, kiedy czułem, że już za chwilę wydarzy się coś naprawdę transcendentnego, nie byłem w stanie osiągnąć odpowiedniego rytmu i intensywności ruchów, by dotrzeć do finału. W końcu ręka odmawiała mi posłuszeństwa, a ja musiałem zaczynać wszystko od nowa. Wreszcie się poddałem, zdjęty obrzydzeniem do samego siebie.

Następnego wieczora podjąłem kolejną próbę. Tym razem obiecałem sobie solennie, że d o j d ę, niezależnie od tego, jak długo miałyby to trwać. Najwyraźniej poprzednie dwie godziny ćwiczeń poprawiły moją siłę i koordynację, bo po jakichś dziesięciu minutach u podstawy mojego *chuja* zrodziło się doznanie tak silne, że zbierająca się we mnie od jedenastu lat *malofja*²⁴ zabrudziła pościel, podłogę i ścianę. Przez te osiem czy dziewięć sekund mogłem myśleć tylko o tym, jak znajome to uczucie. W tym krótkim czasie zdążyłem też sobie uświadomić, że już kilka razy doświadczyłem czegoś podobnego w snach. Pierwszy orgazm nieco mnie rozczarował. Zapadając w sen, zastanawiałem się, czy to doświadczenie było warte czasu i energii, które mu poświęciłem. Mimo tych wątpliwości następnej nocy znowu zacząłem się masturbować, kolejnej zresztą też. Jeśli mnie pamięć nie myli, przez ostatnich sześć lat nie pominąłem ani jednej nocy. Codzienna praktyka miała ten dodatkowy efekt, że

poprawiłem koordynację ruchową i rozbudowałem masę mięśniową w ręce. Mimo wszystko konflikt pomiędzy podnieceniem a fizycznymi ograniczeniami sprawia, że sesje masturbacji w moim przypadku potrafią trwać od trzydziestu minut do sześciu godzin. Jednak czego jak czego, ale czasu w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu nigdy nie brakuje.

Ale mój nawyk ma też skutki uboczne. To nieuniknione, że po każdej randce z fińskimi modelkami pozostają ślady. Masturbowałem się już od jakiegoś roku, kiedy któregoś dnia po powrocie do pokoju zobaczyłem, że z mojego łóżka zdjęto pościel. Na materacu, pokrytym żółtawobrazowymi plamami, przywodzącymi na myśl paskudne diagramy Venna, leżał liścik:

Drogi Iwanie!

Chyba będziemy musieli znaleźć ci nowy materac.

Widzę, że książki się przydały.

W szafie zostawiłam ci chusteczki.

Całuję

Natalia

Zanim zdążyłem go przeczytać, do pokoju wtarabaniły się Natalia i Katia z nowym materacem. Przez trzy niezbyt przyjemne minuty patrzyłem, jak ścielą moje łóżko. Potem wydusiłem:

– To dlatego, że się nudzę.

– Nie musisz się tłumaczyć – rzuciła Natalia.

Tobie jednak, drogi czytelniku, przyznam się, że nuda to niejedyny powód, dla którego jestem beznadziejnie uzależniony od dotykania mojego przyrodzenia. Istnieje jeszcze jedna, bardziej podstępna przyczyna. Na chwilę przedtem, zanim moje nasienie wytryśnie na łóżko, przez jeden mikroskopijny ułamek sekundy czuję się normalny, kompletny i niezniszczalny. To ulotne uczucie szybko jednak znika, zamieniając się w mieszaninę wyrzutów sumienia i żalu nad samym sobą. Ale ten ułamek sekundy, kiedy wszystko wydaje się doskonałe, jakimś cudem wynagradza mi poczucie winy.

[20](#) Z rosyjskiego mniej więcej tyle co „wołowy gwizdek”.

[21](#) Tytuł nadawany zwierzchnikowi rosyjskiego Kościoła prawosławnego.

[22](#) Zapewne rosyjskie wydanie bestsellerowego amerykańskiego poradnika Paula Joannidesa.

[23](#) Najprawdopodobniej rosyjski przekład wydanej w 1971 roku książki *The Art of Masturbation* Prestona Harrimana.

[24](#) Z rosyjskiego wulgarnie „sperma”.

XIII

Sarkofag

Szpital dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu kryje pewną tajemnicę. Nie w swoich murach, ale w samej nazwie.

O ile mnie pamięć nie myli, w ciągu siedemnastu lat życia płakałem dwa razy. Zazwyczaj w nieprawdopodobny sposób panuję nad swoimi emocjami. To dlatego, że urodziłem się Białorusinem. Jesteśmy znani z tego, że mamy twardsze serca niż bracia Rosjanie, grubszą skórę i większe *mudia*²⁵ (tak przynajmniej twierdzi siostra Katia, która uwielbia wygłaszać takie mądrości na temat facetów na Białorusi, co moim zdaniem jest dziwne, bo przecież sama pochodzi z Afryki). W skrócie rzecz ujmując, łyzy nie należą do naszego popisowego repertuaru. A w tych rzadkich chwilach, gdy kilka z nich jednak nam się wymknie, ewidentnie jest to skutkiem chwilowej usterki w naszym chemicznym i genetycznym oprzyrządowaniu.

To właśnie dzięki temu, że urodziłem się twardym facetem, nie załamane się nerwowo, gdy uświadomiłem sobie, że przyszedłem na ten świat wyposażony w zaledwie połowę ciała. Zamiast tego w jednej chwili zamieniłem cały ten szok, całe rozczarowanie w zimny, żrący mocz, gotów obryzgać nim każdego, kto za bardzo się do mnie zbliży. A wszystkie te decyzje miały swoje źródło w odruchach zakodowanych w moim DNA. Nie żeby któraś z tych rzeczy była moim świadomym wyborem. Wpływ środowiska też nie pomógł złagodzić wściekłości. W każdym razie tak przedstawiał się stan równowagi przez kilka pierwszych lat mojego życia.

A potem przyszło jedno potężne trzęsienie ziemi, mające swoje źródło gdzieś w mojej piersi, i wszystko się zmieniło. To trwało jakieś dwie i pół minuty, ale dałem się wziąć z zaskoczenia. We wszystkich czytanych przeze mnie książkach zmiany w emocjach głównego bohatera zachodzą powoli. Jego przemiana narasta niespiesznie przez kolejne rozdziały, a czytelnik bez trudu dostrzega na horyzoncie czarne chmury, zapowiadające burzę. Potem wybucha nawałnica, prawdziwe szaleństwo, i nic nie jest już takie samo. W przypadku jedenastoletniego Iwana rozegrało się to jednak zupełnie inaczej. Siedziałem przy śniadaniu i łyżka za łyżką pakowałem zimną breję do ust, podczas gdy w mojej głowie kłębiły się tysiące nerwowych myśli, zresztą jak każdego

ranka. A potem, zupełnie nieoczekiwanie, nachyliłem się i wyplułem jedzenie, a z moich oczu trysnęły łzy. Pielęgniarki karmiące pozostałe dzieciaki wypuściły łyżki z rąk i popatrzyły na mnie ze zdumieniem równie wielkim jak to malujące się zapewne na mojej twarzy. Potem rzuciłem łyżkę i wyjechałem na korytarz, żeby wreszcie dać upust emocjom. Trwało to jakieś dwadzieścia sekund, zanim pojawiła się siostra Natalia i otuliła mnie swoimi nietoperzymi skrzydłami (tak nazywam ramiona z luźną skórą, która sięga aż do pach). Po kolejnych dwudziestu sekundach zorientowała się chyba, że burza rozszalała się na dobre, bo przycisnęła mnie mocniej do swoich potężnych, miękkich piersi, podczas gdy ja próbowałem wyrzucić z siebie cały smutek, jaki się we mnie nagromadził, choć dotąd w ogóle nie miałem o nim pojęcia. A potem równie nieoczekiwanie wszystko się uspokoiło. Jednak jeszcze przez kilka minut siostra Natalia tuliła mnie do piersi. Kiedy wreszcie wyswobodziłem się z jej objęć, zobaczyłem, że cały czas płakała razem ze mną.

– To było ci potrzebne – rzuciła krótko.

Potem zawiozła mnie do mojego pokoju i położyła do łóżka.

– Powinienem się wściec na Pana Boga? – zapytałem.

– Nie. To nie Bóg to sprawił, Iwanie.

– A kto?

– Wcześniej czy później przekonasz się, że większość zła na tym świecie czynią ludzie zbyt zaabsorbowani swoimi pomysłami.

Chyba zauważyła, że nie usatysfakcjonowała mnie ta odpowiedź, ale wtedy naprawdę nie miałem pojęcia, co chciała mi powiedzieć. Szczerze mówiąc, nadal nie jestem pewien, czy udało mi się rozgryźć sens jej słów, ale wydaje mi się, że jest to jedno z tych zdań, których znaczenie wcześniej czy później człowiek pojmuje w jakimś nagłym przeblasku. Dlatego wciąż trzymam je z tyłu głowy i czekam na objawienie.

A na razie postanowiłem zdusić w zarodku wszelkie zalążki podobnych emocji.

Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Długi czas zastanawiałem się, czy milczenie siostry Natalii stanowiło wyraz rozczarowania mną czy też poczucia winy z powodu tego, że nie wiedziała, co powiedzieć, by wszystko naprawić. Odpowiedź przyszła sześć miesięcy później. Któregoś wieczora wróciłem do swojego pokoju, żeby położyć się do łóżka, ale zamiast spać, całą noc przeglądałem zeszyt z wycinkami, który znalazłem na podłodze. Nie było przy nim żadnej karteczki ani liściku. Żadnego podpisu, zwyczajnie nic. Zero dowodów na to, kto zostawił zeszyt przy moim łóżku. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie niczym niewyróżniającej się fabryki czy zakładu, grupy słoczonych budynków z betonu i stali. Na kolejnej ujrzałem zdjęcie tego samego kompleksu, tym razem z czymś na kształt krateru pośrodku. Trzecia fotografia przedstawiała dzieci wyglądające równie przerażająco jak mieszkańcy szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu. Jeden chłopiec miał długie powykręcane nogi, niczym postać z jakiegoś komiksu; była tam też dziewczynka z wyłupiastymi oczami

i opuchniętym językiem, a także dzieci z ogromnymi głowami, przywodzące mi na myśl Alexa.

Artykuły zaczynały się na czwartej stronie. Całe strony artykułów. Tamtej nocy nie byłem w stanie zmusić się do przeczytania choć jednego zdania. Przebiegałem tylko oczami po ciągle powtarzających się słowach: „radziecki”, „promieniowanie”, „dzikie zwierzęta”, „rdzeń”, „komunistyczny”, „reaktor”, „moralny” oraz „bankructwo”. Przemknęło mi przez głowę, że siostra Natalia zwyczajnie nie potrafiła znaleźć właściwych słów, więc wybrała odpowiednie zdjęcia, a potem pozwoliła, by międzynarodowi dziennikarze i naukowcy opowiedzieli za nią tę historię.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny tkwiłem w łóżku bez ruchu i czytałem o radzieckich inżynierach, którzy długo zastanawiali się, jak powstrzymać potężne promieniowanie z reaktora numer cztery, aż wreszcie postanowili przykryć całość potężną masą betonu i stali. Konstrukcję czule ochrzczono mianem sarkofagu. Nie potrzebowałem dużo czasu, by pojąć symbolikę tej nazwy. To nie był tylko ten jeden sarkofag. Nasz szpital też nim się stał. Pewnie istnieją ich tysiące – wypełnione Maxami, Dennisami, całymi rzeszami dzieci z dziurawymi sercami.

Nie ma nic niewinnego w nazwie szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu.

*

Zegar wskazuje godzinę 23.50.

Piszę od dwudziestu czterech godzin.

Jest trzeci grudnia 2005 roku.

Przed chwilą znowu potrząsnąłem butelką. Została jeszcze co najmniej połowa zawartości, czyli całkiem sporo jak dla kogoś moich gabarytów. Ośmiu na dziesięciu mutantów pewnie się ze mną zgodzi: jedną z nielicznych korzyści posiadania zaledwie połowy ciała jest wyjątkowa wrażliwość na alkohol. Zresztą może to nawet jedyna zaleta.

Siostra Natalia zajrzała parę minut temu. Nie była zadowolona, kiedy zobaczyła, że czyste ubranie nadal leży na skraju łóżka, tam gdzie je zostawiła, podczas gdy ja z obojętną miną gryzmołę na tych kartkach jak wariat.

– Prosiłeś, żebym dała ci dwie godziny, Iwanie. Dałam ci sześć – rzuciła. – Przebierz się natychmiast.

– Przecież nie będę się rozbierał przy tobie.

– Straciłeś prawo do prywatności, kiedy pokazałeś, że nie umiesz się przebrać beze mnie. – Wyburczała te słowa z taką miłością.

– Odwróć się – mruknąłem.

Posłuchała.

Zdjęcie ubrania okazało się powolnym i skomplikowanym procesem, głównie dlatego, że wciąż byłem pijany. Nie mogłem trafić ręką w rękaw koszulki, aż wreszcie, po jakiejś minucie czy dwóch, poprosiłem o pomoc.

– Odkąd to nie potrafisz sam się ubrać? – zdziwiła się Natalia.

– Odkąd ktoś postawił mi na stoliku butelkę wódki.

Odwróciła się i wcisnęła mi rękę we właściwy rękaw. Skóra zwisała mi z kości, a całe moje ciało zdawało się śmiać histerycznie. Natalia naciągnęła mi majtki, wprawiając mnie tym w rozbawienie. Chyba ucieszył ją mój śmiech, choćby nawet tak szalony. Na zakończenie przycisnęła jeszcze nos do moich ust i orzekła:

– Ciągle śmierdzisz wódką.

– Przepraszam – rzuciłem nieszczerze.

[25](#) Z rosyjskiego „jaja, jądra” (wulg.).

XVIII

Iwanizm

Siostra Natalia ciągle wyszukiwała książki, które jej zdaniem pomogłyby mi wyrwać się ze szpitala w kolejny wymyślony świat, choć robiła to bez żadnych konkretnych wskazówek z mojej strony. Znała jednak moje dziwactwa i potrzeby na tyle dobrze, że nigdy nie musiałem artykułować swoich życzeń. Dopiero gdy skończyłem trzynaście lat, poprosiłem ją o konkretną książkę. Chodziło o Stary Testament.

– Chciałbym dostać Biblię – powiedziałem wtedy.

Moja prośba ją ucieszyła, chociaż chyba też zaskoczyła.

– Żeby podpierać nią drzwi? – rzuciła.

– Żeby zmienić coś w swoim życiu – odparłem.

Kilka dni później na stoliku obok mojego łóżka pojawił się egzemplarz *Słowa Żyźni*²⁶. Niestety, nie minął tydzień, a już używałem go jako środka usypiającego. Chciałem postąpić uczciwie, więc naprawdę próbowałem. Próbowałem tak mocno, jak to tylko możliwe w przypadku piętnastolatka starającego się odkryć jakiś kosmiczny sens w zagmatwanej i kiepsko zredagowanej książce. W końcu zjadłem zęby na Tołstoju. Ostatecznie jednak dopiero prorocy przesądziли sprawę. Wiedziałem już wystarczająco dużo na temat ruchów płyt tektonicznych i tempa erozji, by całkowicie odrzucić Księgę Rodzaju. Księga Wyjścia miała nawet pewien seksowny urok na podobieństwo jakiejś epickiej sagi, której ekranizację człowiek chętnie obejrzałby w telewizji. Niestety, nie jestem Żydem, więc czułem się pominięty. Księga Kapłańska stanowiła listę archaicznych zasad, które nigdy nie będą miały zastosowania tu, w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu. Co więcej, zdawała się też sugerować, że świat jest „doskonały”, a jedyne źródło zła stanowią w nim „grzech i profanacja”, a przecież ja stałem się ofiarą zła na długo przedtem, zanim w ogóle miałem okazję cokolwiek sprofanować. Księga Liczb nawet mnie zainteresowała, dopóki Bóg nie posłał swoich pieszczoszków na pustynię, gdzie mieli zginąć z głodu tylko dlatego, że zwątpili, czy zdołają wygrać wojnę o Kanaan – z całą pewnością nie był to taki Ojciec, na jakiego liczyłem. Do lektury Księgi Powtórzonego Prawa przystąpiłem z wielkimi nadziejami, ale po kolejnych dziesięciu stronach przemów

Mojżesza zwyczajnie się poddałem.

Potem próbowałem odnaleźć Boga w hinduizmie. Zamiast tego znalazłem całe tysiące bóstw, a każde obdarzone zestawem od ośmiu do dwudziestu rąk. Sam miałem tylko jedną, więc żadna z tych postaci nie mogła być moim Bogiem. Rzuciłem się więc na greckie i rzymskie mity, ale ci bogowie okazali się jeszcze bardziej małostkowi niż nasze pielęgniarki. Dlatego zainteresowałem się islamem. Niestety, dowiedziałem się, że i w tym przypadku miałbym do czynienia z tym samym mściwym sukinsynem, co w Starym Testamencie. W końcu odłożyłem więc wszystkie książki na bok i powiedziałem: „Boże, widzisz przecież, że się staram. Nie możesz po prostu ze mną porozmawiać? Żadnych książek, obiecuję”. Siedziałem potem dłuższą chwilę, nasłuchując, a że nic nie usłyszałem, dodałem jeszcze: „Błagam, Boże, cokolwiek. Daj mi jakikolwiek znak, a będę ci wierny do końca życia”. I znowu pilnie nadstawiłem uszu. Na próżno. Żadnego gromkiego głosu. Żadnych gorejących krzewów. Żeby choć kawałek farby odpadał ze ściany.

Logicznym wydawało się, by poszukać Boga za pomocą rozumu. Zacząłem więc wymyślać wszystkie możliwe dowody na jego istnienie, jakie przychodziły mi do głowy. Potem, kiedy zapoznałem się ze świętym Tomaszem z Akwinu, zorientowałem się, że przypadkowo powtórzyłem zarówno jego teleologiczny, jak i ontologiczny dowód na istnienie Boga, na które przed nim wpadli Sokrates i Anzelm z Canterbury. Żaden z nich mnie nie zadowalał. Koniec końców to były tylko słowa, wystarczyło przyjrzeć im się uważniej, by dostrzec, że nie ma w nich Boga.

W końcu wypiliśmy tyle belugi²⁷, którą siostra Elena przechowywała za proszkiem do prania, że w ogóle przestałem myśleć. Kiedy wszystko spowiła ciemność, nie było już mowy o kolejnych pytaniach, takich jak: Kto tworzy człowieka na swój obraz i podobieństwo, a potem odrąbuje mu ramię i kilka palców? Kto zadaje sobie trud tworzenia człowieka, który nigdy nie znajdzie sobie partnera i nie przekáže potomstwu genów, co w ostatecznym rozrachunku jest przecież celem ludzkiego istnienia? No i oczywiście – czy Bóg był pijany, kiedy mnie tworzył? Nie znałem na nie odpowiedzi, więc wyjąłem czystą kartkę papieru i zacząłem spisywać jedyne rzeczy, których byłem pewien. Kiedy skończyłem, miałem przed sobą trzy naczelne zasady, które nazywam Trzema Zasadami Iwanizmu:

1. Nie istnieje żaden Stwórca, w każdym razie nie w takim sensie, na jaki mamy nadzieję;
2. Nie ma fatum, przeznaczenia, żadnych odwiecznych praw, które mówią nam, jak powinien wyglądać ten świat;
3. Jedyne porządek wszechświata tworzą prawa fizyki – jeśli ich nie liczyć, wszechświat jest amoralny i chaotyczny.

Istnieją dwie sensowne reakcje na iwanizm. Reakcja numer jeden wygląda mniej więcej tak: „Brawo, świetna robota, Iwanie! To jedyny rozsądny wniosek”. Jeśli taka właśnie była wasza reakcja, niepotrzebnie się produkuję. Reakcja numer dwa wygląda raczej tak: „Zwyczajnie w to nie wierzę. Oczywiście, że Bóg istnieje. Jeśli nie, to kto stworzył cały świat? Poza tym muszę w niego wierzyć. Potrzebuję czegoś, co nada temu wszystkiemu sens”. Jeśli tak właśnie sądzicie, nic, co powiem, nie zdoła was przekonać do zmiany zdania.

*

*Zegar wskazuje godzinę 12.03.
Piszę od trzydziestu siedmiu godzin.
Jest czwarty grudnia 2005 roku.*

Przed chwilą zjawiała się Natalia.
Mówi, że coś jej się przyśniło.
Nie spałeś całą noc?, pyta.
Mniej więcej.
Potrzebujesz czegoś?
Wódki.
A poza wódką?
Nic mi nie trzeba.
Mogę to przeczytać?
Nie.
Ja też nie mogłam spać. Śniłeś mi się.
Jak?
Byłeś studentem.
Zobaczyłam cię na ulicy,
więc cię zatrzymałam.
Popatrzyłeś na mnie tak, jakbyś w ogóle mnie nie znał.
A potem odszedłeś.
Miałem nogi?
Tak.
Co to twoim zdaniem znaczy?
Jeszcze nie wiem.

[27](#) Popularny gatunek rosyjskiej wódki.

XIX

Pamiętnik Poliny

Jeśli Polina była od czegoś uzależniona, to od ciągłego pisania w małym, zniszczonym notesie. Czasami tekst biegł równo, spokojnie, a czasem przebijająca z niego wściekłość. Zdarzało się, że Polina podnosiła głowę i rozglądała się, jakby w poszukiwaniu natchnienia. Innym razem nie odrywała wzroku od kartki przez dobrą godzinę. Bywało też tak, że siedziała z notesem przed telewizorem i niespiesznie gładziła okładkę dłonią albo przebiegała wzrokiem fragment którejś z wcześniejszych stron. Niekiedy czyniła to z lekkim uśmiechem, od którego aż robiły się jej dołeczki w policzkach, a czasem z trudem powstrzymywała łzy.

Nie wstydzę ci się przyznać, czytelniku, że w takich chwilach pragnąłem przeczytać każdą osobistą, lubieżną myśl, jaka kryła się na tych kartkach. Niestety, było to niemożliwe, ponieważ Polina praktycznie nie rozstawała się z pamiętnikiem. Przychodziła z nim na śniadanie z samego rana i na sesje chemioterapii, podczas których papier stawał się słonawy od zlewających ją zimnych potów. Zabierała go nawet do toalety, gdzie kartki robiły się pofalowane od wilgoci, która pozostała na jej skórze po umyciu rąk. No i oczywiście zjawiała się z nim na każdym obiedzie, każdej kolacji, podczas których na kartkach pojawiały się plamy niezidentyfikowanego zwierzęcego tłuszczu.

Życie w szpitalu dla zmutowanych dzieciaków może nie czyni siedemnastoletniego chłopaka szczególnie mądrym, ale przynajmniej uczy człowieka, jak cenna jest cierpliwość. A skoro to właśnie była moja jedyna mocna strona (oraz jedyna dostępna mi opcja), postanowiłem poczekać, aż Polina popełni jakiś błąd. Każdej dziewczynie zdarza się taki moment, że zatopiona we własnych myślach całkiem zapomina o rzeczywistości.

Okazja nadarzyła się dokładnie po sześciu tygodniach i trzech dniach. W środę po obiedzie wyjątkowo posepna Polina weszła do wspólnej łazienki z pamiętnikiem w ręku, a wyszła już bez niego. Odczekałem kilka minut, żeby upewnić się, czy rzeczywiście nie mylą. Do drzwi toalety miałem jakieś cztery metry, w pobliżu nie było widać żadnej pielęgniarki, a w świetlicy siedzieli tylko kołyszący się niczym wahadło

wielkiego zegara Dennis i bliźniaczki zaabsorbowane partyjką szachów. Żadne z tej trójki nie stanowiło dla mnie zagrożenia. Minęło kilka nerwowych minut, zanim uświadomiłem sobie, że rzeczywiście jest tak, jak mi się wydaje – pamiętnik w końcu znalazł się w moim zasięgu. Czym prędzej wtarabaniłem się do łazienki, choć nie przyszło mi to łatwo, bo serce waliło mi jak młotem, a ręce miałem tak spocone, że kilka razy uderzyłem wózkiem o metalową framugę. Już w środku starannie zamknąłem za sobą drzwi. Pamiętnik Poliny leżał niewinnie na podłodze toalety, więc ostrożnie usadowiłem tyłek na porcelanowym tronie, a potem drżącą ręką sięgnąłem po notes.

Początkowo chciałem po prostu przekartkować go pospiesznie w poszukiwaniu słów choć trochę przypominających moje imię. A potem przyszło mi do głowy, że nawet po dwóch miesiącach pobytu tutaj Polina może nie wiedzieć, jak się nazywam. Otworzyłem więc zeszyt na ostatnim wpisie z tego poranka (w tamtym momencie mało mnie interesowały jej przemyślenia z czasów, zanim zamieszkała w szpitalu) i zacząłem zachłannie czytać. Po dwóch zdaniach wiedziałem już dwie rzeczy: po pierwsze, Polina wymiotowała po każdym z pięciu ostatnich posiłków, po drugie, zapomniałem przekręcić klucz w zamku. Drzwi bowiem się otworzyły i w progu stanęła Polina. Wpatrywała się we mnie, siedzącego na porcelanowym tronie – z pamiętnikiem zawierającym jej najbardziej osobiste i intymne myśli, podczas gdy mój *chuj* zwisał nad brzegiem muszli.

Jedno wiedziałem na pewno – nie odezwę się pierwszy. Po prostu siedziałem tak bez słowa, z tą swoją obwisłą twarzą, choć w głębi ducha miałem nadzieję, że akurat w tym momencie wcale się taka nie wydaje, i czekałem, aż Polina wymierzy mi policzek, zawoła pielęgniarkę albo, co gorsza, wezwie dyrektora czy, jeszcze gorzej, powie coś tak straszliwie złośliwego, że przez cały następny rok będę próbował jakoś dojść do siebie.

Tymczasem ona zapytała:

– Dlaczego po prostu nie poprosiłeś, żebym ci go pokazała?

Zaskoczyła mnie. Na dodatek miała taką minę, że równie dobrze mogła zastawiać na mnie jakąś paskudną pułapkę.

– Mogę przeczytać twój pamiętnik? – wydusiłem wreszcie.

A ona odparła:

– Najpierw musiałabym poznać twoje imię.

Na co ja z kolei rzuciłem swoimi wykrzywionymi ustami:

– Jestem Iwan.

Ona:

– Wiem.

Ja:

– Więc po co pytasz?

– Bo tak to się właśnie robi – odpowiedziała. – Ludzie poznają swoje imiona, zanim

zaczną podkradać sobie pamiętniki. I tak, możesz go przeczytać. Ale masz mi go oddać przed kolacją. – Nie odpowiedziałem, jednak możliwe, że skinąłem głową. Wtedy ona dodała: – Złamałeś pierwszą zasadę kieszonkowca: jeśli sprawa wygląda na zbyt prostą, wcale taka nie jest.

Na co odparłem:

– Dzięki za informację.

A ona rzuciła:

– Dobra, to idę. Mam zamknąć drzwi?

Znowu skinąłem głową. Zamknęła drzwi i sobie poszła, a ja zostałem na toalecie, żeby czytać aż do kolacji.

Pierwsze, co zauważyłem, to fakt, że Polina pisała nie po białorusku, a po rosyjsku, nienagannym charakterem pisma, bez żadnych błędów, co oczywiście, jak już się pewnie domyśliłeś, drogi czytelniku, niezłe mnie wkurzyło.

W tym miejscu muszę złożyć pewne oświadczenie. Z szacunku do niej nie wspomnę tu o niczym, czego sama nie wyjawiała mi później w rozmowie twarzą w twarz. Moim zdaniem zgodziłaby się, żebym podzielił się z innymi tym, co od niej usłyszałem. A oto te informacje:

Dowiedziałem się, że Polina była sierotą, tak jak ja. Ale w przeciwieństwie do mnie jeszcze trzy miesiące wcześniej miała rodziców. Niestety, zginęli w wypadku. Autobus, którym jechali, spadł z mostu do Prypeci, bo pijany kierowca postanowił popełnić samobójstwo i nie dbał o to, czy zabierze ze sobą na tamten świat innych ludzi. Wyczytałem też, że sama Polina również jechała tym autobusem, ale była jedną z dwóch osób, które nie utonęły. I że wcale nie jechaliby tym autobusem, gdyby nie wracali z Odessy, dokąd wybrali się na konsultację u doktora specjalizującego się w eksperymentalnych metodach leczenia białaczki, którą zdiagnozowano u niej miesiąc wcześniej. W rezultacie obwiniała się więc o śmierć rodziców.

Przeczytałem, że wolałaby, gdyby jedno z tych miejsc dla ocalonych nie zostało na nią zmarnowane, skoro i tak wkrótce miała umrzeć. Przeczytałem, że miała chłopaka o imieniu Siergiej, który przestał się do niej odzywać, kiedy powiedziała mu o białaczce. Przeczytałem, że uwielbia amerykańskiego rocka z lat osiemdziesiątych, wliczając w to zespoły o geograficznych nazwach, takich jak Asia, Europe, Boston i Kansas. Przeczytałem, że była to łagodna forma buntu przeciwko ojcu, który aż do śmierci był dyrygentem w Lwowskiej Filharmonii Obwodowej. Przeczytałem, że była wzorową uczennicą, ale też trochę łobuzem, a ta sprawa z *Martwymi duszami* wcale nie była jednorazowym wybrykiem, ale raczej efektem jej filozofii życiowej. Dowiedziałem się, że między ósmym a piętnastym rokiem życia kradła różne rzeczy – właściwie cokolwiek – i nie dlatego, że potrzebowała tych przedmiotów, ale dlatego że rodzice wtłoczyli ją w rolę „aniołka, którego nadal nękają dwa sukuby”. (A przy okazji – odkrycie jej mrocznego oblicza tylko podsyciło seksualne napięcie, jakie

odczuwałem). Przeczytałem, że tak jak ja nienawidziła tego szpitala i ciągle zastanawiała się nad sposobem ucieczki. Przeczytałem, że chemioterapia to dla niej dwie najbardziej samotne godziny w ciągu dnia. I że samotność i nudności zawsze występowały u niej jednocześnie. Przeczytałem, że wciąż tęskni za rodzicami. Że to miejsce przyprawia ją o dreszcze, zwłaszcza ten „przypominający obojnaka chłopak, który może mieć równie dobrze dwanaście, jak szesnaście lat, a który ciągle się na nią gapi i myśli, że ona tego nie widzi”. Przeczytałem, że uwielbiała balet i że kiedyś dostała nawet owacje na stojąco za solowy występ w *Giselle*. Przeczytałem, że po raz pierwszy całowała się w wieku czternastu lat i w ogóle nie potrafiła zrozumieć, o co całe to zamieszanie, skoro „nie tylko nie było żadnych fajerwerków, ale w ustach został jej po tym posmak zimnej musztardy” (te informacje z oczywistych powodów pobudziły moje zainteresowanie). Przeczytałem, że boi się śmierci i że myśli o niej właściwie bez przerwy. Przeczytałem, że jest pięćset pięćdziesiąta piąta na liście oczekujących na dawców szpiku, co w tym świecie równa się zerowym szansom. Przeczytałem, że od przybycia do szpitala nic jej się nie śni, a przed zachorowaniem każdej nocy nawiedzały ją jakieś sny. Dowiedziałem się, że ciągle jest dziewicą, ale nawet się z tego cieszy, bo przynajmniej nie zmarnowała dziewictwa na tego „dupka Siergieja”. Poznałem nazwiska gwiazdorów, w których się podkochiwała: Ilja Kulik, Anton Yelchin oraz Vitas²⁸ (teraz zwyczajnie nie mogę na nich wszystkich patrzeć). Przeczytałem, że kochała matkę, ale ojca się bała, za to po jego śmierci nie potrafi sobie nawet przypomnieć, dlaczego właściwie tak było. Przeczytałem, że miewamy mnóstwo podobnych ulubionych myśli. I że ona również przestała wierzyć w Boga. Przeczytałem, że jej ulubiony kolor to chabrowy, zupełnie jak mój, co statystycznie rzecz biorąc, jest naprawdę zaskakujące. Dowiedziałem się też, że pod innymi względami nie moglibyśmy bardziej się od siebie różnić. Przeczytałem, że Polina uwielbia jazdę figurową na lodzie, której ja nie znoszę. Przeczytałem, że chociaż nie wierzy już w Boga, czasem jeszcze się do niego zwraca. Że jej zdaniem nie ma najmniejszych szans, ale nie chce tu umierać. A potem nie zostało już nic więcej do przeczytania, ponieważ dotarłem do ostatniej strony. Natychmiast ogarnął mnie niepokój, bo teraz powinienem jej przecież coś powiedzieć, tak jak robią to normalni ludzie. Chociaż słabo znałem się na zasadach etykiety, wiedziałem, że kiedy ktoś wręcza ci swój pamiętnik, robi to w akcie czystej desperacji. Doskonale zdawałem sobie sprawę, jaka burza musiała szaleć w głowie Poliny, kiedy pozwalała temu „prerażającemu kalece, który gapi się na nią cały dzień”, przejrzeć w toalecie jej najbardziej intymne zapiski. Po dwóch samotnych miesiącach, wypełnionych wymiotami i wypadającymi włosami, tak bardzo potrzebowała, by wreszcie ktoś ją dostrzegł. Jedyne problem polegał na tym, że nie miałem pojęcia, co właściwie mógłbym jej powiedzieć.

W tym momencie, czytelniku, pewnie ciśnie ci się na usta: „Ale przecież właśnie tego

chciałeś, Iwanie. Marzyłeś o niej. Marzyłeś o kimkolwiek. Pragnąłeś biletu w jedną stronę, by wreszcie wyrwać się z osamotnienia. Chciałeś mieć przyjaciela. Kogoś prawdziwego. Więc skąd ta rozpacz?”. To uzasadnione pytanie, więc postaram się to wyjaśnić za pomocą trzech prostych argumentów.

Powód 1: Kiedy rozmawiam z pielęgniarkami, lekarzami czy psychologami, właściwie to z każdym, z kim wchodzę w interakcję każdego dnia, zachowuję się jak ostatni duppek. Co więcej, mam w tej kwestii wolną rękę. Nieważne, co powiem, i tak wiem, że pielęgniarki zjawiają się z powrotem, jeśli nie z innych przyczyn, to choćby dlatego że zwyczajnie nie zamierzają rzucać pracy w tym wrogim postkomunistycznym świecie (ostatecznie czytam przeciw gazety). W rezultacie mam za sobą siedemnaście lat praktyki w byciu prawdziwym dupkiem, za to żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o życzliwość, spontaniczność i bycie interesującym rozmówcą. Zachowywanie się jak duppek jest o wiele łatwiejsze, a na dodatek przychodzi mi, ze wszystkich tych klasycznych pseudopsychologicznych powodów, zupełnie naturalnie. To właśnie dlatego tak bardzo bałem się otworzyć usta w towarzystwie Poliny. Wiedziałem, że nie mogę być jednocześnie sobą i miłym człowiekiem.

Powód 2: Przez te wszystkie lata zdążyłem się zorientować, że mężczyźni żywią głęboko zakorzeniony lęk przed rozmową z płcią przeciwną, lęk starszy od samego Boga. Najlepszym wyjaśnieniem tego fenomenu, na jakie udało mi się wpaść, jest to, że w plemiennych czasach w takiej wiosce miało się do wyboru może ze trzech potencjalnych partnerów seksualnych, więc jeśli powiedziało się coś niewłaściwego w ich towarzystwie, było się skazanym na kompletną abstynencję seksualną, co pozbawiało cię możliwości wypełnienia swojej ewolucyjnej roli. Matołki z najmocniejszymi nerwami umiały się powstrzymać przed chłapnięciem czegoś idiotycznego, natomiast beztrioskie błazny próbowały rozpoczynać rytuał godowy o wiele za wcześniej albo rzucały jakąś niegrzeczną uwagę, co się często facetom zdarza, nieodwracalnie grzebiąc swoje szanse. W rezultacie ci o mocnych nerwach wygrywali i płodzili równie wstrzemięźliwe dzieci, których potomkami jesteśmy my wszyscy.

Ostatecznie wioski zamieniły się w miasta, gdzie mocne nerwy nie mają już takiego znaczenia, bo człowiek może wygadywać najgorsze brednie do milionów potencjalnych partnerów seksualnych, a kogo obchodzi, czy *tiołka*²⁹ o tym nie rozpowie, skoro krok dalej czeka już następna setka takich siks. A jednak nie da się oszukać genów. Cała ironia polega na tym, drogi czytelniku, że oto znalazłem się z powrotem w tamtej wiosce, którą jest szpital dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu, a my stanowimy plemię zmutowanych dzieciaków, między które trafiła tylko jedna potencjalna partnerka dla mnie. Jakim cudem można się nie załamać w takich warunkach? Jeśli sfuszeruję tę konkretną rozgrywkę, pozostanę skazany na samotne życie, bez żadnych widoków na przekazanie moich genów. Rozmowa z Poliną

stanowiła zbyt duże ryzyko, choć przecież wedle wszelkich społecznych norm powinienem jakoś zareagować na fakt, że oto obnażyła swoją duszę przede mną, odrażającym, zupełnie obcym człowiekiem.

Tak przy okazji – oczywiście nigdy nie brałem nawet pod uwagę, że mógłbym spłodzić z Poliną dziecko – i to nie tylko dlatego, że moje ciało to kompletna porażka. Po prostu dziewczyna była jedną nogą w grobie. Ale w moim zaprogramowanym w prehistorycznych czasach organizmie i tak toczyła się podświadoma wojna.

A teraz pora wracać do tematu.

Powód 3: Wyglądam naprawdę dziwnie, kiedy mówię.

Wszystkie te myśli kłębiły się w mojej głowie, kiedy siedziałem sobie w spokoju we własnym pokoju i czekałem na kolację. Zamierzałem pojechać do stołówki parę minut wcześniej i po prostu zostawić pamiętnik przy nakryciu Poliny, a potem nie odezwać się do niej już nawet słowem, być może do końca życia.

Mój umysł jednak rzadko pozostaje równie bezczynny, więc chwilę później zaczęła się w nim formować pewna alternatywa. Jak zdążyliście się już pewnie zorientować, pisanie zawsze przychodziło mi łatwiej niż rozmowa twarzą w twarz, postanowiłem więc rozwiązać dręczący mnie problem, pisząc do Poliny list pod jej ostatnim wpisem w pamiętniku.

Teraz musiałem już tylko znaleźć odpowiednie słowa. Następne trzy godziny gapiłem się w sufit, obmyślając tematy rozmowy (zwyczajnie seksualne bonobo, jazda figurowa na lodzie, ukrywana bulimia siostry Ludmiły), odpowiednio zabawne żarty (Czym Rosjanie oświetlali swoje domy, zanim zaczęli używać świec? Elektrycznością) i wystarczająco uczone pytania (Czemu wszystkie dziewczyny szaleją za Vitasem?). Koniec końców zdecydowałem się na opcję: „Polino, dziękuję, że pozwoliłaś mi przeczytać swój pamiętnik. Iwan”.

Dwie minuty przed opuszczeniem pokoju uświadomiłem sobie jednak, że popełniłem straszliwy błąd! Nie pozostawiłem jej żadnego pola manewru, jeśli chodzi o kontynuowanie rozmowy, żadnych wątpliwości, żadnego pytania. Dopisałem więc pośpiesznie koślawymi kulfonami pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy: „Opisz, proszę, w najdrobniejszych szczegółach zdarzenia i okoliczności, które sprawiły, że wkroczyłaś na drogę przestępstwa”. Oraz, tak na wszelki wypadek, dodałem: „A także co, twoim zdaniem, dzieje się we wnętrzu czarnej dziury”.

Kiedy Polina zjawiła się w stołówce i zobaczyła pamiętnik, starannie ułożony przy jej nakryciu, zauważyłem, że jej dwudziestopięcioprocentowy uśmiech rozkwitł – teraz uśmiechała się na jakieś sześćdziesiąt procent. Oczywiście obserwowałem ją jedynie kątem oka, twardo unikając kontaktu wzrokowego. Polina, najwyraźniej lepiej zaznajomiona z tym, jak powinny wyglądać normalne kontakty międzyludzkie, ewidentnie oczekiwała czegoś więcej. Przez cały posiłek czułem na sobie jej palące spojrzenie, kiedy wypatrywała jakiegoś sygnału, że oto stała się widzialna po tym, jak

zdecydowała się wynurzyć z cienia. Kiedy dostrzegła, że mój talerz jest niemal pusty, a ja nadal na nią nie patrzę, jej sześćdziesięcioprocentowy uśmiech zniknął, zastąpiony przez chmurne spojrzenie spod zmarszczonych brwi, przywodzące mi na myśl minę siostry Ludmiły opuszczającej gabinet dyrektora po północy. Może Polina poczuła się wykorzystana – niczym szpitalna wersja licealnej dupodajki.

Po czterdziestu trzech minutach męczarni wreszcie wstała i wyszła ze stołówki, przyciskając pamiętnik do piersi. Potem zobaczyłem ją dopiero podczas godziny telewizyjnej w świetlicy, gdzie siedziała, podłączona do kroplówki z chemią, i pisała coś zawzięcie w pamiętniku. Ulokowałem się w bezpiecznej odległości od niej i udawałem bardzo zaabsorbowanego kolejnym odcinkiem *Wilka i zająca*, podczas gdy tak naprawdę chłonałem każdy szczegół wyglądu i zachowania Poliny, nie przejmując się już faktem, że jestem odrażającym kaleką. A całe jej ciało sygnalizowało wyraźnie, że ją straciłem. Ją czy też raczej tę jej część, którą pozwoliła mi zobaczyć, kiedy wpuściła mnie do swojej głowy.

A potem, zaabsorbowana notowaniem kolejnych przemyśleń w pamiętniku, Polina zwymiotowała na siebie, krzesło, stojak z kroplówką i kartkę, na której zawzięcie coś notowała. Wymiociny powoli spłynęły na linoleum, gdzie utworzyły kałużę, pełną wirów i zakoli. To był ten rodzaj mdłości, w przypadku których zanim człowiek się zorientuje, że odczuwa przemożną chęć zwymiotowania, jest właściwie w połowie tego procesu, więc może już tylko stać przez chwilę, zszokowany i zawstydzony, zanim ze łzami w oczach wybiegnie z sali, pozwalając, by ci, którzy żyją ze sprzątaniam wymiocin, posprzątali i po nim. Polina była jednak podłączona do kroplówki z chemią, a to oznaczało, że mogła jedynie siedzieć pośród całego tego bałaganu.

Nie jest mi obca odrobina rycerskości, więc gdy tylko uświadomiłem sobie, że sytuacja się pogorszy, jeśli któraś z pozostałych pielęgniarek zastanie Polinę w kałuży jej własnych wymiocin, natychmiast zawołałem siostrę Natalię, a ta zjawiała się po jakichś trzech sekundach i wyprowadziła Polinę, wciąż podłączoną do kroplówki, na korytarz, pocieszając ją słowami: „Och, biedactwo, naprawdę nic się nie stało, kochanie”. W całym tym zamieszaniu Polina jakimś cudem nie zapomniała o zabraniu pamiętnika, wybrudzonego teraz zawartością jej żołądka.

Przez trzy kolejne dni jej nie widywałem. Pewnie tyle czasu potrzebowała, żeby zebrać się na odwagę i ponownie się pokazać między ludźmi. Kiedy w końcu przyszła do świetlicy, bez słowa ulokowała się na starej, brudnej kanapie, wyjęła pamiętnik, wyrwała dwie kartki, zapisała dwie kolejne, a potem wepchnęła zeszyt pod jedną z poduch i wyszła, nawet nie spojrzawszy w moim kierunku. Ewidentnie zachowywała się w sposób, jak to mówią, pasywno-agresywny. Natychmiast podjechałem do kanapy, żeby sprawdzić, co takiego mi zostawiła. Niestety, w tym samym momencie rude bliźniaczki postanowiły usadowić na kanapie swoje chude tyłki i rozpocząć kolejną idiotyczną grę w klaskanie. Ponieważ ruszenie ich z miejsca wymagałoby

prawdziwego cudu, musiałem nastawić się na czekanie. Dwie godziny i siedemnaście minut później wreszcie się znudziły i sobie poszły, a ja miałem okazję wyjąć spod poduszki pamiętnik Poliny, ciągle cuchnący kwasem żołądkowym. Otworzyłem go na ostatniej stronie i natknąłem się na następujący tekst (wiem to na pewno, bo właśnie teraz na niego patrzę):

Drogi Iwanie!

Po pierwsze, chciałabym ci powiedzieć, że jesteś okropnym człowiekiem. Wydajesz mi się odpychający, a pozwoliłam ci przeczytać mój pamiętnik, bo zwyczajnie nie miałam innego wyboru. Ale skoro tak to tu wygląda, przyłączę się do tej gry. Wiesz o mnie o wiele za dużo, podczas gdy ja nie wiem o tobie nic. Dlatego jeśli chcesz kontynuować rozmowę (czy czymkolwiek jest to, co teraz robimy), odpowiedz na poniższe pytania.

- 1. Jak długo tu mieszkasz?*
- 2. Dlaczego w ogóle tu trafiłeś?*
- 3. Jakim cudem jesteś w stanie to znieść?*

*Bez poważania
Polina*

PS. W odpowiedzi na twoje pytanie: pierwszą rzeczą, jaką kiedykolwiek ukradłam, był kot o imieniu Anatolij. Został moim najlepszym przyjacielem na jakieś siedem godzin, dopóki ojciec nie kazał mi go zwrócić.

PPS. Wewnątrz czarnej dziury znajdują się góry czak-czaku³⁰, które będą trwać po wieczność, skoro czarna dziura zawiera cały czas.

PPPS. Zostaw pamiętnik pod tą samą poduszką, pod którą go znalazłeś.

Natychmiast zabrałem się do układania stosownie elokwentnej odpowiedzi, po czym jeszcze przed obiadem schowałem zeszyt z powrotem pod poduszkę. Napisałem:

Droga Polino!

Dziękuję za odpowiedź. A co do twoich pytań:

- 1. Mieszkam tu od zawsze.*
- 2. Trafiłem tu od razu po narodzinach, więc naprawdę mieszkam tu od zawsze. I ponieważ tak jak ty nie mam rodziców.*
- 3. Wszystko zamieniam w grę.*

*Z poważaniem
Iwan*

Tego dnia zaglądałem pod poduszkę jeszcze kilkanaście razy. Potem przypomniałem sobie, że znowu zapomniałem o pytaniach, które pozwoliłyby nam kontynuować tę rozmowę, a tym samym pewnie ostatecznie zniszczyłem rodzące się między nami porozumienie.

Następnego ranka wstałem godzinę wcześniej niż zwykle i od razu pojechałem do świetlicy, żeby znowu zajrzeć pod poduszkę, zupełnie jak te wszystkie dzieciaki w amerykańskich filmach, które zakradają się pod choinkę w Boże Narodzenie o trzeciej nad ranem. Ku mojemu zaskoczeniu tym razem jednak natknąłem się na notes. A w nim wiadomość:

Znam jedną grę. Bawiliśmy się w nią z ojcem podczas wyjątkowo długich podróży autem. Spotkajmy się w świetlicy po kolacji, kiedy zacznie się godzina policyjna.

Polina

Dobrze, Polino, będę czekał, przemknęło mi najpierw przez głowę. A zaraz potem uświadomiłem sobie coś jeszcze: „Ale to oznacza, że będę musiał patrzeć ci w oczy”. Pospiesznie napisałem więc w pamiętniku: „W porządku, Polino, będę czekał. Ale to nie oznacza, że będę patrzył ci w oczy”.

Potem od razu spojrzałem na zegar w świetlicy. Wskazywał godzinę 9.47, co oznaczało, że do kolacji pozostało jeszcze osiem godzin i trzynaście minut, a do godziny telewizyjnej dokładnie dziewięć i trzynaście minut. Czekało mnie więc dziewięć godzin i trzynaście minut wyczekiwania z iście kafkowskim przerażeniem.

Ale czas ma też w sobie coś pocieszającego – wszyscy buddyści zgadzają się co do tego – bo nic nie trwa wiecznie, więc po dziewięciu godzinach samobójczych myśli i obgryzania paznokci w mojej jedynej dłoni wreszcie doczekałem dziewiętnastej i znalazłem się jakieś pół metra od Poliny, podczas gdy w telewizji leciał kolejny odcinek serialu *Biednaja Nastia*³¹. Chociaż dotrzymałem obietnicy i nie patrzyłem Polinie w twarz, kątem oka widziałem, że tego wieczora postanowiła zrezygnować z peruki. Buzię miała wychudzoną i bladą, niemal tak przezroczystą jak moja. Wyglądała na zmęczoną i pozbawioną energii, ale ukrywała to wszystko za czterdziestopięcioprocentowym uśmiechem. I nagle, chociaż była w tak kiepskim stanie, sprawiła, że serce zaczęło mi bić w rytm piosenki *Sexual Healing* niezującego już soulowego piosenkarza Marviniego Gayego.

Polina napisała coś w swoim zeszycie i podała mi go.

„Myślę o pewnej osobie, to może być kobieta lub mężczyzna, fikcyjna postać lub osoba rzeczywista, nadal żyjąca lub nie. Masz dwanaście pytań, na które będę odpowiadać wyłącznie «tak» lub «nie», żeby odgadnąć, kto to jest. Zasady mówią o dwudziestu pytaniach, ale mój osobisty rekord w tej grze to właśnie dwanaście. Jeśli

odgadniesz tę osobę po takim czasie, będziesz mógł zadać mi jakiegokolwiek pytanie zechcesz, a ja odpowiem na nie szczerze. Jeśli nie zgadniesz po dwunastu pytaniach, będziesz mi musiał powiedzieć coś o sobie. Zgadzasz się na te warunki?”.

Wyciągnąłem z kieszeni ołówek i odpisałem:

„Zgadzam się na twoje warunki. Czy ta osoba jest kobietą?”.

Potem oddałem zeszyt Polinie, która szybko naskrobała odpowiedź:

„Tak. Jedenaście”.

I znów podała mi zeszyt.

„Czy to postać fikcyjna?”.

Wymiana.

„Nie. Dziesięć”.

Zmiana.

„Czy to ktoś, kogo kiedykolwiek widzieliśmy w telewizji podczas godziny telewizyjnej?”.

Zmiana.

„Nie. Dziewięć”.

Zmiana.

„Czy to postać z książki?”.

Zmiana.

„Nie. Osiem”.

Zmiana.

„Postać historyczna?”.

Zmiana.

„Tak. Siedem”.

Zmiana.

„Biblijna?”.

Zmiana.

„Tak. Sześć”.

Zmiana.

„Po stronie Boga?”.

Zmiana.

„Nie. Pięć”.

Zmiana.

„Czy po śmierci jej ciało pożarły bezpańskie psy?”.

Zmiana.

„Tak. Cztery”.

„Izabel”.

Zmiana.

Polina parsknęła śmiechem, co odrobinę mnie przestraszyło, bo dotąd nikt nie śmiał

się z czegoś, co zrobiłem. Zresztą sam nigdy nie rozważałem nawet możliwości, że mógłbym kogoś rozbawić. Polina tymczasem napisała parę słów i wręczyła mi zeszyt.

„Nienawidzę cię, Iwanie”.

Zmiana.

„Dlaczego?”.

Zmiana.

„Bo odgadłeś po zaledwie dziewięciu pytaniach”.

Zmiana.

„Łatwizna. Przecież to twoje alter ego”.

Zmiana.

„Możesz zadać swoje pytanie”.

Rzuciła mi zeszyt na kolana. Przez kilka minut siedziałem bez słowa, wymyślając pytania, które cisnęły mi się do głowy setkami, wszystkie z gatunku tych głębokich, egzystencjalnych, których nieuniknionym rezultatem jest długa noc na krytej linoleum podłodze (notabene: mnie nigdy nie przydarzyła się taka długa noc). Wśród tych pytań znalazły się między innymi: „Co twoim zdaniem dzieje się z człowiekiem po śmierci?”. „Czy w wyniku ewolucji ludzie stali się monogamiczni?”. „Czemu bonobo uprawiają seks częściej niż inne naczelne?”. „Czy wszechświat ma jakąś granicę?”. „Czym jest prawdziwe szczęście?”. „Gdyby jednoręki człowiek napadł na bank, jak policjanci mieliby założyć mu kajdanki?”. „Skoro wampiry nie widzą swojego odbicia, jakim cudem zawsze mają starannie ułożone włosy?”. „Czy to możliwe, by śnić na jawie podczas snu?”. No i oczywiście: „Czy myślisz, że mogłabyś kiedykolwiek spojrzeć na mnie jak na obiekt pożądania?”.

Koniec końców postanowiłem poprosić o więcej czasu do namysłu i naskrobałem:

„Czy mogę zatrzymać twój pamiętnik na noc?”.

Na co Polina odpisała:

„O ile nie przeszkadzają ci ślady moich wymiocin”.

Więc wyjaśniłem:

„Nieraz już wahałem w tym szpitalu wymiociny, a twoje naprawdę nie cuchną najgorzej”.

Polina roześmiała się (po raz drugi tego dnia), a potem odpisała:

„Dobranoc, psycholu”.

Miałem nadzieję, że z tym ostatnim tylko żartowała.

Wróciłem do swojego pokoju, gdzie czekała już na mnie matka, przepiękna rodzicielskim zainteresowaniem.

„No i jak tam twoja pierwsza randka?”.

„Na randkach się rozmawia, mamó”.

„Już nie mogę się doczekać wnuków”.

„Co jest z tobą nie tak?”.

„A co jest z t o b ą nie tak?”.

„Po pierwsze, nie jestem stworzony do prokreacji”.

„Maks Mojowicz. Żołnierz z czasów drugiej wojny światowej, któremu amputowano wszystkie cztery kończyny. Jego syn jest teraz burmistrzem Jakucka. Ty masz o jedno ramię więcej od niego”.

„Po drugie, ona umrze, zanim zygota osiągnie rozmiary dziesięciorublowej monety”.

„Nie widziałeś jeszcze inkubatorów najnowszej generacji”.

„Dobranoc, mamó”.

Przez resztę wieczora czytałem klasykę, żeby wymyślić jakieś pytanie do Poliny. W którymś momencie przyszło mi nawet do głowy, że może nie zostało już nic, o co mógłbym ją zapytać. Znałem imiona i oblicza wszystkich demonów zaludniających jej świat. Słowami zdołała już je odmalować. Uznałem, że będzie sprawiedliwie, jeśli odwdzięczę się jej tym samym.

Zegar wskazywał 6.53, kiedy skończyłem spisywanie „Retrospekcyjnego pamiętnika Iwana Isajenki”. Byłem w nim tak szczery jak jeszcze nigdy dotąd. Kompletna historia wszystkich moich fobii i makabrycznych gier oraz mój osobisty słownik. Pozostały jednak pewne rzeczy, do których nie potrafiłem się przyznać. Na przykład mój obsesyjny nawyk masturbacji.

Gdy tylko odłożyłem długopis, zapadłem w sen. Śniło mi się, że spacerowaliśmy z Poliną po mieście, które nie przypominało żadnego z tych wschodnioeuropejskich. Ulica ciągnęła się, jak daleko sięgałem wzrokiem, niebo było zaciągnięte chmurami, a zasnuta lekką mgiełką sceneria – czarno-biała, jeśli nie liczyć rosnących wzdłuż drogi drzew, pokrytych fioletowymi kwiatkami. Ich płatki, opadające na czarno-białą ulicę, przywodziły mi na myśl fioletowe cukierki.

W pewnym momencie zapytałem Polinę: „Co to za drzewa?”. „Jakarandy”, odparła.

Dźwięk jej głosu uświadomił mi, że śnię, ale jakimś cudem ciągle się nie budziłem. Zamiast tego zacząłem się zastanawiać, skąd w ogóle odgadłem we śnie nazwę czegoś, czego nie znałem w realnym życiu. Potem jednak dałem sobie spokój z rozgryzaniem tego paradoksu i zacząłem po prostu cieszyć się snem, ile by nie miał trwać. Szliśmy dalej w milczeniu, aż wreszcie pod jednym z drzew na horyzoncie dostrzegliśmy ciało, leżące nieruchomo na posłaniu z fioletowych płatków. Kiedy podeszliśmy bliżej, dostrzegłem podarte dżinsy i T-shirt, a po kilku kolejnych krokach zorientowałem się, że to tamta Polina, która zjawiała się w szpitalu dwa miesiące temu. Przykucnąłem i potrząsałem jej ciałem, ale nie tliła się w nim już nawet iskra życia. Odwróciłem głowę, lecz Polina, która mi towarzyszyła, zniknęła. Potem scena rozprysła się niczym bańka mydlana, a ja obudziłem się we własnym łóżku, z zapiskami unoszącymi się na mojej piersi w rytm coraz szybszego oddechu. Czym prędzej poderwałem się z posłania. Łazienka, ubranie, a potem do stołówki. Ale tego ranka Polina nie miała przeczytać mojego pamiętnika. Tego ranka, na przekór faktowi, że codziennie na nowo

budziłem się w królestwie Abaddona, że co dnia musiałem ze złamanym sercem stawiać czoło paraliżującej samotności, że wciąż zalewają mnie myśli, które niczym wierni maleńcy niewolnicy starają się nadać jakiś sens mojemu istnieniu, zwyczajnie na przekór temu wszystkiemu i całej reszcie tego ranka miałem się dowiedzieć, że tak naprawdę nigdy jeszcze nie doświadczyłem cierpienia.

*

*Zegar wskazuje godzinę 19.33.
Piszę od czterdziestu czterech godzin.
Jest czwarty grudnia 2005 roku.*

Natalia znowu zastukała do drzwi.
Kazałem jej wejść.
To już pojutrze.
(Cisza).
Przyjadę po ciebie o dziewiątej.
Nigdzie nie idę.
Nie ma mowy.

[28](#) Sceniczny pseudonim ukraińskiego piosenkarza Witalija Władasowicza Graczowa.

[29](#) Obrażliwe określenie dziewczyny, dosłownie „jałówka”.

[30](#) Popularny w Rosji deser przygotowywany z ciasta z mąki i jaj, formowanego w krótkie, przypominające makaron pałeczki lub kulki, które smaży się na głębokim tłuszczu i układa w stos, a następnie polewa rozgrzanym miodem i pozostawia do stwardnienia.

[31](#) Z rosyjskiego „Biedna Nastia”, popularna rosyjska telenowela, oparta na życiu członków arystokracji w dziewiętnastym wieku.

Przypadek wymagający diacetylomorfiny

Nie byłem całkowicie szczery, kiedy twierdziłem, że zawsze potrafię trafnie wytypować każdego trzymiesięczniaka. Jeden jedyny raz się pomyliłem, i to wcale nie tak dawno temu. Pomyliłem się, bo wyparcie to lubieżna kochanka szczenięcej miłości. Kiedy wreszcie usiadłem na swoim miejscu przy stole w tamten wyjątkowo chłodny środowy poranek, gdzieś w listopadzie, wszyscy zabrali się już do jedzenia, nie wyłączając Poliny, którą twardo omijałem wzrokiem. Zamierzałem, jak co dzień, pospiesznie pochłonąć swoją porcję zimnego plastikowego jedzenia, a potem zostawić Polinie mój pamiętnik i czym prędzej zniknąć, niczym dwunożna puma.

Środy to również dzień rozdawania lekarstw. Jeśli ktoś ma je przepisane, to dostanie swoją porcję właśnie tego dnia przy śniadaniu. W tamtą konkretną środę z oczywistych powodów kompletnie o tym zapomniałem. Więc kiedy ujrzałem siostrę Katię z wielkim pudłem plastikowych torebek w potężnych brązowych ramionach, instynktownie zacząłem robić zakłady na ten tydzień. Jak zwykle rude bliźniaczki, Alex, Dennis i dzieciaki z dziurawymi sercami dostali swoje zwyczajowe sześciomiesięczne porcje. Nie pomyliłem się też w przypadku Antona, dziesięciolatka cierpiącego na autyzm i progerię, który otrzymał leki na trzy miesiące. A potem popełniłem błąd. Tamtej listopadowej środy ujrzałem, jak siostra Katia kładzie przed Poliną torebkę o połowę mniejszą niż zwykle. Zdziwiłem się, jak wiele myśli potrafi przemknąć człowiekowi przez głowę w przeciągu zaledwie sekundy, jeśli tylko okoliczności są odpowiednie.

Myśl Numer Jeden: No cóż, może nie tyle myśl, ile przenikająca całe ciało rozpacz. Myśl Numer Dwa: Polina mieszkała tu za krótko i nie była (jeszcze) wystarczająco patologicznie ciekawska, by wiedzieć o dwóch typach pacjentów, a nikt jej przecież nie powie, co oznacza mniejsza o połowę porcja tabletek. Innymi słowy, nie miała pojęcia, że zostało jej od jednego dnia do trzech miesięcy życia. To oznaczało, że tylko ja i siostra Katia wiedzieliśmy, że Polina wkrótce umrze. No i może jeszcze ta siła wyższa, która o tym zadecydowała. Myśl Numer Trzy: Każdy zasługuje na to, by wiedzieć, kiedy umrze. Myśl Numer Cztery: Myśl Numer Trzy to kompletny idiotyzm. Gdyby nie strach, śmierć byłaby jedynie pustym słowem, a jeśli nic Polinie nie

powiem, nie będzie musiała się bać. Myśl Numer Pięć: Myśl Numer Cztery to kompletny idiotyzm. Wiedza o tym, kiedy się umrze, pozwala człowiekowi podjąć świadomą decyzję, jak przeżyje swoje ostatnie chwile. Myśl Numer Sześć: Ktoś musi jej powiedzieć. Myśl Numer Siedem: Wiemy o tym tylko ja i siostra Katia. Ja nie potrafię nawet spojrzeć Polinie w oczy, więc robi to siostra Katia. Myśl Numer Osiem: Muszę porozmawiać z siostrą Katią.

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę w czasie, którego potrzebowałam kęs jedzenia, by wypaść mi z ust. Miałem nadzieję, że Polina tego nie zauważy, natomiast siostra Katia owszem. Niestety, było dokładnie na odwrót. Czułem na sobie palące spojrzenie ewidentnie zde gustowanej Poliny, podczas gdy siostra Katia nadal obojętnie roznosiła leki. Uznałem, że zwrócę na siebie jej uwagę, jeśli skaleczę się tępym nożem do masła w kikut, który powinien być wewnętrzną stroną mojego uda, i wywołam całkiem porządny krwotok. Dzieciaki z dziurawymi sercami natychmiast się rozbeczały, Alex zaczął znowu wykrzykiwać swoje nieznośne *szoko*, a Dennis kołysać się w stylu godnym występu na olimpiadzie. Całe to zamieszanie wreszcie zwróciło uwagę siostry Katii, która upuściła pudełko z lekarstwami i zaczęła krzyczeć:

– Chryste, Iwan! Na świętego Tomasza z Akwinu!

Oczywiście na widok krwi zawsze mdleję, nawet jeśli to moja krew, więc ledwie zobaczyłem, jak siostra Katia biegnie w moją stronę, a już obraz kapusty na moim talerzu zrobił się jakby zamazany, po czym upadłem twarzą w na wół przeżutą papkę. Ocknąłem się w Białej Sali. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, były potężne brązowe ramiona siostry Katii, walącej mnie z całej siły w obwisłe policzki.

– Jestem przytomny, przytomny – warknąłem.

Na co Katia przyłożyła mi jeszcze raz i drugi, tyle że mocniej. Poczulem w ustach smak krwi, co o mało nie przyprawiło mnie o kolejne omdlenie.

– Czemu, do diabła, zrobiłeś coś takiego? – zapytała.

– Martwiła się siostra o mnie?

– Ani trochę. Ale teraz cały szpital stoi na głowie, a ja muszę jeszcze wytrzeć kałużę krwi z podłogi. I nawet nie myśl, że będę to zmieniać – dodała, wskazując na przesiąknięty krwią kawał gazy, przyklejonej plastrem do mojego kikuta.

– Dam sobie radę.

– Co się z tobą, do cholery, dzieje?

– Chciałem siostrę prosić o przysługę.

– Mnie też przydałby się ktoś do pomocy. Ktoś, kto pościera całą tę krew.

– Ja to zrobię, jeśli spełni siostra moją prośbę.

– Mój drogi, mam większe szanse na to, że trafi mnie piorun.

– Nie chodzi o mnie. Musi siostra powiedzieć Polinie, że ona umiera.

– Przecież już to wie – burknęła siostra Katia, nalewając do wiadra wody.

– Musi jej siostra powiedzieć, że zostało jej mniej niż trzy miesiące.

- A skąd mam niby wiedzieć, kiedy ta dziewczynina umrze?
- Przecież dobrze siostra wie, że Polina jest trzymiesięczniakiem.
- Iwan, na Boga, a kto to niby jest trzymiesięczniak?
- To dzieciak, który dostaje mniejsze torebki.
- To nie należy do moich obowiązków.
- A do czyich?
- Po prostu nie do moich.
- A jest w ogóle ktoś taki?
- Nie.
- A więc twierdzi siostra, że nikt nie ma za zadanie uświadamiać ludzi, kiedy umrą, w miejscu, w którym ludzie umierają praktycznie bez przerwy?
- Owszem, tak właśnie twierdzą – przytaknęła, a potem odeszła z mopem w jednej ręce i wiadrem w drugiej.

Dałem sobie całe sześćdziesiąt sekund na wzięcie się w garść. Sześćdziesiąt, pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem.

Kiedy dotarłem do pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć, zsunąłem się z wózka.

Przy czterdzieści trzy, czterdzieści dwa... pod powiekami zapiekły mnie łyzy.

Przy piętnaście, czternaście... zdołałem je wreszcie prawie całkiem powstrzymać.

Przy jeden... siedziałem z powrotem na wózku.

A potem ruszyłem pospiesznie na poszukiwanie siostry Natalii, która jako jedyna mogła to wszystko naprawić. Zacząłem od Niebieskiej Sali (pralni), potem zajrzałem do Sali Czerwonej, z powrotem do Białej i wreszcie do Żółtej, ale siostry Natalii nigdzie nie było. Pojechałem więc do recepcji, gdzie panna Kristina właśnie zawzięcie żuła końcówkę straszliwie pogryzionego długopisu.

- Gdzie znajdę Natalię? – zapytałem.
- Nie ma jej dzisiaj.
- A gdzie jest?
- Na chrzcinach siostrzenicy czy coś w tym rodzaju.
- Musi pani do niej zadzwonić.
- Iwanie, nie mo...
- Może pani. Wykręcę pani numer.
- Natalia pewnie jest akurat na mszy.
- To nie wie pani, że chrzty nigdy nie odbywają się o ósmej rano? Właściwie to nie, nie ma pani prawa tego wiedzieć, bo jest pani idiotką.
- Jak możesz mówić takie rzeczy?
- Przecież to prawda.
- Jest pewien powód, dla którego nie zamierzam udostępnić ci telefonu. Chcesz usłyszeć jaki?
- Niespecjalnie.

– Nie wolno ci korzystać z telefonu, odkąd wykonałeś jakieś sto zamiejscowych rozmów w ciągu jednej nocy.

– Po pierwsze, to było trzy lata temu, a po drugie, ktoś niedługo umrze.

Panna Kristina popatrzyła z niepokojem na zakrwawioną gazę na moim kikucie.

– Chodzi o ciebie? – zapytała.

– Tak, i właśnie dlatego potrzebuję Natalii.

– Może raczej powinniśmy wezwać którąś z pozostałych pielęgniarek. Wszyscy...

– Nie chcę z nimi rozmawiać.

Panna Kristina skrzywiła się, a jej grymas jasno mówił: „Tak, doskonale cię rozumiem...”.

W końcu przyłożyła mi słuchawkę do ucha i spytała:

– Podać ci jej numer?

– Nie, pamiętam go.

– Pospiesz się.

Wykręcenie wszystkich cyfr moim niezdarnym palcem zajęło mi jakieś dwadzieścia siedem sekund. Była ósma rano, więc miałem nadzieję, że siostra Natalia już nie śpi i że nie modli się akurat w tym momencie. Ale, jak zdążyłem się już nieraz przekonać, nadzieja, podobnie jak modlitwa, właściwie nigdy nie jest skuteczna. Działa wyłącznie bycie prawdziwym wrzodem na tyłku. Sygnał w słuchawce rozbrzmiał siedemnaście razy, ale nadal nikt nie odbierał. Rozłączyłem się więc i zacząłem od nowa, mimo protestów panny Kris, które udało mi się jakoś zbyć.

Wreszcie po kolejnych ośmiu sygnałach:

– Iwan?

Zaskoczyła mnie, w końcu jednak wydusiłem:

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Będę za dziesięć minut.

A potem się rozłączyła.

Dokładnie dziewięć minut później siostra Natalia stanęła w progu, ubrana w ciężki czarny płaszcz, pod którym jednak nie było pielęgniarskiego uniformu, zwykle ciasno opinającego jej pulchną figurę. Przez te siedemnaście lat chyba ani razu nie widziałem jej bez mundurka.

Natychmiast ruszyła w moją stronę, chwyciła za rączki wózka i zabrała mnie na spokojną klatkę schodową na drugim piętrze, a potem objęła mnie i zaczęła szlochać.

– Iwan, kochanie, wiem o waszej zabawie w „Mój drogi pamiętniczku” – wyznała przez łzy.

Ja też zacząłem płakać. A potem powiedziałem:

– Przepraszam, że przeszkodziłem ci w chrzcinach.

– Och, daj spokój!

Popłakaliśmy sobie jeszcze trochę, a kiedy skończyliśmy, Natalia otarła nam obojgu

twarze i zabrała mnie do mojego pokoju, gdzie wreszcie zapytałem o to, co najważniejsze:

– Powiesz jej?

– A mam inne wyjście? – rzuciła retorycznie, więc nawet nie siliłem się na odpowiedź.

Kiedy wyszła, postanowiłem zostać do końca dnia u siebie, na przemian przeglądając rozmaite podręczniki medyczne i bezskutecznie próbując się masturbować.

Następnego ranka wszyscy znów usiedliśmy do śniadania, dokładnie te same postacie w dokładnie tym samym układzie, tyle że tym razem Polina i ja wiedzieliśmy już o tym, że ona umiera. Jediną rzeczą, jaką potrafiłem w tej sytuacji wymyślić, było posłanie jej wymuszonego uśmiechu z drugiego końca stołu (czy też raczej namiastki uśmiechu, na jaką pozwalały moje obwisłe policzki). Sam byłem zaszokowany, jak łatwo go odwzajemniła, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Choć chyba żadne z nas nie miało wątpliwości, że to jedynie uśmiech kurtuazyjny. Z gatunku: „Jestem słaba, zmęczona i umierająca, a ty jesteś cudakiem, ale mimo to grzeczność nakazuje, żebym odwzajemniła twoją uprzejmość”. Chociaż może, tylko może, była też w pewnym stopniu oczarowana moim zachowaniem.

To właśnie wtedy uznałem, że śniadanie stanie się moim polem treningowym. Za pomocą całego systemu uśmiechów i spojrzeń postaram się powoli stopić lody i wyrwać się spod uroku jej boskości. Każdego ranka będę czekał, aż usiądzie na swoim miejscu przy stole, a potem będę stosował wszystkie techniki, których używałem do ćwiczenia mięśni policzków, by poprawić swój uśmiech. Każdego ranka, kiedy Polina wreszcie się zjawi, będę czekał, aż spojrzy, niby to przypadkiem, w moją stronę, a potem postaram się rozpromienić swoją twarz w uśmiechu. A ona każdego ranka go odwzajemni.

W końcu nie będę już musiał czekać, aż spojrzy na mnie niby to przypadkiem. Z czasem zacznie czekać na mój uśmiech, może nawet cieszyć się nim, aż wreszcie pierwszą rzeczą, jaką zrobi po zajęciu miejsca przy stole, będzie spojrzenie w moim kierunku, by otrzymać ten skromny hołd. A ja będę na nią zerkać co najmniej kilka razy w ciągu każdego posiłku, po części po to, by kontynuować ten proces znieczulania się na jej urok, a po części po to, by szukać w jej twarzy jakichkolwiek oznak świadczących o tym, że oto jednak dostrzegła we mnie jakieś niewyjaśnione piękno.

Miałem nadzieję na co najmniej kolejne trzy lata, bo tyle moim zdaniem miał potrwać proces, który pozwoliłby mi osiągnąć taki poziom komfortu i pewności siebie, bym mógł wreszcie bez lęku z nią rozmawiać, ale los znowu zaśmiał mi się w twarz, bo nie mieliśmy nawet tych trzech miesięcy. Pozostały nam zaledwie trzy tygodnie, co zdaje się potwierdzać teorię Maxwella Maltza, sformułowaną przez niego w książce *Nowa psychocybernetyka* z 1960 roku, że potrzeba dokładnie dwudziestu jeden dni, by wykształcił się nowy nawyk.

CZĘŚĆ DRUGA

Odliczanie

Dzień dwudziesty pierwszy

Otrzęsiny i wtajemniczenie

Następnego ranka niecierpliwie czekałem na śniadanie, ćwicząc mięśnie twarzy. Wiedziałem, że Polina instynktownie spojrzy na mnie. I rzeczywiście tak właśnie zrobiła. Ja jednak nie byłem w stanie się na to zdobyć. Wiedziałem, że jeśli się zdekonzentruję, wyćwiczony pseudouśmiech zniknie, a na mojej twarzy odbije się to, co tak naprawdę czuję. Tego nie przewidziałem.

Oczywiście siostra Natalia przyglądała się temu wszystkiemu uważnie, ciekawa, jaki będzie mój następny ruch. W odpowiedzi na moją obojętność postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i w porze telewizji, nie pytając mnie o zgodę, po raz pierwszy ustawiła mój wózek tuż obok wózka Poliny, bliżej niż kiedykolwiek dotąd, tak że stykaliśmy się łokciami, a potem sobie poszła, żebym sam stawił czoło ewentualnej burzy.

Mój drogi czytelniku, musisz zrozumieć jedno: wtedy pierwszy raz zdarzyło mi się dotknąć skóry kogoś innego poza pielęgniarkami, nie mówiąc już o tym, że przecież była to skóra Poliny. Zaskoczyło mnie to kompletnie, a mój członek natychmiast zareagował na przyspieszone pulsowanie mojej krwi i napiął materiał moich spodenek.

Może wyda ci się to dziwne, że mutant z jedną ręką może w ogóle poczuć się skrępowany, ale uwierz mi, to były najgorsze dwadzieścia dwie sekundy w całym moim życiu. Instynktownie zasłoniłem ręką wybrzuszenie w szortach, ale to tylko ściągało uwagę na te rejony mojego ciała, ostatecznie więc tak zręcznie, jak to tylko możliwe, wepchnąłem mojego *chuja* między kikuty ud i zacisnąłem je z całej siły, by ukryć wzwód. Potem czekałem parę ciągnących się w nieskończoność chwil, aż wszystko się uspokoi. Byłem czerwony i zlany potem, ale to nie powstrzymało Poliny przed nawiązaniem rozmowy.

- Natalia mi powiedziała. – Siedziałem w milczeniu, wciąż spocony jak mysz. – Iwan, wszystko w porządku?
- Podobają mi się twoje włosy, Polino.
- Iwan, to peruka.

Następna godzina to jedna wielka plama rozpalonego do białości światła. Mgliste

wspomnienie rozmowy, z której niewiele zapamiętałem, chociaż wiem, że zmieniła ona życie – i moje, i Poliny. Od tamtej pory gadaliśmy właściwie podczas każdej godziny telewizyjnej, a po zgaszeniu świateł spotykaliśmy się, żeby się wygłupiać, przekomarzać i robić wszystko to, co pozwalało nam poczuć się mniej samotnymi. Zaczęliśmy od rozmowy o pogodzie, potem przeszliśmy do rozmaitych rzeczy, których nie znosimy, by wreszcie skończyć na tym, jak najchętniej opłacalibyśmy wynajem mieszkania, gdybyśmy dostali od losu jeszcze jedną szansę. Siostra Natalia była oczywiście zachwycona tymi naszymi nieporadnymi zalotami i robiła wszystko, co w jej mocy, by pielęgnować rodzące się uczucie. Pożyczała od krewnych stare rosyjskie gry, a potem podczas ciszy nocnej ukradkiem zawoziła nas oboje do świetlicy i pozwalała nam w nie grać bez żadnego nadzoru. Kiedy teraz patrzę na te noce oczami wciąż jeszcze zamglonymi przez wódkę, wydają mi się one surrealistyczne. W tamtym czasie i miejscu Polina nie była umierająca, a ja nie przypominałem mutanta. Oboje porzucaliśmy nasze ciała i spotykaliśmy się gdzieś daleko stąd.

Dzień dwudziesty

Dzień, w którym dołożyliśmy swoją cegielkę do wychowania Maxa

Pierwszą noc po tym, jak odkryłem, że Polina wkrótce umrze, spędziłem na rozmyślaniu o wszystkim, co chciałbym zrobić w jej towarzystwie, zanim trafi do Czerwonej Sali. Ponieważ wierzyłem, że zostały nam jeszcze trzy miesiące, pierwsza lista była dosyć długa i zawierała takie rozrywki, jak zabawa w chowanego, kosztowanie rozmaitych gatunków kaw z Ameryki Środkowej (zwłaszcza tej z Gwatemali), podziwianie syberyjskiej zorzy polarnej, zabawa w osławioną amerykańską grę Prawda czy wyzwanie (co często stanowi wstęp do gry erotycznej), wspólne komponowanie piosenki na gitarę i pianino, wyprawa do Paryża, żeby zobaczyć wieżę Eiffla, ugotowanie palak paneer dla siostry Natalii, pływanie z delfinami, odwiedzenie grobu Nabokova, obściskiwanie się pod wodospadem, przejażdżka na słoniu, seks na łóżku wodnym, utoczenie kuli śniegowej wyższej od nas obojga, wynalezienie nowego koloru, którego nikt wcześniej nie widział, surfowanie na Malediwach, wspinaczka górską gdzieś w środkowej Afryce, nakarmienie żyrafy, wizyta u wiarygodnego szarlatana, który odczytałby nasz los z dłoni, zwiedzenie prawdziwego gabinetu osobliwości w wesołym miasteczku, spędzenie nocy na plaży (bez namiotu), zabawa w karaoke w amerykańskiej chińskiej czy koreańskiej dzielnicy albo w jakimkolwiek azjatyckim mieście, seks w windzie, jazda na nartach (na śniegu, ale też po wodzie), przejażdżka tramwajem linowym w San Francisco, dorobienie się gromadki dzieci, które nazwalibyśmy na cześć miejsc ich poczęcia (na przykład Madagaskar, Middlesex czy Malcolm), seks na dachu (najlepiej w deszczu), jedzenie homarów w Kalifornii Dolnej w Meksyku i przebieranki w stroje księdza i zakonnicy, zanim wybralibyśmy się na plażę, żeby tam się kochać.

Po skończeniu listy odłożyłem długopis i spojrzałem na zegar. 4.00. Opadłem na łóżko i śniłem na jawie przez dobrą godzinę, zanim, nie wiedzieć kiedy, zapadłem w prawdziwy sen. Życie było jedną czarną dziurą, dopóki siostra Natalia nie zapukała taktownie do drzwi.

– Iwanie, nie śpisz?

- Teraz już nie.
- Mogę wejść?
- No raczej.

Natalia weszła i starannie zamknęła za sobą drzwi, a potem powoli podeszła do łóżka i usiadła w miejscu, w którym znajdowałyby się moje nogi, gdybym je miał. Wyglądała tak, jakby miała mi mnóstwo rzeczy do powiedzenia.

- Zakochałeś się?
 - Czasami zadajesz same złe pytania.
- Uśmiechnęła się, ja też zmusiłem się do namiastki uśmiechu.
- Proszę bardzo, pytaj – rzuciła.
 - Ale o co?
 - Skoro nie podobają ci się moje pytania, sam jakieś zadaj.
 - Co się stało, kiedy jej powiedziałaś?
 - Płakała jak małe dziecko.
 - Mogę coś zrobić?
 - Zawsze możesz.

A potem nie musieliśmy mówić już nic więcej. Natalia wstała, poprawiła fartuch i wyszła, a ja mogłem wreszcie się wysikać i ubrać. Dwie minuty później siedziałem nad swoją porcją cuchnącej kapusty, ale Poliny nie było na drugim końcu stołu. Pospiesznie rozprawiłem się ze śniadaniem, a potem odszukałem siostrę Natalię, która właśnie sprzątała toaletę.

- Gdzie ona jest?
- Podwoili jej chemię. Chyba liczą na cud – rzuciła w odpowiedzi, zdrapując zaschnięte u podstawy muszli włosy.

To oznaczało, że Polina była zbyt chora, by jeść. Poza tym siostra Natalia nie wierzyła w tego rodzaju cudy. A ja po siedemnastu latach pobytu w szpitalu wciąż nie miałem pojęcia, co to za oni, bo przecież prawie nigdy nie bywają tu lekarze.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wrócić do pokoju, żeby się masturbować, a potem przespać cały ten czas, jaki został do kolacji, a potem przyszło mi do głowy, że pod nieobecność Poliny mogę przecież zaplanować nasze kolejne spotkanie. Wyjąłem więc swoją listę, teraz już wypaćkaną wazeliną i sokiem z kapusty, a potem jeszcze raz odczytałem wszystkie pomysły na kolejne trzy miesiące. Ostatecznie ze względu na poważny stan Poliny postanowiłem zrezygnować z większości z nich i przygotować znacznie krótszą listę. Pojechałem do świetlicy, gdzie trzynastu otumanionych pacjentów z otwartymi ustami gapiło się w telewizor, a rude bliźniaczki wykonywały jakąś skomplikowaną pozycję z jogi, którą lubię nazywać *lesbijanki w sumerkach*³². Ulokowałem się przy regale z książkami i zacząłem szukać mojej ulubionej pozycji, *Słon Chorton wysiżywajet jajco* Theodore’a Geisela³³. Wydana jakieś pięćdziesiąt siedem lat temu książka była stara i wystrzępiona od dziesiątków rąk nieumiejących

czytać mutantów. Wcisnąłem ją sobie pod tyłek, a potem dotrwałem z całą resztą towarzystwa do końca godziny telewizyjnej.

Jakoś przeżyłem ten ranek i wróciłem do stołówki na obiad z nadzieją, że Polina zdążyła już choć trochę zgłodnieć. Niestety. Potem wyprawa do świetlicy na kolejną godzinę telewizyjną. I nadal śladu Poliny. Później znowu stołówka i kolacja, z książką ciągle uwierającą mnie w pośladki. Potem już tylko godzina telewizyjna po kolacji w świetlicy, gdzie ledwie wytrzymałem trwający pięćdziesiąt minut odcinek *Czterech pancernych i psa*. Dopiero wtedy wreszcie pojawiła się Polina. Wyglądała jak świetnie ucharakteryzowana na zombi aktorka. Już szykowałem się, żeby coś powiedzieć, ale mnie ubiegła:

– Nic mi nie jest.

Znowu chciałem coś powiedzieć, na co powtórzyła:

– Tak, Iwanie, nic mi nie będzie.

Przez chwilę siedziałem bez słowa, zaskoczony i z lekka zdeprymowany, po czym wreszcie się odezwałem:

– Skąd wiedziałaś, że o to chcę zapytać? A może chciałem się dowiedzieć, czemu ruchome piaski tak się nazywają, skoro cały czas tkwią w jednym i tym samym miejscu? I czemu teraz mi nie przerwałaś?

– Po śmierci rodziców ludzie miliony razy pytali mnie, czy aby na pewno nic mi nie jest. Każdy przybiera określony wyraz twarzy na chwilę przed zadaniem tego pytania.

Nie przyszło mi to do głowy, pewnie dlatego że mnie nikt nigdy nie pyta, czy nic mi nie jest.

– Znasz już Maxa? – zmieniłem temat.

– Ledwie poznałam ciebie. I to też niezbyt dobrze.

Dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo zeszczupłała i pobladła jej twarz. Głowę znowu miała łąsą, co mogłem zinterpretować jako krok w tył, jeśli chodzi o budowanie między nami porozumienia, albo wręcz przeciwnie – krok naprzód, dowodzący osiągnięcia stanu pewnej swobody w moim towarzystwie. Równie dobrze jednak mogło to absolutnie nic nie znaczyć. Odwróciłem głowę w stronę telewizora, bo nagle wydało mi się, że za długo na nią patrzę. Poza tym nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Tym razem na ekranie leciał *Wilk i zając*.

– Lubisz kreskówki? – zapytałem.

– Mogą być.

Odpowiedź była krótka, rzucona jakby na odczepnego, a mnie od razu przyszło do głowy, że może Polina znowu walczy z mdłościami. Tak czy inaczej nie miałem jednak czego się obawiać, w żołądku pewnie nie miała za wiele.

– Chcę ci coś pokazać – dodałem.

– Może później.

Uznałem, że najlepiej będzie się nie odzywać, więc milczałem przez resztę odcinka

Wilka i zająca i później – przez cały ten czas, którego siostra Elena potrzebowała na odprowadzenie pozostałych pacjentów do ich pokoi przed ciszą nocną. Dopiero kiedy kazała i nam położyć się spać, powiedziałem Polinie, żeby poszła za mną, a potem skierowałem się w stronę wind. Nacisnąłem guzik drugiego piętra, na którym znajdowała się Sala Żółta. Polina trochę się ociągała, więc przytrzymałem drzwi otwarte, ciągle wciskając guzik z dwiema skierowanymi w przeciwnych kierunkach strzałkami, co stanowiło najbardziej męską rzecz, jaką zrobiłem w całym swoim życiu. Od razu nadałem się niczym głuszc.

– Dokąd jedziemy?

– To niespodzianka.

Jeśli nie liczyć tej krótkiej wymiany zdań, podróż windą odbyliśmy w całkowitym milczeniu. Kiedy drzwi wreszcie się rozsunęły, przytrzymałem guzik i przepuściłem Polinę przodem, a potem poprowadziłem ją długim, ciemnym korytarzem do Żółtej Sali, w której też panował półmrok, jeśli nie liczyć małych migających światełek, które przywodziły mi na myśl nocne żyjątka, kryjące się gdzieś na afrykańskiej sawannie.

– Nigdy tu nie byłam – powiedziała Polina z mikroskopijną nutką podekscytowania, która dowodziła, że przynajmniej jeszcze tliło się w niej życie. A potem zapaliła światło, jakby robiła to miliony razy.

Bez słowa ruszyłem w stronę łóżeczka Maxa, Polina szła za mną. Sięgnąłem ręką ponad niską barierką i uszczypnąłem Maxa w paluszki u stóp. To był wymyślony przeze mnie sygnał, żeby malec od razu wiedział, że to ja. Wtedy spojrzał mi w oczy w ten swój wzruszająco surowy i jednocześnie spanikowany sposób. Popatrzyłem Polinie prosto w twarz, po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, i dostrzegłem, że z trudem powstrzymywała łzy.

– Co mu jest? – zapytała.

– To się chyba nazywa *arthrogryposis multiplex congenita* – odparłem. Pewnie wyszedł z tego mało zrozumiały bełkot, ale mięśnie mojej twarzy nie nawykły do łaciny i medycznego żargonu.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Polina.

– Pytałem siostrę Katię, która się nim zajmuje, ale nie miała pojęcia. Potem zapytałem siostrę Natalię, która też nie знаła odpowiedzi, ale przyniosła mi jego historię choroby, w której było napisane jedynie „wrodzona deformacja”. Czyli że urodził się kompletnie pokręcony. Zapytałem więc Natalię, co właściwie jest z nim nie tak, ale obruszyła się, że przecież już mówiła, że nie wie. A potem dała mi swoje podręczniki ze szkoły pielęgniarskiej, żebym sam do tego doszedł.

– Czy on może mówić?

– Nie.

Polina wyciągnęła rękę i dotknęła buzi Maxa, a potem przesunęła palcami po jego

wygiętym jak sierp ciążki, żeby na koniec ująć między kciuk a palec wskazujący jego zaciśniętą piąstkę.

– Czasami mu czytam – dodałem i wreszcie wyjąłem książkę spod tyłka. – „Westchnął ptak Grzebielucha/ Zwany też Podpuszczajką:/ Wysiadywać wciąż jajko – taki los nie jest bajką!”³⁴.

Czułem się niezręcznie w obecności Poliny, bo czytanie na głos tylko uwydatniało moją bełkotliwą wymowę. Ciągłe odrywałem wzrok od tekstu, żeby na nią spojrzeć.

– „Drugi tydzień już siedzę – co za nuda, na Boga!/ Czuję bezsens istnienia i zdrętwiała mi noga./ Z jakiej racji właściwie mam zamęczać się PRACĄ?!/ Czy mi chociaż za pracę przyzwoicie zapłacą?”.

Polina nuciła coś Maxowi cichutko, choć nie potrafiłem zidentyfikować melodii, pochodzącej chyba z któregoś przeboju z lat osiemdziesiątych. Tak czy inaczej ulżyło mi, bo dzięki temu przynajmniej nie zwracała uwagi na moje dukanie.

– „Może raczej – wziąć urlop? Ale kto mnie zastąpi?/ Któż na jajku usiądzie, któż pomocną da dłoń?”.

Polina nuciła i głaskała przerażonego malucha, niczym cherubin, którego w niej dostrzegłem w chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg szpitala.

– „Tu przerwała, albowiem pod jej drzewem stał słoń./ Miał na imię Konstanty i w sąsiedztwie był znany/ Z gracji, z jaką potrafił zrywać trąbą banany./ – Mój Konstanty! – pisnęła Grzebielucha w zachwycie./ – W samą porę się zjawiasz, bo obrzydło mi życie!/ Od lat marzę o krótkim wakacyjnym wyjeździe:/ Przez ten czas ty zastąpisz mnie na jajku i w gnieździe!”.

Doskonale rozumiałem przejęcie Poliny, które połączyło nas na tych kilka sekund.

– „Zaskoczony tak dziwną propozycją, słoń głową/ Wpierw pokręcił, uszami załopotał nerwowo,/ Po czym rzekł: – Co za pomysł! Mówisz serio? Nie wierzę!/ JA na jajku?! Po pierwsze: skąd wziąć skrzydła i pierze?”.

Może kryła się też za tym bolesna świadomość, że już nigdy nie będzie jej dane zostać matką?

– „A po drugie: na JAJKU? SIĄŚĆ?! A Boże mnie broń!/ Jajko jest takie małe, a ja – wielki jak słoń!”.

Ledwie o tym pomyślałem, a już dostrzegłem lśniąca łzę toczącą się powoli po jej porcelanowym policzku. Wilgotna strużka podkreśliła tylko jej znamię, mijając je po drodze ku podbródkowi.

– „Na to ptak Grzebielucha, zwany też Podpuszczajką,/ Rzekł z uśmiechem na dziobie: – Nic się nie bój o jajko!/ Dziwną pewnością mam w duszy, że słoń mimo swej tuszy/ W jajku nic nie naruszy i skorupki nie skruszy;/ Przy twej znanej powszechnie gracji – cóż znaczy ten tonaż?/ Wyczyn trudny, to prawda – ale ty go dokonasz!”.

W tym momencie Polina podniosła na mnie oczy i powiedziała:

– Teraz ja mu poczytam.

Kiedy podałem jej książkę, rzeczywiście zaczęła czytać przesadnie czułym tonem.

– „Musisz tylko – tak samo, jak ja mam w zwyczaju –/ Delikatnie siedzenie ulokować na jajku,/ Po czym siedzieć, nie wierząc się zanadto gwałtownie./ Zrób to dla mnie, mój słoni!”.

Odchyliłem się na oparcie wózka i po prostu na nią patrzyłem. Zaabsorbowana lekturą, całkiem zapomniała o mojej obecności, ale nie miałem jej tego za złe.

Tej nocy oboje zasnęliśmy przy łóżeczku Maxa. Obudziło mnie dopiero popiskiwanie urządzenia monitorującego pracę jego serca. Nie mogłem zdobyć się na to, by ją obudzić, więc cichutko wróciłem do swojego pokoju, podczas gdy ona została z Maxem.

[32](#) „Lesbijki o zmierzchu”.

[33](#) Rosyjskie tłumaczenie książki Dr. Seussa *Słoń, który wysiedział jajko*.

[34](#) Cytaty w przekładzie Stanisława Barańczaka za: Dr. Seuss, *Słoń, który wysiedział jajko*, Media Rodzina, Poznań 2003, s. 3–5 (przyp. tłum.).

Dzień dziewiętnasty

Wieczór gier

Następnego ranka ze snu wyrwało mnie stukanie do drzwi. O, cholera!, pomyślałem, kiedy usłyszałem głos Natalii:

– Iwan, za dziesięć minut śniadanie.

Przez te metalowe drzwi brzmiała zupełnie jak robot.

– Już, zaraz – mruknąłem.

– Trzeci raz w tym tygodniu, Iwanie?

– Już, zaraz – powtórzyłem.

– Mogę wejść? Mam coś dla ciebie.

Mój mózg był już tak zaprogramowany, że zaczynał się ślinić niczym pies Pawłowa, kiedy siostra Natalia zjawiała się z „czymś dla mnie”. Zwykle były to książki, ale coś mi mówiło, że tym razem musi chodzić o znacznie większą gratkę.

– Proszę.

Weszła do środka i rzuciła mi na łóżko dużą plastikową torbę.

– To wszystko, co mam, Iwanie. Nie używałam ich od lat.

Zajrzałem do torby, a potem zacząłem wyciągać po kolei pudełka z grami, o większości których nawet nie słyszałem. Underwud, Szłapa, Pantomima, Dzień zwycięstwa, Tryktrak oraz Silnoje kołdunstwo.

– Spójrz tutaj – dodała Natalia. – To Monopol. Kupiłam tę grę w Nowym Jorku. Dwadzieścia lat temu za posiadanie takich komunistycznych obrzydliwości aresztowałoby nas KGB.

– Czyli ja od osiemnastu lat umieram z nudów w tym cholernym szpitalu, podczas gdy ty przez cały ten czas ukrywałaś te wszystkie gry?

– A z kim miałbyś w nie grać, Iwanie?

– Na przykład z tobą.

– Przestań dramatyzować. Byłeś zbyt zajęty książkami, żeby grywać ze starszą panią.

Ostatnią partyjkę szachów rozegraliśmy dziesięć lat temu.

– Tylko dlatego, że marna z ciebie szachistka.

– No właśnie.

- Mogę je zatrzymać?
- Powiedzmy, że pożyczam ci je na dłuższy czas.
- Bliźniaczki nie mogą w nie grać? – dopytywałem.

Natalia prychnęła drwiąco i machnęła ręką.

Zacząłem układać pudełka na łóżku według kategorii zgodnie z oznaczeniami z boku pudełek. Zaabsorbowany, prawie zapominałem o obecności Natalii, dopóki nie zaczęła pokrzykiwać, że do śniadania zostało zaledwie pięć minut.

- Polina też jest? – zapytałem.
- Nie, nie będzie już przychodzić do stołówki. W każdym razie nie na śniadanie – dostaje chemię o szóstej rano.
- Nie mam dziś ochoty na jedzenie – stwierdziłem.

Znalazłem na stoliku jakąś strasznie wybrudzoną serwetkę i prawie wypisanym długopisem naskrobałem na niej koszmarnymi kulfonami parę słów, a potem pojechałem do pokoju Poliny i wsunąłem serwetkę pod drzwi.

Czekałem cierpliwie przez cały dzień, boleśnie świadomy każdego tyknięcia każdego zegara w każdej sali w tym szpitalu (pomimo ograniczonych funduszy i braku zaawansowanych technologii nasz szpital jest wyposażony w naprawdę zatrważającą liczbę czasomierzy). Podczas obiadu zdołałem przełknąć zaledwie parę kęsów, podobnie było z kolacją. Zjawiałem się w świetlicy na telewizję, snułem się korytarzami niczym zjawa niewiedząca, co ze sobą począć, a poza tym odbyłem kilka wypraw do wspólnej łazienki – wszystko to w głęboko skrywanej (i kompletnie nieudanej) próbie odnalezienia Poliny. Ale tego się właśnie spodziewałem, skoro pewnie Polina siedziała teraz na toalecie w łazience przylegającej do jej pokoju, podczas gdy płyny wypływały z niej dwoma stronami.

Tego konkretnego dnia podczas kolacji to siostra Natalia rozdawała talerze z jedzeniem. Kiedy z czegoś, co aż za bardzo przypominało wiadro, nabierała chochłłą kolejną porcję brei z mikroskopijnymi kawałkami niezidentyfikowanego mięsa, zapytałem ją, czy widziała Polinę.

– Słyszałam, jak wymiotuje w swojej łazience – odparła, po czym wróciła do rozdzielania porcji gotowanego mięsa.

Ja tymczasem zacząłem oswajać się z myślą, że może jednak nic nie pójdzie dzisiaj tak, jak to sobie zaplanowałem. Nauczyłem się tej teraz wręcz automatycznej strategii obronnej wiele lat temu. Głosik w mojej głowie powtarzał na przykład: „Przecież wiesz, że wolałbyś się teraz masturbować w swoim pokoju, Iwanie” albo: „Dziewczyny są tak niewyobrażalnie nudne” czy: „Przecież ona i tak wkrótce umrze”. Po tej lekcji stoicyzmu wróciłem do swojej sypialni i wyciągnąłem spod łóżka trzy książki: *The Pathological Basis of Disease* Gustava Steina (przekład rosyjski Kirkegaard Polow), *The Molecular Biology of Cancer* Marka Romana (przekład rosyjski Siergiej Ilikow) oraz *Genetics: Analysis and Principles* Roberta Brookera

(przekład ukraiński Władimira Miedjediewa). Były to jedyne podręczniki z czasów szkoły pielęgniarzkiej, których siostra Natalia nigdy nie sprzedała, a dla mnie stanowiły jedne z najważniejszych lektur. Ostatecznie mieszkałem w miejscu, w którym umiejętność diagnozowania u siebie rozmaitych przypadłości stanowiła istotny element przetrwania.

Postanowiłem, że pozostały czas oczekiwania poświęcę na próbę znalezienia odpowiedzi, dlaczego poddawani chemioterapii pacjenci cierpią na wymioty i biegunki. Zdaniem Romana (strona 342) komórki rakowe mnożą się jak króliki na wiosnę, leki zaś obecne w chemicznym koktajlu zabijają takie właśnie błyskawicznie się reprodukuje komórki. Niestety, komórki ludzkich żołądków i jelit również należą do tej kategorii, więc i one cierpią na skutek terapii chemią.

O 20.50 odłożyłem książkę, wdrapałem się na wózek, zabrałem szachy, Pantomimę i talię kart (ostatecznie urozmaicenie jest solą życia, przynajmniej wedle słów mojej matki) i pojechałem do świetlicy, teraz już pustej, oświetlonej lampką oliwną i tuzinem świec, ewidentnie zapalonych przez siostrę Natalię, która pewnie wcale nie zamierzała być miłą, a zwyczajnie chciała ze mnie zażartować. Spanikowany, zacząłem zdmuchiwać świece, co przychodziło mi z trudem ze względu na ograniczoną pojemność moich płuc. Lampkę oliwną postanowiłem zostawić zapaloną, bo alternatywa (czyli szpitalne jarzeniówki) przyprawiała mnie o lekkie mdłości, podobnie jak widok krwi czy jedzenia wypadającego komuś z ust albo wizyta w Czerwonej Sali. Potem zsunąłem się z wózka i wyjąłem z torby pierwszą grę, jaka nawinęła mi się pod rękę. Akurat były to szachy, więc zacząłem ustawiać plastikowe pionki na szachownicy, szybko jednak z tego zrezygnowałem, kiedy pojawiła się matka i powiedziała, że może jednak Polina nie będzie miała ochoty na zbyt duży wysiłek umysłowy po całym dniu wymiotowania. Zgarnąłem więc pionki z powrotem do torby i wyjąłem Pantomimę, po czym uświadomiłem sobie, że przecież nawet nie wiem, jak w to grać. Czym prędzej zabrałem się do czytania instrukcji, zanim znowu nie pojawiła się matka, żeby rzucić: „Zostało ci pięćdziesiąt sekund, Iwanie. Nie nauczysz się w to grać w tak krótkim czasie, więc lepiej zdecyduj się na karty”. Pospiesznie sięgnąłem po talię i zacząłem rozkładać karty na dwie kupki do gry w *duraka*. Kiedy rzuciłem ostatnią kartę, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Po pierwsze: „Czy to nie będzie żalosne, jeśli za pół godziny nadal będę siedział tu sam nad dwiema kupkami kart przy świetle lampki oliwnej, bo Polina w ogóle się nie pojawi?”. I po drugie: „Czy jakakolwiek gra karciana mogłaby zabawić pacjenta powoli umierającego na białaczkę, osłabionego, zmęczonego i poirytowanego, a przy tym ciągle walczącego z nudnościami?”. Te dwie myśli sprawiły, że w pośpiechu zgarnąłem wszystkie karty z powrotem na jedną kupkę. Już miałem je schować do torby, kiedy do świetlicy wjechała Polina na wózku.

– Nie grałam w karty, odkąd tu zamieszkałam – oznajmiła całkiem wesołym tonem.

Jej słowa sprawiły, że zacząłem bezwiednie udawać, iż właśnie rozdaję karty, a nie je zbieram.

– *Durak?* – zapytała.

– Aha.

– Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz oszukiwał?

– Nawet się nie zorientujesz.

– Wiesz, że to przynosi pecha, jeśli pozwolisz umierającej dziewczynie wygrać?

– Nigdy bym tego nie zrobił. – Przy tych słowach rzuciłem ostatnią kartę i wreszcie podniosłem wzrok na Polinę, po raz pierwszy tego wieczora.

Nawet w przyćmionym świetle oliwnej lampki dostrzegłem siniaki powoli rozlewające się na jej ramionach, coraz wyżej i wyżej, aż ku twarzy.

– Przestań się na mnie gapić i bierz karty. – Tak właśnie zrobiłem. – Do boju – rzuciła jeszcze Polina.

Wyłożyłem pierwszą kartę, chociaż w myślach wciąż zadreślałem się pytaniem, o czym właściwie moglibyśmy w tej sytuacji rozmawiać (Polina jest coraz bardziej chora, tak chora, że wychodzi ze swojego pokoju już tylko na kilka minut w nocy, tak chora, że nie jest w stanie utrzymać w żołądku paru kęsów kapusty, tak chora, że...).

A potem usłyszałem:

– Twoja kolej, Iwanie.

– Trudno ci rano zwlec się z łóżka? – zapytałem.

– To twój największy as w rękawie? – rzuciła, w moim przekonaniu całkowicie retorycznie, bo zaraz potem cisnęła swoje karty, niszcząc tym stosiki nas obojga. –

Powiem ci, jak to działa: nie rozmawiamy o tym. – Pokiwałem głową w świetle rzucającej mnóstwo cieni oliwnej lampki. – Teraz ja rozdaję – dodała Polina, a potem powoli podniosła się z wózka i zaczęła zbierać karty, rozsypane po podłodze w najdalszych kątach świetlicy.

Ja też czołgałem się po linoleum najlepiej, jak umiałem, żeby zebrać ich jak najwięcej. Potem Polina usiadła z powrotem naprzeciwko mnie i zaczęła rozdawać karty. Oboje milczeliśmy, ale czułem, że jeszcze kipi w niej złość. Dopiero kiedy na dobre zajęliśmy się grą, wreszcie się odezwała:

– Myślałam dzisiaj o tobie. – Na ułamek sekundy ogarnęła mnie euforia, zanim Polina dodała: – Właściwie to nawet rozumiem, dlaczego jesteś taki dziwny. Ja też bym taka była, gdybym siedziała zamknięta w tej norze przez rok, już nie mówiąc o tych wszystkich latach, które ty tu spędziłeś. Ale takiego dziwaka jak ty jeszcze nie spotkałam, a muszę ci powiedzieć, że widziałam niejedno. Głównie wśród prostytutek i bezdomnych w Moskwie.

Powiedziała to wszystko, nawet na moment nie odrywając wzroku od kart.

– Chyba nie mam takiej skali porównawczej – odparłem.

– No cóż, jesteś pokręcony. Naprawdę kompletnie pokręcony. Masz w nosie

jakiegokolwiek zasady. Czyli jesteś pokręconym idiotą.

– Dogryzasz mi, bo umierasz – rzuciłem w odpowiedzi.

– Pieprzę cię, Iwan – burknęła.

– Naprawdę?

– Zapomnij.

– Poza tym dogryzasz mi, bo możesz, a na dodatek nie ma tu nikogo innego, na kim mogłabyś się wyżyć. Właściwie to wydaje mi się to nawet urocze. Więc proszę bardzo, dogryzaj.

– Czujesz się ważny, bo wiesz różne rzeczy?

– Czuję się nawet ważniejszy, bo wiem, że mam rację.

– Bzdura.

– Dobrze wiem, jak to jest.

– O czym ty mówisz?

– Sam też kiedyś traktowałem jak kutas każdego, kto się do mnie uśmiechał. Więc proszę bardzo. Wyrzucić to z siebie.

– W porządku. Jesteś nie tylko społecznym idiotą, ale też odrażającym potworem. A co gorsza, nigdy nikogo sobie nie znajdziesz, bo zawsze będziesz budził tylko i wyłącznie litość.

– Szkoda, że nie został już nikt, kto mógłby się litować nad tobą.

Ledwie wyrzuciłem z siebie te słowa, a już zapragnąłem je cofnąć. Naprawdę złamałem wszelkie zasady. Przecież nie tak to działało. Nie powinienem się odgryzać, tylko przyjmować wszystkie docinki bez słowa skargi, dopóki nie zostanie już nic poza zaufaniem.

Polina bez słowa odłożyła karty, spokojnie, obojętnie, a potem zwyczajnie pchnęła koła wózka i ruszyła w stronę drzwi.

– Przepraszam! – zawołałem za nią.

Ale to już, oczywiście, nie miało najmniejszego znaczenia.

Dzień osiemnasty

Dzień pustki

Osiemnastego dnia zjadłem śniadanie, obejrzałem trzy odcinki *Wilka i zająca* (z których niewiele pamiętam), masturbowałem się dwa razy (a może nawet trzy), ułożyłem moje trzy pary skarpetek, przeczytałem osiemdziesiąt osiem stron *Nędzników*, przez dwie godziny udawałem katatonię, dwie kolejne spałem, przeczytałem siedemnaście stron *Miłości w czasach zarazy* (wyobrażając sobie, że jestem Florentino Arizą), pomogłem siostrze Natalii poskładać pranie (przy okazji wspomniałem o świecach), poćwiczyłem wstrzymywanie oddechu przez trzy minuty i wykonywanie pewnej sztuczki karcianej, o której wyczytałem w książce z 1933 roku, a poza tym próbowałem zgadnąć, jaką diagnozę usłyszałyby w naszych czasach van Gogh.

Ani razu nie widziałem Poliny. Według siostry Natalii dziewczyna była zajęta swoją pierwszą transfuzją krwi i kolejną porcją chemioterapii.

Dzień siedemnasty

Gwiazdy i schody

Siedemnastego dnia obudziłem się w okolicach 6.58, pomacałem wszystkie kończyny, a potem powlokłem się po zimnym linoleum do łazienki, żeby opróżnić pęcherz. Tyle że tym razem po drodze znalazłem cztery kartki papieru, rozrzucone na podłodze przy drzwiach.

Przeczytałem je wszystkie i ułożyłem w najbardziej prawdopodobnej kolejności.

Na pierwszej znajdował się tekst: „Nie śpisz?”, na drugiej: „Wybaczysz mi?”, na trzeciej: „Nadal tu jestem...” i wreszcie: „Klatka schodowa na trzecim piętrze, jutro po zgaszeniu światła”.

Ponieważ dni tutaj praktycznie nie różnią się od siebie, nie ma chyba sensu opisywanie wszystkich szczegółów prowadzących do wyznaczonego momentu. Była pewnie jakaś 22.01, gdy pchnąłem niezbyt przyjazne osobom niepełnosprawnym podwójne stalowe drzwi, prowadzące na podest schodów na trzecim piętrze, tak przy okazji również ostatnim w tym szpitalu. Polina siedziała na najwyższym stopniu i zawzięcie skrobała coś w pamiętniku. Dzisiaj była bez wózka. Za jej plecami znajdowała się czerwona stalowa drabinka prowadząca do czerwonych drzwiczek, przez które wychodziło się na dach. Z otworu zwisało długie białe prześcieradło.

– Rozprawiłam się z wózkiem, więc nawet nie pytaj – rzuciła Polina. Zerwała się z miejsca, a potem wcisnęła pamiętnik do kieszeni na tyłku swoich dresowych spodni.

– Wiedziałaś o tym miejscu? – zapytała.

– Tak.

Nie kłamałem. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że spędziłem dobre pięćset godzin, przesiadując pod tą klapą i zastanawiając się, jakie techniki musiałbym zastosować, żeby wyposażony w zaledwie jedną rękę i zero nóg wspiąć się po tej drabince i wydostać na dach.

– Byłeś tam ostatnio?

– A widziałaś mnie ostatnio? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Owszem. I właśnie dlatego przygotowałam dla ciebie pewien mechanizm.

– Mechanizm?

– Właśnie, mechanizm.

– Widzę tylko prześcieradło.

– Prześcieradło i bloczek – poprawiła mnie Polina. Dopiero teraz zauważyłem, że obok prześcieradła znajduje się też kółko od wózka inwalidzkiego, które Polina postanowiła wykorzystać jako coś w rodzaju bloczka do wciągania (co tłumaczyło również nieobecność jej wiernego wehikułu). – Musisz się tylko trzymać – dodała.

– Ale czym?

– Ręką.

A potem oboje jednocześnie popatrzyliśmy na moje trzy palce.

– To żaden problem – zapewniła Polina i wyciągnęła rolkę bandaża.

– Skąd to masz?

– Z recepcji.

Pomysłowość i entuzjazm godne fanatyka: kryteria diagnostyczne stanów maniakalnych.

Stan maniakalny: kryterium diagnostyczne choroby afektywnej dwubiegunowej.

A potem za plecami Poliny pojawiła się moja matka i powiedziała: „Postaraj się jej nie oceniać. Śmierć potrafi wyzwolić szaleńca nawet w najlepszych ludziach”.

– Chcesz mnie przywiązać do prześcieradła? – postanowiłem się upewnić.

– Przywiążę cię do niego, a ty będziesz się trzymał wszystkimi palcami.

– Nie ma mowy.

– Chodź – powiedziała, a ja posłusznie zsunąłem się z wózka na ziemię i podczołgałem się do zwisającego z kłapy w suficie prześcieradła. – Przyciśnij to do piersi – poleciła Polina, wręczając mi skraj prześcieradła, a kiedy posłusznie wypełniłem jej polecenie, zaczęła okręcać mnie i prześcieradło bandażem, dobre dwadzieścia czy trzydzieści razy.

– Chyba już wystarczy – rzuciłem w końcu.

Okręciła mnie jeszcze dwa razy, tak na wszelki wypadek.

– Trzymaj się – powiedziała, więc zacisnąłem mocniej palce, ale zanim skończyła mówić, poczułem, jak moje kikuty odrywają się od ziemi.

Najpierw przyszło mi do głowy, że ciągnięcie tego prześcieradła przychodzi jej zbyt łatwo. Od razu poczułem się kompletnie pozbawiony męskości, ale szybko dałem sobie spokój z tymi rozmyślaniami, bo zaraz potem przez głowę przemknęło mi, że przecież kilka dni temu Polina zwymiotowała na siebie w mojej obecności i musiała jakoś to znieść. Postanowiłem więc wykorzystać parę technik relaksacyjnych, o których czytałem w książce na temat radzenia sobie ze stresem, a potem odchyliłem głowę i po prostu patrzyłem w nocne niebo, opadające coraz bliżej i bliżej. Po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć nocne niebo, i szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że gwiazdy rzeczywiście mrugają, tak jak śpiewa się w piosenkach.

Myślałem o tym wszystkim, dopóki nie znalazłem się w niewygodnej sytuacji – oko

w oko z otworem w suficie.

– Dam radę utrzymać cię w tej pozycji, Iwanie – powiedziała Polina. – Ale na dach będziesz musiał już wdrapać się sam.

– Ale przecież mam tylko jedną...

– Bla, bla, bla. A ja dostałam tyle chemii, że powaliłoby Rasputina, więc lepiej wylaż na ten dach, zanim cię puszczę.

Na moje oko trwało to ze cztery minuty. Tyle czasu potrzebowałem, żeby swoją jedyną ręką obmacać wyjście na dach i znaleźć odpowiedni punkt podparcia do wdrapania się na górę, podczas gdy spocona, zasapana Polina wciąż ścisnęła prześcieradło, obrzucając mnie z dołu różnymi wyzwiskami. Parę razy chciałem już nawet zrezygnować. Ale w takich momentach pojawiała się przy mnie matka, żeby raczyć mnie opowieściami o ciężarnych kobietach, które były w stanie unieść auto, by ratować uwięzione pod nim dziecko, co zainspirowało mnie do obudzenia w sobie wkurzonej ciężarnej matki, która przecież mieszka w każdym z nas.

Byłem na dachu już dobre trzysta sekund, zanim uświadomiłem sobie, że na nim jestem. Do rzeczywistości przywołał mnie dopiero głos Poliny.

– No i jak tam jest? – Nie odpowiedziałem. Wolałem spojrzeć po raz pierwszy w nocne niebo. No i odkręcić te trzydzieści warstw bandaży, które mnie krępowały. – Iwan, odezwij się.

Usłyszałem, jak wspina się po stalowych szczeblach drabinki.

– Nic mi nie jest.

– To dobrze – mruknęła, a potem jej lśniąca łysa głowa pojawiła się w otworze wyjścia na dach. Ona też przez chwilę podziwiała nocne niebo, zanim dodała: –

Wychowałam się we Lwowie, ale tam jest za dużo świateł, żeby zobaczyć w nocy gwiazdy. Dzięki Bogu w niebiesiech za to zadupie. – Nadal byłem zbyt zachwycony widokiem gwiazd, by cokolwiek powiedzieć. – *Blin!*³⁵. Maleńki Iwan nigdy nie oglądał nieba nocą?

– Oglądałem.

– Ale tylko przez okno.

– Właśnie.

– Nikt nigdy nie zabrał cię na dwór?

– Nie.

– Nawet Natalia?

– Chciała. Nawet sama mi to proponowała. Niejeden raz.

– I?

– I odmówiłem.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem.

– Iwan, przecież wiesz bardzo dobrze! – Miała rację. Oboje wiedzieliśmy, że to

prawda. – Boisz się – dodała.

– Niby czego?

– Wszystkiego.

– To bez sensu bać się czegokolwiek, już nie mówiąc o wszystkim.

– Ale to wcale nie oznacza, że się nie boisz.

Milczałem, bo nie miałem pojęcia, co właściwie miałbym powiedzieć. Dopiero Polina przerwała tę niezręczną ciszę.

– No cóż, przyjmuję z wdzięcznością tę nagrodę za pozbawienie cię dziewictwa.

Odruchowo parsknąłem śmiechem, po chwili Polina mi zawtórowała.

Potem siedzieliśmy w milczeniu dobre dwadzieścia minut, co zresztą okazało się całkiem przyjemne, aż wreszcie Polina znowu się odezwała:

– Moi rodzice bardzo się od siebie różnili. Matka nie wierzyła w nic, czego nie da się zobaczyć na własne oczy, za to ojciec wiecznie chodził z głową w chmurach. Niebo mi go przypomina. Uwielbiał astrologię. Opowiadał, że w dzieciństwie spędził któreś wakacje z rodziną w Tallinie, bo w Czechenii było wtedy niebezpiecznie. Któregoś wieczora poszedł na przechadzkę i spotkał Cygankę handlującą piżmianem i ogórkami. Zawarli wtedy pewien układ. Cyganka zapytała, czy jeśli przepowie trzy rzeczy, które przytrafią mu się w ciągu kolejnych trzech dni, to czwartego dnia do niej wróci, a on się zgodził.

– I co mu przepowiedziała?

– Pierwszego dnia miał spaść deszcz tarantul, ale Cyganka powiedziała ojcu, że nie ma się czego bać, bo choć paskudne, tarantule tak naprawdę nie są jadowite, a pogoda ma własną duszę. Następnego dnia ojciec miał słyszeć brzęczenie przez cały ranek, ale też nie powinien się bać, bo to uleczy jego podświadomość. A trzeciego dnia wszystko będzie się wydawać zupełnie normalne, dopóki ojciec nie znajdzie się w jakiś tajemniczy sposób w zupełnie innym miejscu, zdezorientowany, niemający pojęcia, jakim cudem tam trafił, a jednak nadal nie powinien się niczego lękać, bo to będzie oznaczało, że zwyczajnie wykroczył poza czas i przestrzeń.

– I wszystkie te przepowiednie się sprawdziły?

– Ani jedna.

– Więc po co mi to wszystko opowiadasz?

– Bo jeszcze nie dotarłam do najlepszego.

– Czyli?

– Czwartego dnia ojciec popędził do Cyganki, żeby ją zwymyślać, a kiedy już dotarł na miejsce, ta wybuchnęła na jego widok śmiechem tak gwałtownym, że nie mogła złapać tchu. Pomiędzy kolejnymi atakami wykrzykiwała tylko: „Ach, ci chłopcy z Rosji!”. Nie mogła się uspokoić tak długo, że ojciec w końcu stracił cierpliwość i chciał sobie pójść, ale Cyganka skusiła go bakławą.

– No i?

– I ojciec został. Rozmawiali potem codziennie.

– Nie wierzę w astrologię.

– Ja też nie. Ale wierzę w gwiazdy. Astrologia to pewna idea. A gwiazdy to tylko gwiazdy.

Nie bardzo wiedziałem, co właściwie próbowała mi przez to powiedzieć, ale nie chciałem wyjść na idiotę, prosząc ją o wyjaśnienia, więc tylko skinąłem głową i wróciłem do podziwiania nieba.

– Urodziłam się piątego kwietnia – powiedziała Polina.

– Baran.

– Co wiesz o tym znaku?

– Szczerze?

– Jasne.

– Nic.

– Każdy Baran marzy o tym, by znajdować się w centrum wszechświata. Ktoś taki jak ty powiedziałby, że po prostu urodziłam się jako jedynaczka. I może to nawet prawda. Ale nie tylko dlatego stanowią idealny przykład wszystkich przywar Barana. Jestem hałaśliwa i kocham życie. Czy raczej kochałam, dopóki nie zachorowałam. Teraz to nie jest już takie proste. – Przeniosła wzrok z powrotem na rozgwieżdżone niebo. – A kiedy ty się urodziłeś, Iwanie? – zapytała.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, kiedy się urodziłeś?

– Nie.

Polina milczała przez kilka sekund, ale pamiętam, że jej oczy były spokojne i łagodne, zupełnie jakby bardzo starała się mnie nie zranić, co oznaczało, że może jednak nie była tak do końca Baranem. W końcu po dłuższej chwili rzuciła uczonym, nosowym tonem:

– Iwanie, możesz mi powiedzieć na ten temat coś więcej?

Brzmiała zupełnie jak doktor Bułatnikow, nasz aktualny szpitalny psycholog. Tymi słowami przypadkowo trąciła jakąś zapadkę w mojej głowie, uwalniając całe pokłady śmiechu, dla których nigdy dotąd nie umiałem znaleźć ujścia. Zaczęło się od paru niewinnych czknięć. A potem strużka gęstej śliny popłynęła mi po brodzie i zaczęła skapywać na kolana, co tylko przyprawiło mnie o kolejny wybuch rozbawienia. Wtedy i Polina zaczęła się śmiać, podsycając tylko mój rechot, aż straciłem propriocepcję i zacząłem się wić na zimnym betonie. Po policzkach płynęły mi łzy, a ja, z trudem chwytając oddech, błagałem Polinę, żeby przestała. Gdzieś w głębi ducha zdawałem sobie sprawę, że oto w tym jednym spastycznym, niekontrolowanym ataku drwię z absurdalności własnego położenia, z mojej samotności i ze wszystkich krzywd, jakich doświadczyłem ze strony wszechświata. W końcu Polina chyba się wystraszyła.

– Iwan! – krzyknęła, tuląc moje chude, wygięte ciało. – To nie było aż t a k zabawne.

– Próbowałem jej coś odpowiedzieć, ale byłem zbyt zajęty chwytniem oddechu. – O co chodzi? Co próbujesz mi powiedzieć? – dopytywała. – Do cholery, uspokój się – dodała, a potem wymierzyła mi całą serię policzków. Minę miała przy tym taką, jakby czuła się rozdarta między paniką a próbą powstrzymania śmiechu, który ciągle w niej wzbierał. Mimo wszystko wykazała się wystarczającą przytomnością umysłu, by chronić moją głowę przed uderzeniem o beton i ocierać mi łzy z twarzy.

W końcu zdołałem wydusić:

- Nigdy się tak nie śmiałem.
- Ani razu?
- Ćwiczyłem przed lustrem, ale nigdy na serio.
- Nigdy?
- To musiało się stać.

Popatrzyłem jej w oczy i uświadomiłem sobie, że gdybyśmy występowali w jakimś filmie, to właśnie teraz byśmy się pocałowali. I chyba nie przypadkowo akurat w tym momencie Polina delikatnie ułożyła moją głowę na betonie i odsunęła się parę centymetrów.

– Dobrze, że nie rozwaliłeś sobie głowy – powiedziała. – Jestem zbyt chora i zmęczona, żeby sprzątać po tobie krew.

- Mogę odpowiedzieć na twoje pytanie – rzuciłem.
 - Jakie pytanie?
 - O to, czemu nie wiem, kiedy mam urodziny.
 - Zamieniam się w słuch.
 - Zapisałem to sobie. Mogę ci przeczytać albo sama to zrobisz.
 - Co takiego?
 - Wszystko, od moich narodzin nie wiadomo kiedy aż po teraźniejszość, tę sprzed trzech dni.
 - Spisałeś to dla mnie?
 - Uznałem, że tak będzie fair po tym, jak ukradłem twój pamiętnik. Mógłbym ci dotrzymać towarzystwa, kiedy jutro będą ci podawać kolejną porcję trucizny.
 - To przygnębiająca lektura?
 - Moja opowieść?
 - Aha.
 - Oczywiście.
 - Nie jestem pewna, czy dam radę przebrnąć przez przygnębiającą lekturę, kiedy będą mnie truć.
 - Właściwie to bajka, a ja jestem chłopięcą wersją Kopciuszka.
 - Do bycia Kopciuszkiem potrzebna jest stopa, Iwanie.
- Trafiony zatopiony, Polino.
- To było wredne, a to oznacza, że jesteś mi coś winna.

– Nieprawda.

Nie odezwała się więcej. Nie mieliśmy sobie nawzajem za złe tego milczenia. Po prostu wpatrywaliśmy się bez słowa w Drogę Mleczną, dopóki pełny pęcherz nie zmusił mnie do powrotu do środka.

*

Zegar wskazuje godzinę 2.58.

Piszę od pięćdziesięciu jeden godzin.

Jest piąty grudnia 2005 roku.

Udało mi się zasnąć na kilka minut.

Spałbym dłużej, ale wódka już wyparowała z mojego krwiobiegu.

Potrząsnąłem butelką.

Zostało w niej ledwie parę kropel, może ze trzy.

Wypiłem je łączywie, a potem uznałem, że potrzebuję więcej alkoholu.

Wiedziałem, gdzie Elena trzyma swoje sekretne zapasy.

Ze zrzutni na pranie wyciągnąłem praktycznie całą butelkę.

Brakowało w niej ledwie paru łyków.

[35](#) Dosłownie blin to rodzaj naleśnika, ale przenośnie oznacza tyle co „cholera!”.

Dzień szesnasty

Retrospektywna biografia Iwana Isajenki

Klik pstryk i od nowa.

Wewnętrzny zegar wyrwał mnie ze snu. Pomacałem moje nieistniejące nogi. Sturlałem się z łóżka i poczołgałem do łazienki, nie przejmując się lodowatą podłogą. Wysikałem się i wróciłem do łóżka. Rozłożyłem szorty i T-shirt, a potem powoli się w nie wśliznąłem. Wdrapałem się jak Tarzan na wózek i pojechałem do stołówki. Zająłem swoje zwykłe miejsce. Rzuciłem okiem w stronę pustego krzesła Poliny. Pozwoliłem, żeby śmierdzący sok z kapusty spłynął mi po brodzie. Po trzech kęsach jednak się poddałem, bo właśnie wtedy zjawiała się podchmielona siostra Elena i rzuciła do mnie:

– Ta chora dziewczyna chciała rozmawiać z Natalią, ale Natalii dzisiaj nie ma. Więc dała to mnie.

Rzuciła mi pod nos kartkę, która zanurzyła się do połowy w kapuścianym sosie.

– Ta chora dziewczyna ma imię – burknąłem. Elena nie odpowiedziała, więc dodałem jeszcze: – Polina.

Elena nadal milczała, aż mruknąłem pod nosem „dziwka” i zabrałem się do czytania kartki. „Truczna już płynie. Gdzie jesteś?”.

Wcisnąłem liścik w szorty, a potem czym prędzej pchnąłem koła wózka. Właściwie same zawiozły mnie z powrotem do mojego pokoju. Wyciągnąłem swój retrospektywny pamiętnik spod materaca i wcisnąłem go sobie pod tyłek. Wózek właściwie sam się okręcił i powiózł mnie do Sali Pomarańczowej, w której pacjenci naszego szpitala odbywają chemioterapię.

Tak jak przypuszczałem, Polina była w sali sama, bo wszystkie dzieciaki z białaczką, chłoniakami i guzami mózgu poumieraly w zeszłym roku. Siedziała na krześle i rysowała coś w pamiętniku, a jasne światło poranka oświetlało ją ze wszystkich stron, odbijało się od pomarańczowych ścian, mieszając się z brzoskwiniowym odcieniem jej cery i fioletowymi siniakami, podkreślając ostre łuki coraz bardziej wystających kości. Przypominała postać z obrazów ekspresjonistów, namalowaną przez kogoś odpowiednio szalonego, może Muncha, Marca czy Kirchnera.

Postanowiłem się nie odzywać, tylko podjechać do niej powoli i zaczekać, aż sama mnie zauważy, by jak najdłużej cieszyć się tym niczym niezmaconym widokiem. To nie było trudne, bo cała sala przypominała istny labirynt, wijący się między przedpotopowymi, nikomu już niepotrzebnymi urządzeniami medycznymi, za którymi bez problemu mogłem się ukryć. I kiedy tak toczyłem się niczym przykuty do wózka ninja, uświadomiłem sobie, że Polina, choć łysa i wychudzona, czyniła to pomieszczenie tak znośnym, jak to tylko możliwe. Zamyślony, nieopatrznie trąciłem jakąś pokrytą kurzem maszynę, a wtedy Polina poderwała z przestachem głowę i krzyknęła:

– Podstępna świnią!

Tu akurat musiałem jej przyznać rację.

Pokonałem resztę labiryntu i wreszcie zaparkowałem tuż obok niej. Wyglądała przez wychodzące na wschód okno.

– Dobrze wyglądasz – powiedziałem.

– Tyle że wcale się tak nie czuję.

– A jak się czujesz?

– Jak schwytana w pułapkę mysz na chwilę przed śmiercią.

Uśmiechnęła się, jakby dobrze wiedziała, że odrobinę dramatyzuje, a potem spuściła wzrok na leżący na kikutach moich nóg zeszyt.

– To twój pamiętnik?

– Owszem.

– Więc bierzmy się do rzeczy.

– Myślałem, że to zbyt przygnębiająca lektura.

– Nudzi mi się – rzuciła.

– Nie dziwię się.

– Pokaż ten pamiętnik.

Podąłem jej zeszyt.

– Ty to wszystko napisałeś? – zdziwiła się.

– Owszem.

– W trzy dni?

– W jedną noc. – Polina przez chwilę w milczeniu przewracała kartki, pełne gryzmołów tak koślawych, jakby wyszły spod ręki dzieciaka w ciągłym ataku padaczki.

– Chciałem ci to dać, ale potem zostałeś trzymiesięczniakiem – dodałem.

– To dopiero.

– O co chodzi?

– Nikt jeszcze nie napisał dla mnie książki.

– No jasne.

– Zaczynaj. – Oddała mi pamiętnik, a ja posłusznie otworzyłem go na pierwszej stronie.

Zacząłem czytać – powoli, z namysłem niczym jakiś naukowiec, bo tylko na to pozwalały wątle mięśnie mojej twarzy. Przeczytałem jej o niemowlęciu porzuconym na schodach cerkwi i o tym, że to właśnie dlatego nigdy nie opuszczałem murów szpitala. Przeczytałem o tym, że nigdy nie poznałem rodziców, za to mam matkę przypominającą postać Dzwoneczka, ułudę, która zjawia się w moim życiu zwykle wtedy, gdy myślę o samobójstwie albo mam zamiar popełnić jakąś potężną gafę. I o tym, że każda pielęgniarka, nie wyłączając siostry Natalii, robi się okropnie nerwowa, kiedy zaczynam dopytywać o swoje pochodzenie, bo żadna nie potrafi mi powiedzieć na ten temat nic więcej. Przeczytałem o moim pierwszym wspomnieniu: tym z policzkiem wymierzonym mi wśród wyzwisk przez kobietę z włochatym znamieniem nad górną wargą. Przeczytałem, jak często moje życie staje się oderwanym od rzeczywistości snem, który tak naprawdę snem nie jest. Przeczytałem o moich wszystkich pięćdziesięciu obliczach, które dla kogoś obcego na pewno wyglądają jak jedna i ta sama maska. Przeczytałem o całej baterii moich mechanizmów obronnych, od zaprzeczenia po dysocjację i przemieszczenie (nie wspominając o wyparciu, racjonalizacji i regresji). Przeczytałem o każdym możliwym pomysle na zrobienie sobie krzywdy, jaki chodzi mi po głowie. O rozmaitych sposobach ucieczki, jakie obmyśliłem, i o tym, że nie miałem dość odwagi, by wprowadzić w życie którykolwiek z nich. Przeczytałem jej o sekretnych wcieleniach tego Iwana, którym bym był w innych okolicznościach. O zasadach iwanizmu. I o tym, jak bardzo byłem wściekły na Niego, że wcisnął tyle życia w równie małe, połamane pudełko. Przeczytałem o tym, że tkwię uwięziony w tym miejscu z ludźmi, którzy są dokładnie tacy sami jak ja pod każdym możliwym względem, poza tym, że nigdy nie rozumieją żadnej z myśli, które kłębią się w mojej głowie. Przeczytałem, że nie wierzę w karmę. I o czternastu bezużytecznych psychiatrach i psychologach, którzy przewinęli się przez moje życie. A potem jeszcze o tym, że nic nie ma sensu, a jednak ten mały mózg tkwiący w głowie każdego z nas domaga się, by wszystko miało jakiś sens, choć przecież nic nie ma sensu. Przeczytałem jej o tym, jak się pojawiła w szpitalu i jak wszystko nabrało odrobinę sensu, a zaraz potem na powrót go straciło, bo ona stała się trzymiesięczniakiem. Czasami trzymałem się tekstu, czasem przerywałem, żeby wyjaśnić jakiś fragment i wzmocnić tę nić porozumienia, jaka pojawiła się między nami. Chwilami musiałem przerywać, żeby przełknąć ślinę, bo coś ścisnęło mnie w gardle, o co obwinałem jakiś rzadki rodzaj astmy. Ale nawet przez jedną sekundę tej spowiedzi nie miałem odwagi spojrzeć Polinie w twarz z obawy, że mógłbym narobić w majtki. Dopiero po przeczytaniu ostatniego zdania odważyłem się podnieść wzrok, co wydarzyło się, jeśli wierzyć zegarowi w Pomarańczowej Sali, dokładnie osiemdziesiąt siedem minut po tym, jak otworzyłem zeszyt na pierwszej stronie.

A kiedy już spojrzałem na Polinę, okazało się, że jej policzki są całe czerwone, mokre i lekko napuchnięte, pomimo jej wychudzenia.

– Sama bym cię zabiła, gdyby w ogóle przyszło ci do głowy... – powiedziała powoli, niemal szeptem, bo w gardle chyba dławiło ją współczucie, czego ewidentnie się nie spodziewała.

– Nigdy.

– Ale przecież powiedziałaś...

– Nie mam jaj, żeby to zrobić.

Była na tyle blisko, że mogła dotknąć mojej ręki. I zrobiła to. Zaczęła zataczać palcami niewielkie kółka na mojej skórze. Trwało to jakieś siedem minut. Potem wreszcie powiedziała:

– Z tego, co mi wiadomo, masz całkiem duże jaja.

– Skąd – mruknąłem.

– Słyszałam, co pielęgniarki mówiły o twojej pościeli.

– Kłamiesz – obruszyłem się.

– A skąd bym wiedziała, że muszą ci ją zmieniać dwa razy częściej niż innym pacjentom?

Właśnie w momencie, kiedy ta wymiana zdań zaczynała się zmieniać w coś na kształt beztraskich przekomarzanek, Polina zmieniła się na twarzy. Znieruchomiała, zupełnie jakby któryś z jej wewnętrznych organów eksplodował albo jakby właśnie doznała objawienia, że oto za chwilę rozpoczyna się sąd ostateczny, a tymczasem ona nie była tak całkiem w porządku wobec Najwyższego.

– Idź już – wydusiła.

– Ale...

– Ale naprawdę już sobie idź.

Zostawiłem ją samą.

Tamtego dnia nie widziałem jej już więcej.

Dzień piętnasty

Magiczny autobus szkolny Poliny

(Trzy dni do wyników badań laboratoryjnych)

Komórki macierzyste żyją wewnątrz kości. Mogą się przekształcać w komórki mieloidalne albo limfoidalne. W pierwszym przypadku z takiej komórki ostatecznie powstaje mieloblast. Mieloblasty są z kolei zaczątkiem erytrocytów, dostarczających krew do mózgu, lub płytek krwi, które dbają o to, żebyśmy nie wykrwawili się na śmierć, kiedy zatniemy się kartką papieru. Limfoidalne komórki macierzyste przekształcają się w leukocyty, które zwalczają infekcje (i wszystko to, co nie powinno znaleźć się w krwi). Kiedy stare białe krwinki umierają, z komórek macierzystych powstają nowe limfoidalne komórki macierzyste, a z nich nowe leukocyty. Wyczytałem o tym wszystkim w podręczniku *The Basic Science of Oncology* autorstwa Iana Tannocka i Richarda Hilla, opublikowanym w 1987 roku przez McGraw-Hill Companies.

Siostra Natalia przyniosła mi go piętnastego dnia na moją prośbę. Nie prosiłem o tę konkretną książkę, ale o podręcznik na ten temat. Znalazła go w osobistej biblioteczce Michała. Jej zdaniem dyrektor nawet nie zauważył jego zniknięcia, bo przez dwadzieścia trzy lata swojej pracy w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu ani razu nie widziała, by sięgnął po jakąś książkę.

Poprosiłem ją o to, kiedy zaraz po śniadaniu pojechałem do Pomarańczowej Sali i zastałem Polinę zdętą atakiem kaszlu połączonego z wymiotami, podczas gdy siostra Natalia sprzątała efekty jej poczynań, na które składała się godna obrazu Pollocka mieszanka śluzu i krwi. W którymś momencie siostra Natalia popełniła ten błąd, że odwróciła się w moją stronę, bo wtedy i Polina na mnie popatrzyła, a potem rzuciła:

– Iwan, nie teraz. Idź sobie.

Ciało Poliny też wytwarza białe ciała krwi. Ale jej leukocyty są nieśmiertelne i bardzo żarłoczne. Namnażają się nadmiernie we krwi i oblepiają dobre krwinki, które powoli umierają. Polina potrzebuje więc nowych komórek macierzystych, takich, które nie wytwarzają wadliwych białych krwinek. Wtedy wyzdrowieje.

Ale jak wszystko we wszechświecie, nie jest to takie proste. Po pierwsze, Polina musi brać chemię, która wytruje wszystkie białe krwinki w jej organizmie, bo trucizna nie jest w stanie odróżnić dobrych krwinek od złych. A to czyni ją łakomym kąskiem dla wszelkich możliwych infekcji.

Po drugie, nowe białe krwinki Poliny mogą pochodzić wyłącznie od innego człowieka, a każdy człowiek ma antygeny. To one informują białe krwinki, które komórki należą do danego organizmu, a które nie. Innymi słowy, mówią leukocytom, które komórki są dobre, a które złe. Jeśli chory na białaczkę dostanie szpik kostny, który nie pasuje do dotychczasowego, stare białe krwinki uznają, że te nowe są intruzami. W ciągu paru dni białe krwinki się pozabijają, a Polina znowu zamieni się w łatwy łup dla bakterii i wirusów. Dlatego właśnie potrzebuje komórek macierzystych zgodnych z jej antygenami. Niełatwo takie znaleźć. Niełatwo, bo mieszkamy w poczarnobyłowym miasteczku na Białorusi, światowym centrum wszelkich chorób krwi, w którym przeszczepy szpiku kostnego są powszechniejsze niż wizyty u dentysty.

Piętnastego dnia zaczęliśmy siostrę Natalię, która akurat odkażała parapet.

– Jak długa jest teraz ta lista? – zapytałem.

Natalia przerwała usuwanie zarazków z trudno dostępnego miejsca pod krawędzią parapetu i odłożyła ścierkę. To oznaczało, że za chwilę usłyszę coś, czego bardzo nie chciałem usłyszeć.

– Trzydzieści trzy miesiące.

– Ale Polina ma trzy miesiące, i to tylko jeśli okaże się prawdziwą szczęściarą – wytknąłem.

– Ci na samym początku listy mają trzy dni. Albo są dziećmi ministrów – odparła Natalia.

Według Tannocka i Hilla połowę antygenów dziedziczy się po matce, a połowę po ojcu. W rezultacie ma się dwudziestopięcioprocentową szansę na to, że ktoś z rodzeństwa będzie miał szpik zgodny z naszym. Polina była jedynaczką. To oznaczało, że trzeba dla niej szukać dawcy w całej populacji Białorusinów – wcale nie tak licznej, a na dodatek pełnej rozmaitej maści odmieńców, z których większość sama potrzebowała sporządzenia kolorowych obrazów genetycznych odcisków palców. Znalezienie niespokrewnionego dawcy zmniejsza szansę do trzech procent.

– Czego potrzeba, żebyśmy mogli się przebadać? – zapytałem.

– Nie, Iwanie.

– Dlaczego nie?

– To nie jest dobry pomysł.

– Ale tak hipotetycznie.

– Musiałabym ci pobrać krew. I trochę komórek z policzka.

– Łatwizna. Przebadajcie mnie.

– Przecież nie lubisz hazardu.

- Dzisiaj jestem gotów zaryzykować.
- Do tego byłby potrzebny prawdziwy cud.
- Może się czymś ode mnie zarazić?
- To znaczy?
- No, też byłaby taka pokręcona?
- Nie sędzę.
- Więc mnie przebadajcie.

Siostra Natalia popatrzyła na mnie uważnie, ciężko westchnęła, a potem szybko rozważyła wszystkie za i przeciw i najwyraźniej uznała, że w tym momencie żadne argumenty nie zdołają mnie zniechęcić. Zrezygnowana, zabrała mnie do jednego z magazynków na pierwszym piętrze, a tam wyciągnęła igłę i bez trudu wkłuła mi się w żyłę. Właściwie to nie musiała nawet patrzeć, moja skóra przypomina z lekka tylko zaróżowioną folię. Potem włożyła zakończony wacikiem patyczek do moich ust i mocno potarła nim o wnętrze policzka. Wreszcie spakowała to wszystko do foliowej torebki, którą następnie włożyła do brązowej koperty.

- Na wyniki trzeba poczekać trzy dni – wyjaśniła. – Albo trzy tygodnie. To zależy.
 - Od czego?
 - Nie wiadomo.
 - Polina nie może tyle czekać.
 - Nie jestem w stanie zmienić praw fizyki ani skrócić czasu oczekiwania na wyniki laboratoryjne, Iwanie. – Przyklęknęła przy moim wózku, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz. – Wiem, co teraz czujesz.
 - Niby skąd?
 - Jesteś tak racjonalnie irracjonalny.
 - Co to znaczy?
 - To znaczy, że robisz sobie nadzieję, choć nie ma już nadziei.
- Wolałem zignorować tę uwagę.
- Jak ona się czuła, kiedy wychodziłaś?
 - Bardzo kaszłała. Poza tym ma czterdzieści stopni gorączki.
 - Zapalenie płuc?
 - Najprawdopodobniej.
- Objaw siódmy na mojej liście diagnostycznej dla każdego trzymiesięczniaka z białaczką. Jej białe krwinki są zbyt zmęczone, by zwalczyć najdrobniejszy pryszcz, a co tu mówić o wirusie grypy typu A.
- Nie była zaszczepiona?
 - Mamy listopad, Iwanie. Nie ma już żadnych szczepień.
- Miała rację. Szczepionki zwykle kończyły się w pierwszym tygodniu października – na długo przed nadejściem zimy.
- Nic jej nie mów – poprosiłem.

- O czym? – zdziwiła się Natalia.
- O moich badaniach.
- Nie chcesz, żeby wiedziała?
- Nie.
- Dlaczego?
- Mam swoje powody.

Nie musiałem nic mówić, wyczytała wszystko z mojej twarzy, a potem uśmiechnęła się lekko, mocno mnie ucisnęła i odwiozła z powrotem do świetlicy na ostatnią tego dnia godzinę telewizyjną. Nie bardzo mi się podobało, że prowadzi mój wózek, bo czułem się taki bezradny, ale ona czuła się dzięki temu potrzebna, więc niech jej będzie. Kiedy zostawiła mnie przed telewizorem i zniknęła, pojechałem napić się wody tylko po to, żeby przy okazji móc zajrzeć do Pomarańczowej Sali. Polina spała w wózku, a kołysząca się nad jej głową kroplówka była już prawie pusta. Z kącika ust Poliny ciekła strużka śliny i spływała aż na obojczyk. Przypominała jakąś grecką czy rzymską rzeźbę. Zapomniałem o pragnieniu i wróciłem do świetlicy, żeby obejrzeć do końca odcinek *Wilka i zająca*, chociaż znowu nic z niego nie zapamiętałem.

Dzień czternasty

Dzień Janis Joplin

(Dwa dni do wyników badań laboratoryjnych)

Następnego ranka większość pacjentów szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu, nie wyłączając mnie, zbudził kaszel Poliny, wypluwającej płuca w swojej sypialni.

Ubrałem się wcześniej niż zwykle. Podkradłem trochę dekstrometorfanu z szafki z lekami, a ze stołówki parę saszetek z miodem, po czym pojechałem pod pokój Poliny i wsunąłem moje łupy pod drzwi. Kaszel na chwilę ucichł, cienie padające pod drzwiami zatańczyły lekko.

– Najpierw połknij lekarstwo, a potem miód – szepnąłem.

– Dzięki – odpowiedziała również szepem. – Przyniesiesz mi wody?

– Nie dam rady podać ci jej przez szparę pod drzwiami. Ślina musi ci wystarczyć.

– Zaschło mi w ustach.

Usłyszałem, jak przełyka lek, potem trochę kaszle i wreszcie zaczyna się mocować z opakowaniem miodu.

– Nawet nie spytałaś, co to – szepnąłem.

– To bez znaczenia – odparła równie cicho. – Nic nie może mi już zaszkodzić.

– Dobra, to spadam – rzuciłem.

– Zaczekaj, nie idź jeszcze.

– Dobrze.

– Porozmawiajmy dzisiaj.

– Jasne.

– Ale nie teraz. Później. Bo nie czuję się za dobrze.

– Jestem zaszczepiony, więc nie ma sprawy.

– Dobrze, teraz możesz sobie iść – rzuciła, ale zanim zdążyłem odjechać, zawołała jeszcze: – Iwan, zaczekaj!

– O co chodzi?

– Mogę cię prosić o przysługę?

– Jasne.

– W szafce w recepcji, w drugiej szufladzie od góry, leży płyta. Mógłbyś mi ją przynieść i wsunąć pod drzwi?

– Przecież i tak nie masz gramofonu.

– Mam.

– Naprawdę?

– Tak.

– Od Natalii?

– Aha.

– W porządku.

– Iwan, zaczekaj.

– Tak?

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Pojechałem do recepcji i wcisnąłem się za biurko, za które nie powinienem się zapuszczać od czasu wiekopomnego Incydentu, a potem otworzyłem drugą szufladę od góry i spomiędzy papierzysek, kart choroby i tajemniczych sprawozdań finansowych wygrzebałem starą dziesięciocalową płytę. Położyłem ją sobie na kikutach i wróciłem pod pokój Poliny, żeby wsunąć zdobycz przez szparę pod drzwiami.

Usłyszałem szept:

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Pytanie było retoryczne, więc rzuciłem tylko:

– Sama byś ją sobie wzięła.

Polina zaśmiała się gorzko, zabrzmiało to niemal jak beknięcie.

Kiedy wracając do swojego pokoju, podziwiałem wyjątkowe światło porannego słońca wciskające się przez kraty w oknach świetlicy, uświadomiłem sobie, że jest siódmy listopada. Drugi tydzień listopada, a więc siostra Natalia nie ma już nocnych dyżurów. Teraz będzie to siostra Ludmiła, jedyna pielęgniarka, która budziła we mnie prawdziwy strach, a to oznacza, że jeśli przyłapią mnie i Polinę razem podczas ciszy nocnej, grozi nam kwarantanna albo coś jeszcze gorszego, chociaż to trochę śmieszne obawy w przypadku umierającej dziewczyny i niewiele bardziej żywego chłopaka. Tak czy inaczej należało mieć to na uwadze.

Po śniadaniu odszukałem siostrę Natalię, która akurat sterylizowała wielorazowe strzykawkę, i zwierzyłem się jej ze swoich wątpliwości.

– Co mogę zrobić? – zapytałem na zakończenie.

– Nic.

– Nic?

– Nic.

– Nie możesz jej powiedzieć, że nam pozwoliłaś?

– Chyba nie chcesz, żebym stąd wyleciała z hukiem? – Kolejne retoryczne pytanie,

więc nawet nie siliłem się na odpowiedź. – No więc nie mogę tego zrobić – dodała Natalia. – Oboje wiemy, że Michaił jest do przesady skrupulatny, jeśli chodzi o przestrzeganie zasad. Złamałam je tylko dlatego, że mogłam. Jeśli Ludmiła zechce, trafię do innego szpitala. O tym też oboje dobrze wiemy.

– Ale przecież pracujesz tu dziesięć lat dłużej od niej.

– Ale to ona pieprzy się z Michaiłem. – Siostra Natalia po raz pierwszy przyznała to głośno. Na dodatek właściwie nigdy nie używała równie dosadnego języka. – Po prostu nie dajcie się złapać – rzuciła jeszcze, kończąc rozmowę.

Postanowiłem, że wybiorę się do pokoju Poliny o 23.30, kiedy rodzina Michaiła zwykle smacznie śpi we własnych łózkach, a on sam ma wreszcie okazję wymknąć się z domu, żeby wrócić do szpitala i zabawić się w swoim gabinecie z Ludmiłą. Podróż wózkiem inwalidzkim do pokoju Poliny zwykle zajmuje mi dziewięćdziesiąt sekund. Tej nocy trwało to jednak sześć minut i osiem sekund, bo skradałem się jak najprawdziwszy ninja, byle tylko nikt mnie nie zauważył. Bywało, że podekscytowany, odrobinę przyspieszałem, ale wtedy koła wózka zaczynały popiskiwać na linoleum. Wówczas natychmiast pojawiała się matka z połajankami: „Ludmiła tak jęczy, że pewnie cię nie słyszą, ale lepiej bądź ostrożny, Iwanie”. Na to kiwałem tylko głową i zwalniałem, żeby poruszać się równie bezszelestnie aż do samego pokoju Poliny.

Już miałem zapukać, ale drzwi uchyliły się, zanim zdążyłem to zrobić. W progu stała Polina. Znowu nie założyła peruki.

– Wejdz. Spóźniłeś się. Prawie zasnęłam.

– To dlatego, że dzisiaj dyżuruje Ludmiła.

– No i?

– Ona mnie nienawidzi. Ciebie pewnie też. Nienawidzi wszystkich poza Michaiłem, z którym się pieprzy. Pewnie nawet w tej chwili.

– Wiesz o tym?

– Od dawna. A ty skąd wiesz?

– Nawet nie próbują się z tym ukrywać.

– To prawda.

– Włączę muzykę.

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że na jej łóżku leżą rozmaite płyty. Kiedy zaczęła je przeglądać, natychmiast ją uprzedziłem:

– Nie powinniśmy hałasować, jeśli nie chcemy trafić na kwarantannę.

– Puszczę ją cichutko – obiecała Polina. – A jak sam zauważyłeś, Ludmiła właśnie pieprzy się z Michaiłem.

W tym momencie pojawiła się matka: „Każda randka zasługuje na odpowiednią oprawę, ale naprawdę powinieneś być głosem rozsądku w tej sytuacji”.

– Bardzo cichutko – zastrzegłem.

Po raz pierwszy w życiu nie posłuchałem matki.

Polina wybrała jedną z płyt, umieściła ją ostrożnie na gramofonie i przyłożyła igłę. Ktoś zaczął śpiewać, ale nie umiałem powiedzieć, czy to facet, czy dziewczyna.

– To Floyd Pink? – zapytałem, bo tylko ta nazwa przyszła mi do głowy.

Polina zwinęła się w kłębek, a potem stoczyła się z łóżka. Mógł to być równie dobrze atak padaczki, jak śmiechu. Rozwiąła moje wątpliwości, dopiero kiedy się odezwała:

– Iwan, co jest z tobą nie tak?

– Czemu pytasz?

– Z tysiąca powodów.

– Na przykład?

– No cóż, po pierwsze, zespół nazywa się Pink Floyd – rzuciła protekcjonalnym tonem, akcentując słowa. – Po drugie, to Janis Joplin, która nie mogłaby już bardziej się różnić od Pink Floyd. Po trzecie, czuję się przy tobie tak, jakbyś był małym chłopcem wychowanym przez wilki, któremu tylko ja mogę zapewnić odpowiednią edukację muzyczną na poziomie podstawowym. – Najwyraźniej spodziewała się z mojej strony uśmiechu, a kiedy się go nie doczekała, chyba wreszcie zrozumiała, że naprawdę wychowałem się wśród wilków, co zapewne było traumatycznym doświadczeniem. – Janis Joplin umarła, bo zadławiła się własnymi wymiocinami – powiedziała, pewnie tylko po to, żeby zmienić temat.

– Natalia przyniosła ci wszystkie te płyty?

– Tak. Kocham je, tak jak ty kochasz książki.

– Ale tej z biurka panny Kristiny nie przyniosła ci Natalia, prawda?

– Nie, ty mi ją przyniosłeś.

– Skąd wiedziałaś, że ona tam jest?

– Tego chyba możesz się domyślić.

– Bo prawdziwy z ciebie *tat*³⁶?

– Wolę określenie *wor w zakonie*³⁷.

– Myślałem, że już z tym skończyłaś.

– Bo tak było, po tym jak nakryłam matkę na biczowaniu się przed figurą świętego Franciszka. Myślała, że to jej wina.

– A jak było?

– Freud zasugerowałby raczej ojca. Ale chyba powinieneś być obeznany w temacie, skoro drobne kradzieże nie są ci obce.

– Więc skąd ten powrót na drogę przestępstwa?

– Nawet nie wiem, czy można to tak określić. Po mojej śmierci przecież przyjdą posprzątać ten pokój i znajdą moje łupy, więc wszyscy odzyskają swoją własność. – Na chwilę się zamyśliła, żeby zaraz dodać: – Poza tym to świetna zabawa.

Freud nazwałby to racjonalizacją, chociaż musiałem przyznać, że było nawet przekonujące.

– A co udało ci się do tej pory zdobyć? – zainteresowałem się.

– Tylko tę płytę, którą technicznie rzecz ujmując, to ty ukradłeś. No i jeszcze to. Zwędziłam z górnej szuflady biurka Michaiła.

Rzuciła mi prezerwatywę, którą natychmiast cisnąłem w kąt pokoju.

– Nie zapominajmy o *Martwych duszach*.

– Mogę ci je oddać.

Wyciągnęła spod materaca mój egzemplarz *Martwych dusz* i cisnęła go w moją stronę.

– Merci – powiedziałem.

– Mój nałóg ma swoje dobre strony.

– To znaczy?

– Wiem, co znajduje się w każdej szufladzie czy szafce, w każdym schowku i zakamarku tego szpitala.

– Jakiś przykład?

– W schowku na mopy stoi schowany niewielki krzak marihuany. Wydaje mi się, że siostra Elena ma zadatki na prawdziwego botanika. W biurku Michaiła, w trzeciej szufladzie od góry, po lewej stronie, znajduje się interesująca kolekcja przepasek na oczy i klamerek na sutki. Poza tym pod trzema różnymi dywanikami leżą co najmniej trzy klucze, chociaż nie mam pojęcia, co otwierają, jeśli w ogóle cokolwiek. Ale gdy tylko poczuję się lepiej, zamierzam je wypróbować na każdym możliwym zamku, jaki uda mi tu się znaleźć.

– Zapowiada się świetna zabawa.

– Poza tym wewnątrz zsypu na brudną bieliznę znajduje się przymocowana taśmą butelka wódki. Dwie kolejne stoją za puszkami z kapustą w spiżarni. Za tanią reprodukcją van Gogha w świetlicy znajduje się z sześć niezdrapanych losów, a pod skrzynią z zabawkami oprawione zdjęcie pewnej rodziny z rudymi bliźniaczkami w wieku niemowlęctwa.

– To one mają jakąś rodzinę?

– M i a ł y. Mówić dalej?

– Oczywiście.

– U Alexa w dolnej szufladzie leży jakieś pięćdziesiąt czekoladowych batoników. Pewnie włożyła je tam Natalia, bo chłopak uwielbia batoniki, tak jak ty uwielbiasz książki, a ja płyty. Pod poduszką Dennisa leży plik starych fotografii jego jako niemowlęcia i jego mamy. Pewnie włożyła je tam Natalia, bo Dennis kocha swoją mamę, tak jak Alex kocha czekoladę, a ty książki. W twojej górnej szufladzie tkwi jakieś dwadzieścia piłek baseballowych z autografami. Ale jeszcze nie rozgryżłam, skąd je masz.

– Kiedy byłeś w moim pokoju?

– Leżałeś wtedy w łóżku.

– Spałem?

- A jakże.
- Przecież mogłem się obudzić.
- Ale się nie obudziłeś.

Poczułem mrowienie w okolicach krocza na samą myśl, że Polina była w moim pokoju, kiedy spałem, chociaż powinienem się przecież zdenerwować na takie naruszenie mojej prywatności.

– Muzyka gra za głośno – zauważyłem. W odpowiedzi Polina podkreśliła dźwięk o jeden czy dwa tony. – Wszystko zepsujesz.

*Take it, take another little piece of...*³⁸.

– Enja, dziewczynka z dziurawym sercem, trzyma w dolnej szufladzie list od matki, która zapewnia ją, że po powrocie do domu zostanie małą miss Mozyrza. Wład ma samochodzik ozdobionymi jakimiś inicjałami. Natalia cały czas nosi w kieszeni spinkę do mankietu swojego zmarłego męża. Wiem, bo jestem też niezłym kieszonkowcem. Ale oddałam jej tę spinkę.

– Jeśli natychmiast nie ściszysz tej Janis Joplin, bardzo możliwe, że umrzesz w samotności.

– Przesadzasz. – Na bladej twarzy Poliny tańczyły cienie rzucane przez moje ramię. Miałem wrażenie, że kości w jej policzkach, skroniach, zuchwie wręcz przebijają skórę. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że musiała chyba przekroczyć próg trzydziestu kilogramów, co stanowiło kryterium diagnostyczne nr 117 dla trzymiesięczniaka z białaczką. – Porozmawiajmy jeszcze o Michaille – zaproponowała.

– Pod warunkiem, że ściszysz muzykę.

– Lista jego biuściastych kochanek jest naprawdę długa, jeśli jeszcze tego nie wiesz.

Urwała, pewnie czekając na moją reakcję, a ja chwyciłem przynętę z czystej ciekawości, przy okazji tocząc powoli wózek w stronę gramofonu.

– Jak długa?

– Ma całą kolekcję fotografii w sepii – odparła Polina.

– Sepii?

– Takich pomarańczowawych zdjęć z lat siedemdziesiątych.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Byłem już wystarczająco blisko gramofonu, by go ściszyć, ale wtedy Polina podskoczyła w moją stronę i pacnęła mnie w rękę. Poczułem się tak, jakby właśnie mnie wykastrowała.

– Rozluźnij trochę tę swoją buźkę, Iwan – rzuciła. – Nie mamy czego się bać. Ludmiła na pewno właśnie ujeżdża Michaiła na jego kanapie ze sztucznej skóry. A może na biurku? Wydaje mi się to dosyć obrzydliwe, bo przecież dotykałam wszystkich jego szuflad.

– Może nie trzeba było tego robić.

– Jak myślisz, jakie sprośności szepcze mu teraz do ucha?

Byłem skrepowany takim językiem, ale mimo wszystko odpowiedziałem:

– Nie wiem.

– Misza, Misza, Miki, Miki. Mmmmmm. Myślisz, że zdarza mu się przypadkiem nazwać ją imieniem żony? Albo, co gorsza, pomylić ją z jakąś inną pielęgniarką z jego mrocznej przeszłości? – Milczałem, czując coraz większe obrzydzenie. Zresztą to było pytanie retoryczne, a Polina zwyczajnie szukała sobie rozrywki przed śmiercią. To nie miało nic wspólnego ze mną. – Cudowny ten kawałek, prawda? – rzuciła. – Znasz inną piosenkarkę, która śpiewa tak, jakby płakała?

– Świetna – przyznałem.

– Pięćdziesiąt trzy zdjęcia czternastu pielęgniarek. Tyle znalazłam. Nie umiałabym być aż tak rozwiązła. Nawet teraz, kiedy nie mam już nic do stracenia.

Dokładnie w momencie, kiedy Polina wymówiła słowo „rozwiązła”, wydarzyły się dwie rzeczy (nie bardzo wiem, co nastąpiło najpierw). Po pierwsze, uświadomiłem sobie, że podświadomie ściskam kikuty ud od dwudziestu trzech minut, czyli od momentu, kiedy opuściłem swój pokój. Po drugie, klamka brzęknęła, drzwi otworzyły się na oścież, a w progu stanęła postać w białym uniformie, czyli dokładnie ta osoba, która w tym momencie powinna pieprzyć naszego pana dyrektora.

Minęło kilka sekund nieznośnej ciszy. W głowie siostry Ludmiły zapewne trzy myśli biły się o pierwszeństwo. Ta najbardziej oczywista brzmiała mniej więcej tak: „Iwan, natychmiast wracaj do swojego pokoju. Tam zaczekasz do rana, kiedy to skutki ostatniego orgazmu dyrektora przeminą, a ty otrzymasz swoją karę”. Druga, odrobinę mniej oczywista, brzmiałaby następująco: „Iwan, co taki pokręcony mutant jak ty robi nocą w pokoju seksownej umierającej dziewczyny?”. No i trzecia, skierowana już do Poliny: „Aż tak zdesperowana, skarbie?”. Dobra, muszę przyznać, że myśli numer dwa i trzy to mój wymysł.

To Polina, wzmocniona ostatnim atakiem szaleństwa, odezwała się pierwsza:

– Siostro Ludmiło, lewą pończochę ma siostra włożoną na lewą stronę.

Ludmiła najwyraźniej nie była w stanie znaleźć wystarczająco wrednej odpowiedzi, bo bez słowa chwyciła rączki mojego wózka i wyciągnęła mnie na korytarz po całej serii kolizji z meblami i futryną.

Musisz wiedzieć, drogi czytelniku, że walczyłem z rycerskością godną każdego szanującego się mutantą.

Wściekła Ludmiła prawie biegła korytarzem do mojego pokoju, a ja starałem się zahamować, chwytając lewą ręką kółko wózka. Możliwe, że wykrzykiwałem też rozmaite wredne uwagi w rodzaju: „Przestań rozsiewać swoje zdirowate zarazki po moim wózku!” czy „Wiesz, że trafisz prosto do piekła dla dziwek, prawda?”. Ludmiła się nie odzywała (choć jej wykrzywiona nienawiścią twarz mówiła wszystko), tylko pchała wózek coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie część skóry z mojej dłoni została na kole i nie byłem w stanie dłużej stawiać oporu. Mniej więcej w tym momencie

przed nami pojawiła się chuda sylwetka Poliny, która ulokowała się w progu wejścia do męskiego skrzydła. Jej łysa, pozbawiona peruki głowa połyskiwała lekko w słabym świetle żarówek rozjaśniających półmrok korytarza. Wyglądała jak odrobinę przerażający, a jednak piękny potwór.

– Odsuń się – warknęła Ludmiła.

– Za miesiąc będę leżeć pod ziemią – odparła Polina. – Naprawdę zamierzasz mnie skrzywdzić tylko po to, żeby zrobić na złość kalece?

Ludmiła puściła rączki wózka i podeszła do Poliny. A potem wymierzyła jej policzek. Szczupłe, kanciaste ciało Poliny osunęło się na ziemię niczym kupka obciążonych skórą kości. Ludmiła odciągnęła ją z drogi, co wykorzystałem do tego, żeby kołami wózka uderzyć ją kilka razy w golenie. Wykrzykiwałem przy tym rozmaite przekleństwa, które od tamtej pory zdążyłem już wyprzeć z pamięci. Jednak Ludmiła bez trudu odzyskała kontrolę nad sytuacją i pchnęła wózek w głąb chłopięcego skrzydła, podczas gdy ja ogłądałem się na nieprzytomną Polinę, na której twarzy rozlewał się ciemny siniec.

Kiedy znaleźliśmy się przed moim pokojem, Ludmiła pchnęła wózek po raz ostatni. Krwawiącą dłonią próbowałem przyhamować odrobinę impet wózka. Ten rzeczywiście się zatrzymał, ale moje ciało już nie – wylądowałem na pokrytej linoleum podłodze. Zanim zdążyłem podczołgać się z powrotem do drzwi, Ludmiła zatrzasnęła je i przekręciła klucz w zamku (pielęgniarki praktycznie nigdy nie korzystają z tego przywileju). Usłyszałem stukot jej obcasów, kiedy oddalała się korytarzem.

– *Szto za galima? Pizda. Eto pizdiec!*³⁹ – zawołałem za nią.

Kroki ucichły, a ja postanowiłem sobie popłakać. Szlochałem, dopóki moje odrętwiałe ciało nie pozbyło się wszystkich emocji. Wtedy otarłem opuchnięte policzki, pozostawiając na skórze cieniutką warstewkę krwi – zdążyłem już zapomnieć, że zdarłem sobie skórę z dłoni. Potem szarpnąłem parę razy za klamkę, żeby sprawdzić, czy w jakiś magiczny sposób nic się nie zmieniło, ale nadal siedziałem zamknięty w swoim pokoju. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ta próba to ostatni wybuch energii, jaka we mnie została. Pomyślałem, że pewnie właśnie dlatego ludzie płaczą – kiedy jest po wszystkim, czujesz się tak cudownie i błogo. Oczy same mi się zamknęły, kościste plecy zsunęły się powoli po powierzchni drzwi, a potem, tak po prostu, zasnąłem na zimnej podłodze.

³⁶ Z rosyjskiego potocznie „pospolity złodziej”.

³⁷ Znacznie bardziej prestiżowa pozycja w rosyjskiej hierarchii kryminalnej, ktoś w rodzaju szefa gangu.

³⁸ W oryginale Iwan próbował zapisać angielski tekst fonetycznie, co czyniło go praktycznie niemożliwym do odcyfrowania, dlatego zdecydowaliśmy się zacytować tu fragment piosenki, uznawszy, że będzie to zgodne

z intencjami autora.

[39](#) „Co, do kurwy nędzy? Pizda. Wszystko jest popierdalone”.

Dzień trzynasty

Dzień, w którym uciałem sobie pogawędkę z dyrektorem

(Jeden dzień do wyników badań laboratoryjnych)

Obudził mnie jakiś szmer, zbyt krótki i urywany, by mógł to być szept. Instynktownie szepnąłem:

– Polina?

Żadnej odpowiedzi.

Rozejrzałem się i zrozumiałem, że zaszurały dwa wsunięte pod drzwiami polaroidowe zdjęcia. Oba przedstawiały nagą siostrę Ludmiłę w odrobinę różnych, ale jednakowo wyuzdanych pozach. Co więcej, na obu siostra Ludmiła siedziała na biurku w gabinecie dyrektora. Najpierw przemknęło mi przez głowę, żeby ponabijać się z obfitego owłosienia łonowego pielęgniarki. A potem pomyślałem, że koniecznie muszę skserować te zdjęcia.

Spasibo, Polina.

Stary cyfrowy zegar na szafce obok mojego łóżka wskazywał godzinę 5.39. Zostało jeszcze sporo czasu do śniadania i co ważniejsze, do momentu, w którym panna Kristina zasiądzie za swoim biurkiem w recepcji. „Godzina anarchii” (gdy tylko zacząłem rozumieć prawa, którymi rządzi się nasz szpital, tak właśnie zacząłem nazywać czas między piątą a szóstą rano, bo w szpitalnym grafiku pojawia się wówczas ta wyjątkowa luka, kiedy nie ma na dyżurze żadnej pielęgniarki). Skoro była 5.39, miałem dokładnie dwadzieścia jeden minut, by wykonać jak największą liczbę kopii tych odrażających zdjęć, zanim któraś z pozostałych pielęgniarek rozpocznie dyżur. A zaraz potem przypomniałem sobie, że przecież tkwię zamknięty w swoim pokoju jak uwięzione w klatce zwierzę. Oczywiście najpierw instynktownie nacisnąłem kłamkę, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy nic się nie zmieniło. I wtedy – klik, skrzyp...

Danke, Polina.

Ukryłem zdjęcia w szortach, w okolicach pachwiny, ale uświadomiwszy sobie, jak

blisko mojego członka znalazła się właśnie siostra Ludmiła, szybko przesunąłem je pod kikuty ud. Pojechałem do recepcji, gdzie za biurkiem panny Kristiny stała wiekowa kserokopiarka. Nigdy dotąd niczego nie kserowałem, ale spędziłem niejedną godzinę na badaniu tej maszyny, na wypadek gdyby pojawiła się konieczność skorzystania z niej. Tak się składa, że ksero ma tylko jeden przycisk (zielony), więc po prostu położyłem zdjęcia na szybie i nacisnąłem go. Pasek światła przesunął się pod nimi w tę i z powrotem, a po chwili z boku wysunęła się ziarnista, nieco niewyraźna kopia. Gdyby pojawiła się potrzeba szantażu, Ludmiła nadal była rozpoznawalna. Nacisnąłem zielony guzik po raz drugi. I znowu. I jeszcze raz.

Potem zabrałem wszystkie kopie i wsunąłem je pod drzwi Poliny.

– Przepraszam, nie mam czasu rozmawiać – rzuciłem jeszcze i ruszyłem dalej.

Jedną kopię ukryłem pod butelką wybielacza w schowku na mopy, bo już jakiś czas temu zauważyłem, że nikt nie otwierał tej butelki od lat dziewięćdziesiątych. Kolejną odbitkę schowałem w pokoju Alexa, w rozdarciu materaca pod jego ogromną głową, o którego istnieniu wiedziałem, ponieważ jego materac należał kiedyś do mnie. Ostatnie ksero wcisnąłem w spodenki, znowu jak najdalej od mojego *chuja*, i wróciłem do swojego pokoju, by czekać na nieuniknione wezwanie od dyrektora.

Spodziewałem się, że do pełnej połajanek rozmowy dojdzie wcześniej, w okolicach 7.30, dokładnie w połowie śniadania, jak zakładały reguły prowadzenia wojny psychologicznej. Musiałem jednak czekać niecierpliwie, aż do 10.38, kiedy to do moich drzwi zastukała siostra Natalia. Siedziałem już w wózku, starannie wygładziwszy wszelkie zmarszczki na koszulce.

Nie czekając na zaproszenie, siostra Natalia wtarabaniła się do pokoju, jakby była u siebie.

– Na miłość boską, co tu się stało wczorajszej nocy? – rzuciła.

– A czemu myślisz, że coś się stało?

– No cóż, po pierwsze, dyrektor chce z tobą rozmawiać, a przecież on nigdy tego nie robi. Po drugie, całą twarz masz wymazaną krwią.

Polizała palec i na próżno próbowała zetrzeć mi z policzków zaschnięte czerwone ślady.

– Sam mogę się umyć – burknąłem.

Tak naprawdę chciałem zostawić tę krew, żeby Michaił miał okazję się przekonać, z jaką sadystyczną dziwką wymienia płyny ustrojowe.

– Nie możesz, bo masz ją naprawdę wszędzie. I przestań wymigiwać się od odpowiedzi. Co się wczoraj stało? Dlaczego Michaił chce z tobą rozmawiać?

– To nie twoja sprawa.

– Jeśli przytrafiło się to tobie, to jest to moja sprawa.

– Sam się tym zajmę.

Próbowałem wyjechać z pokoju, ale kiedy dotknąłem koła, skrzywiłem się, co nie

umknęło uwadze Natalii, bo jej nigdy nic nie umyka. Zmarszczyła brwi z przerażeniem.

- Zrobiła ci krzywdę? Naprawdę w tej jednej chwili mógłbyś nie zachowywać się jak ostatni dupek.
- Mówiłem ci, że sam się tym zajmę.
- Tak jak siniakiem na twarzy Poliny?
- Owszem.
- Jak do tego doszło?
- Sama ją o to zapytaj.
- Już to zrobiłam.
- I co ci powiedziała?
- Że chodziła we śnie i przewróciła się prosto na twarz. Prawdopodobny efekt uboczny wyczerpującej chemioterapii. Sprytnie, Polino.
- To straszne – mruknąłem.
- Jeśli to wszystko sprawka Ludmiły, naprawdę powinieneś mi powiedzieć.

Mówiła z takim żarem w głosie, że na pewno nie dałaby się łatwo przekonać do zostawienia tej sprawy. W takich sytuacjach – w naszym przypadku – lepiej sprawdza się telepatia. Więc zamiast się odzywać, po prostu popatrzyłem na nią z miną z gatunku: „To nie jest kwestia mojego chamstwa i uporu, po prostu próbuję cię chronić”. Musiałem wykrzywiać swoją nieposłuszną twarz dobre pół minuty, zanim to do niej dotarło, ale w końcu Natalia przestała wycierać moją twarz i powiedziała:

- Michaił chce z tobą teraz porozmawiać. Gdybyś miał ochotę opowiedzieć mi, jak wam poszło, to przez większość dnia będę odkurzać monitory sercowców w Czerwonej Sali.
- Dobrze – obiecałem, chociaż chyba żadne z nas tak naprawdę nie sądziło, że rzeczywiście zdradzę jej szczegóły tego spotkania.

Potem wreszcie ruszyłem do gabinetu dyrektora, zaciskając zęby, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo boli mnie okaleczona ręka (naprawdę nie chciałem niepokoić Natalii).

Kiedy stukałem do drzwi gabinetu, ręka lekko mi drżała, a zdjęcia nagiej siostry Ludmiły paliły mnie w pośladki. Na moje stukanie dyrektor przerwał jakąś burzliwą rozmowę telefoniczną. Kiedy szedł do drzwi, pojawiła się moja matka, żeby przypomnieć mi, że za chwilę stanę twarzą w twarz z Najbardziej Przeciętnym Facetem na Świecie.

- Proszę. – Dyrektor wpuścił mnie do środka.

Sekundy dłużyły mi się w nieskończoność, zanim podjechałem wózkiem do biurka, które, to już tak przy okazji, wyglądało na droższe niż reszta szpitalnego wyposażenia razem wzięta. Kiedy znalazłem się twarzą w twarz z dyrektorem, ten stwierdził:

- Może porozmawiamy tutaj. – Wskazał ręką długą kanapę ze sztucznej brązowej

skóry w kącie gabinetu i pasujący do niej fotel. Wojna psychologiczna. Nie byłem aż tak naiwny, by nie zdawać sobie sprawy, że wykorzystuje moją słabość, zmuszając mnie do porzucenia wózka inwalidzkiego na rzecz uniemożliwiającego mi wszelki ruch siedziska. – Usiądź, proszę – dodał.

– Przecież siedzę – odparłem.

– Chodziło mi o to, żebyś usiadł wygodniej.

– Wózek w zupełności mi wystarczy.

– Oczywiście – mruknął dyrektor, a potem umilkł na dłuższą chwilę, by zatruta strzała na pewno dotarła do celu. – No więc co u ciebie słychać, Iwanie? – podjął po dłuższej chwili.

– Wszystko w porządku. Możemy już przejść do rzeczy?

Od północy zdążyłem sobie przećwiczyć tę rozmowę w głowie dziesiątki razy, ale ani razu nie przebiegała ona tak jak teraz.

– To znaczy do czego, Iwanie? – zdziwił się dyrektor.

– Do rzeczy. Jestem przygotowany na tę rozmowę.

– Przecież rozmawiamy. Czy czytałeś ostatnio coś dobrego? Natalia twierdzi, że bardzo lubisz książki.

– Codziennie.

– Ale co codziennie?

– Codziennie czytam jakąś dobrą książkę.

– Na przykład?

– Na przykład *Doktora Żywago*.

– O, Pasternak? Nigdy za nim nie przepadałem. Coś jeszcze?

– *Jeden dzień Iwana Denisowicza*.

– Znacznie lepiej. Ja też pokochałem *Sołżenicyna*, kiedy byłem w twoim wieku.

– O co w tym chodzi? – wtrąciłem bezceremonialnie.

– Co masz na myśli?

– Całą tę pogawędkę.

– Po prostu staram się podtrzymać rozmowę.

– Przecież obaj wiemy, że nie po to się tu spotkaliśmy.

– A czemu nie, Iwanie?

– Bo gdyby było inaczej, odbylibyśmy tę rozmowę dawno temu.

Dyrektor zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad moimi słowami, a potem pokiwał głową.

– Jesteś szczęśliwy, Iwanie?

– Szczęśliwy?

– Tak, czy jesteś szczęśliwy?

– Co za głupie pytanie.

– Nie bądź nieuprzejmy, Iwanie.

– Ale to j e s t głupie pytanie.

– Dlaczego?

– Bo to chyba oczywiste, że nie jestem szczęśliwy!

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ostatnie słowa wręcz wykrzyczałem.

– Czy po raz pierwszy wspomniałeś komuś o tym, że nie jesteś szczęśliwy? Pielęgniarki często skarżą się, że wyglądasz na nieszczęśliwego, ale nie chcesz im powiedzieć dlaczego.

– To chyba oczywiste?

– Może. Ale nieszczęśliwi ludzie zwykle starają się coś z tym zrobić. Albo przynajmniej komuś się zwierzyć.

– A jaka to różnica? – rzuciłem. – Zresztą kto mógłby być tutaj szczęśliwy?

Miałem wrażenie, że moje słowa są jak mikroskopijne ostrza, bo w gardle mnie paliło.

– Jest ogromna różnica. Jeśli miejsce czyni cię nieszczęśliwym, możemy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, możemy jakoś zmienić to miejsce. Albo możemy cię z niego zabrać.

– Tutaj nic nigdy się nie zmienia.

– A więc powinniśmy cię stąd usunąć? – Nie miałem pewności, czy nie jest to pytanie retoryczne, więc na wszelki wypadek nie odpowiedziałem. Dyrektor tymczasem ciągnął: – Czy kiedykolwiek prosiłeś o możliwość opuszczenia naszego szpitala?

Po ciągnącym się w nieskończoność milczeniu wreszcie odparłem:

– Nie.

– Rozumiem. No cóż, skoro nie jesteś tu szczęśliwy, dlaczego nie powiesz o tym komuś?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie będę się powtarzać.

– Może kiedy uda ci się znaleźć odpowiedź na to pytanie, wrócimy do tego tematu.

– Może.

– Jest coś jeszcze, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać, Iwanie?

– Nie.

– Iwanie, co masz w spodenkach?

– Swojego *chuja*.

– A poza nim?

– Dlaczego sądzi pan, że jest w nich coś jeszcze?

– Bo ciągle na nie zerkasz.

– Nic tam nie ma.

Dyrektor przeczesał palcami przerzedzone włosy.

– A więc skończyliśmy?

– Tak.

– Tam są drzwi.

Posłusznie ruszyłem do wyjścia. Sam nie wiedziałem, dlaczego właściwie straciłem całą odwagę i zrezygnowałem z planowanego szantażu.

Dyrektor tymczasem odezwał się ponownie:

– Iwanie, jeszcze jedno. – Zatrzymałem się i odwróciłem w jego stronę. – Dopóki wszystko zostanie w twoich spodenkach, oboje nie musicie się o nic martwić.

Niczego przecież nie pragnąłem bardziej.

Oszołomiony, rzuciłem tylko:

– W porządku.

Dyrektor posłał mi pełen wyższości uśmiech. I tym jednym skrzywieniem warg zmienił wszystko. Poczułem się tak, jakbym spotkał go po raz pierwszy w życiu. Jakby w jego wnętrzu, tuż pod skórą, czaiła się bestia, która wreszcie postanowiła wychynąć na światło dzienne. Czytelniku, naprawdę nie sposób opisać, co krył w sobie ten uśmiech. Wystarczy powiedzieć, że przypominał grymas upadłego anioła, w każdym razie tak właśnie sobie go wyobrażałem. A skrywał w sobie tyle różnych rzeczy:

„Może kontrolujesz parę drobiazgów, ale to ja mam kontrolę nad całym twoim życiem”.

I jeszcze:

„Bardziej obchodzi mnie dobro najgorszego karalucha niż twoje”.

Oraz:

„Dopóki tu mieszkasz, to ja jestem osobistym dyktatorem w twoim jednoosobowym państewku”.

Kryło się w nim jeszcze całe mnóstwo innych rzeczy, ale ogólny zarys chyba już rozumiecie.

To właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że matka się myliła: dyrektor Michaił Kruk był Najbardziej Przeciętnym D e m o n e m na Świecie.

Opuściłem jego gabinet szybko, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od tego uśmiechu. Najpierw wyrzuciłem zdjęcia nagiej siostry Ludmiły do kosza w najbliższej toalecie, a potem zwymiotowałem do muszli, by pozbyć się najdrobniejszych wspomnień tej rozmowy.

Dzień dwunasty

Dzień Snu

(Dzień wyników badań laboratoryjnych)

Po rozmowie z dyrektorem wróciłem do swojego pokoju, rozebrałem się, odbyłem małą sesję masturbacji i wreszcie zasnąłem. Obudziłem się dopiero o 7.50 następnego ranka, czyli po prawie dwudziestu jeden godzinach snu. I to tylko dlatego, że siostra Natalia waliła w drzwi jak wściekły goryl.

– Iwan, obudziłeś się wreszcie? Dziesięć minut do śniadania. Wczoraj ominąłeś obiad i kolację. A co z naszą umową?

Po tym, jak zimą 1999 roku pomiąłem dwanaście kolejnych posiłków w ciągu jednego tygodnia, zawarliśmy układ, że nigdy więcej nie będę się głodził dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

Pomacałem nieistniejące nogi.

– Iwan! Jesteś tam?

– Wejdz!

Klamka ustąpiła pod naciskiem niecierpliwiej ręki, a potem w progu stanęła Natalia – z miską kapusty i rogalikiem.

– Dzisiaj jeszcze przyniosłam ci śniadanie, ale to już naprawdę ostatni raz – powiedziała.

– Rogalik? – zdziwiłem się.

– Kupiłam ci go na mieście – odparła Natalia.

– Po prostu mi powiedz.

– Ale co?

– Wiem, co to znaczy, kiedy kupujesz mi coś na mieście.

– Nie macie zgodności tkankowej.

– W porządku.

– Jest coś jeszcze.

– Więcej złych wiadomości?

– Owszem.

– Mów.

– Zrobiliśmy jej badania.

– I?

– Nie reaguje na chemię. – W ten sposób Natalia poinformowała mnie, że Polina najprawdopodobniej umrze, zanim znajdą dla niej dawcę, co nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem, bo w tym miejscu dzieciaki z białaczką nigdy nie dożywają przeszczepu. Zamyśliłem się na moment. Przez głowę przemykały mi rozmaite możliwości ucieczki niczym pokaz slajdów z lat osiemdziesiątych. Do rzeczywistości przywołał mnie dopiero głos Natalii: – Nawet o tym nie myśl, Iwanie.

– Za późno.

Nie miałem najmniejszych powodów, żeby robić sobie krzywdę. Nic przecież się nie zmieniło. Znajdowałem się dokładnie w tym samym miejscu co jeszcze dziewięć dni temu, kiedy torebka z o połowę mniejszą niż zwykle porcją tabletek prawie wylądowała w talerzu Poliny. A jednak wszystko się zmieniło, bo nie ma bardziej gorzko-słodkiego uczucia niż świadomość, że nie da się cofnąć czasu.

– Wie o tym? – zapytałem.

– Owszem. I o jednej, i o drugiej sprawie.

– To znaczy?

– To znaczy, że wie też o badaniach waszej zgodności tkankowej.

– Błagam, powiedz, że to nieprawda. – Natalia przyklękła przy łóżku i przysunęła twarz do mojej twarzy. – Daj spokój – mruknąłem.

– Iwanie, Polina zapytała, czy mógłbyś być dawcą, zanim poprosiłeś o zrobienie tych badań.

Czyli nie obrzydzała jej myśl, że mogłaby mieć w sobie cząstkę mnie, gdyby tylko mogło to uratować jej życie.

– Mimo wszystko chciałbym, żebyś sobie poszła.

– Dobrze, Iwanie. – Położyła rogalika na szafce obok łóżka, a potem rzuciła: – Jeszcze jedno. Wszystkie pielęgniarki dostały notatkę służbową, zgodnie z którą Ludmiła nie będzie pracować przez cały tydzień. Nocne dyżury dostała Elena.

A potem wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Odgryzłem kęs rogalika, który wypadł mi z ust, kiedy w kącie pokoju nagle pojawił się dyrektor i powiedział, że teraz to już na pewno jestem nieszczęśliwy, a skoro tak, czemu nie miałbym opuścić tego świata na dobre. Chwilę później uświadomiłem sobie, że jedynym sposobem na pozbycie się go będzie walenie głową w ścianę za moimi plecami. Po kilku uderzeniach pojawiła się krew, a mnie zrobiło się na tyle słabo, że opadłem z powrotem na łóżko i zapadłem w sen.

*Zegar wskazuje godzinę 10.58.
Piszę od pięćdziesięciu dziewięciu godzin.
Jest piąty grudnia 2005 roku.*

Siostra Natalia pukała kilka minut temu.
Jak tam mój mały Bułhakow?
Nie odpowiedziałem.
Bo byłem już naprawdę gotów ją zapytać.
Ale słowa uwięzły mi w gardle albo nawet gdzieś niżej.
Może zabrakło mi tego jednego jedyne łyka.
Wrócę później.
Zamknęła drzwi.

Dni jedenasty i dziesiąty

Płacz z Nabokovem

Tym razem obudziłem się, kiedy czerwone kreseczki na wyświetlaczu cyfrowego zegara ułożyły się w godzinę 1.54. Chociaż raczej ze snu wyrwało mnie delikatne, nierówne stukanie do drzwi, po którym rozległ się równie cichy i niezobowiązujący szept:

– Nie śpisz?

Strach, niepokój, egzystencjalny kryzys, prawdopodobna psychoza, wszystko to zniknęło pod wpływem tego szeptu, a ja nieoczekiwanie poczułem respekt dla tego konkretnego lekarstwa (Miłość? Zauroczenie? Uzależnienie? Zniewolenie?). Poczuję też wstyd, że dotąd tak bezlitośnie wyśmiewałem się z bohaterów występujących na kartach powieści czy na ekranie telewizora, nawet z postaci historycznych, które wyprawiały koszmarnie głupstwa w imię miłości.

Każdemu Romeowi i każdej Julii na świecie mogę teraz powiedzieć: Rozgrzeszam was.

– Polina?

– Gdzie się podziewałeś?

– Spałem.

– Mogę wejść?

– Tak.

Polina weszła do środka, a ja uświadomiłem sobie, że widzę ją po raz pierwszy od czasu Incydentu. Pokój rozświetlał jedynie słaby blask księżyca wlewający się przez zakratowane okno. Światło było naprawdę bezlitosne, podkreślało każdy cień na jej coraz szczuplejszej twarzy o coraz ostrzejszych rysach. Zamiast peruki miała na głowie czerwony kapelusik, a ja z niepokojem uświadomiłem sobie, jak bardzo mi się teraz podoba pomimo swojego wychudzenia.

– Co zaszło z Michałem?

Nie byłem przygotowany na to pytanie ani na całkowicie szczerą odpowiedź. Z drugiej strony okłamanie Poliny było praktycznie niemożliwe.

– Musiałem zajrzeć w głąb jego zimnej, mrocznej duszy – rzuciłem

z sześćdziesięcioprocentowym uśmiechem, żeby dać jej do zrozumienia, że to co najmniej w sześćdziesięciu procentach żarty.

– Ale serio, ten wielki tłusty bufon zaczął ci grozić? A wtedy ty cisnąłeś zdjęcia na jego biurko i przekłułeś ten jego wielki tłusty balon?

– Nie musiałem.

– Jak to?

– Chciał tylko porozmawiać.

– O czym?

– Poważnie?

– Poważnie.

– O niczym.

– O niczym?

– O niczym ważnym. Taka tam niezobowiązująca pogawędka.

Przez chwilę Polina w zamyśleniu wpatrywała się w moje źrenice, a potem zapytała:

– Powiedziałeś mi, że Ludmiła mnie uderzyła?

– Już wiedział.

– Wspomniał o tym?

– Nie.

– Więc skąd wiesz, że wiedział?

– Powiedział mi to bez słów. To się nie powtórzy.

– Skąd wiesz?

– Bo ja też mu to powiedziałem.

– Na głos?

– Nie, w ten sam sposób, co on...

Zanim zdążyłem skończyć, ręka Poliny zaczęła drgać niczym pobudzona wskazówka metronomu. Potem drżenie ogarnęło ramiona i resztę ciała. Kiedy dotarło do twarzy, z oczu Poliny popłynęły łzy w ilościach tak wielkich, że to chyba fizycznie niemożliwe.

– Przepra... – powiedziała, ale zabrakło jej tchu na dokończenie. – Przepraszam – powtórzyła.

A potem osunęła się na podłogę, wijąc się niczym wyrzucona na brzeg ryba i wciąż wydając z siebie dźwięki przypominające krótki rytmiczny skowyt połączony z prychaniem, zupełnie jakby jej nos próbował cofnąć wszystkie płyny do wnętrza ciała.

– Nic się nie stało – zapewniłem ją, chociaż wiedziałem, że to nieprawda.

Drżenie chyba było zaraźliwe, bo i mnie zaczęła trząść się ręka.

– To moja wina – dodała Polina.

– To jest twoja wina – przytaknęłam. – Ale kogo to interesuje.

– Przepraszam – powtórzyła. A potem powtarzała tak jeszcze raz za razem, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Prze-pra-szam.
Na moich oczach rozpadała się na kawałki.

– Chodź tutaj – powiedziałem, ale nawet nie drgnęła. – No chodź – powtórzyłem z mocą, jak prawdziwy facet.

Podciągnęła kolana pod siebie i podpełzła do mojego łóżka. Ująłem jej zgrabną główkę, a potem kciukiem otarłem łzy z jej policzków (i taką scenę widywałem w telewizji). Teraz i mnie zaczynały się pocić oczy.

– To koniec. Już po mnie – szepnęła.

– Jeszcze nie.

– Właśnie że już.

Moim zdaniem to właśnie wtedy wszystkie bariery i mechanizmy obronne opadły, zsunęły się na ziemię niczym poobijane w boju fragmenty zbroi, bo płacz zamienił się w prawdziwą histerię, a Polina z trudem chwyciła oddech pomiędzy kolejnymi atakami szloch.

Chciałem jej powiedzieć, że wcale nie umiera, ale przecież umierała.

Chciałem jej powiedzieć, że wszyscy umieramy, ale przecież to taki irytujący banał.

Chciałem jej powiedzieć, że będzie lepiej, ale przecież mogło być już tylko gorzej.

Więc powiedziałem tylko:

– Wiem.

Powtarzałem to jedno słowo, kołysząc ją w moim własnym, niezgrabnym rytmie.
A ona powtarzała:

– Ja umieram, umieram, u-mie-ram, u-mie-ram, niedługo kopnę w kalendarz.

Potem ten refren przeszedł w szept, aż w końcu i szept ucichł. Drzenie ustało.
Drobna, blada Polina spała, wtulona we mnie.

Odczekałem tyle, ile potrzebował mój mózg, by w pełni ogarnąć absurdalność i nierealność tej chwili. W końcu endorfiny musiały mnie wprowadzić w stan podobny do narkotycznego transu, bo nie pamiętam więcej z tej nocy. Ocknąłem się o 4.32. Polina leżała obok mnie na łóżku, przyciśnięta do mojego okaleczonego ciała, a ja obejmowałem ją ramieniem. Oboje byliśmy okryci kocem, chociaż nie miałem pojęcia, jakim cudem znaleźliśmy się w tej właśnie konfiguracji.

Uniosłem się odrobinę, na tyle, by popatrzeć w jej słodką, wymęczoną twarz, teraz taką bezbronną i otwartą, zupełnie jakby Polina w błyskawicznym tempie przeszła wszystkie etapy żałoby według modelu Kubler-Ross, od zaprzeczenia po akceptację, choć z płaczu o mało się nie udusiła.

Odsunąłem koc i pomacałem swoje nieistniejące nogi.

Zastanawiałem się, czy jej nie zbudzić i nie powiedzieć, że powinna już iść, zanim ktoś nakryje nas tu razem. Uznałem jednak, że lepiej niech sobie pośpi. Po kilku minutach daremnych prób uświadomiłem sobie, że sam już nie zasnę, tuliłem więc śpiącą Polinę i wsłuchiwałem się w jej rytmiczny oddech.

W końcu wzeszło słońce, co spowodowało, że Polina poruszyła się niespokojnie, by uciec z zasięgu jego promieni – w moją stronę. Kiedy zorientowała się, że leżymy razem, nos w nos, aż podskoczyła.

Zastanawiałem się gorączkowo, co powinienem powiedzieć w tej sytuacji, ale każda uwaga, jaka przychodziła mi do głowy, wydawała mi się zbyt lekceważąca, sugestywna, przepraszająca czy zwyczajnie – idiotyczna. Koniec końców wolałem poczekać, aż Polina przypomni sobie ostatnie osiem godzin i to, jak znalazła się w jednym łóżku z odmieńcem z cyrku. Wszystkie te sceny znalazły odbicie w jej oczach, aż wreszcie najwyraźniej zaakceptowała sytuację i rzuciła krótko:

– Cześć.

– Cześć.

– Pamiętasz, jak po moim przyjeździe do szpitala gapiłeś się na mnie jak sroka w gnat i w ogóle się do mnie nie odzywałeś?

– Odpieprz się.

Pacnęła mnie poduszką w twarz.

Potem przymknęła oczy. Przez chwilę wyglądała, jakby miała z powrotem zapaść w sen. Uznałem, że czuje się w moim towarzystwie bezpiecznie. Sam nie wiedziałem, czemu podświadomie wciąż szukam oznak, że jest jej dobrze, skoro za kilka dni i tak miała być martwa.

– To koniec – przerwała moje rozmyślenia, nie otwierając oczu.

Uznałem, że znowu mówi o śmierci, ale wolałem się upewnić.

– Z czym?

– Z chemią.

Wydawało mi się to rozsądnym rozwiązaniem. Trzy miesiące i siedem dni po dziesięć godzin dziennie, lśniaca łysiną głowa, wymioty i biegunka na okrągło, a i tak nie miała co liczyć na nowy szpik kostny. Z praktycznego punktu widzenia rozsądniej było się poddać, zamiast przeżywać ostatnie dni w podobnej męce. Mimo wszystko coś mnie podkuśiło, żeby odegrać rolę adwokata diabła albo przynajmniej poudawać, że nie mam pojęcia o tym wszystkim, o czym tak dobrze wiedziałem.

– Jesteś pewna? – zapytałem.

– Powiedzieli mi, że teraz to i tak nie ma już najmniejszego sensu – odparła.

– Kto ci tak powiedział?

– Jakiś lekarz z miasta, który przyjeżdża tu razem ze swoim studentem, żeby mi powiedzieć, jak bardzo jestem umierająca.

Najwyraźniej miała na myśli doktora Stanisława Karijewa, onkologa.

– Doktor Karijew? – upewniłem się.

– Aha. Powiedział mi, że w tym momencie chemia po prostu szybciej mnie zabije.

Zakaszłała. Żyłki biegnące od jej skroni po szyję napięły się pod cienką jak pergamin skórą, wijąc się poprzez plamy czerwieni rozkwitające na jej twarzy niczym poinsecje

(doktor Karijew zawsze określał plamy u dzieciaków z białaczką mianem wybroczyn). Zwróciłem też uwagę na jej zapach, nie słodki, ale też nie kwaśny, ani delikatny, ani gryzący.

– W takim razie muszę ci przyznać rację. – Uznałem, że najlepiej będzie stwierdzić to z całym przekonaniem, więc tak właśnie zrobiłem.

– Wiesz, co to oznacza? – zapytała.

– Co?

Po raz kolejny przemknęło mi przez głowę, że znów będzie chciała mi przypomnieć o swojej rychłej śmierci.

– To znaczy, że możemy się widywać w ciągu dnia, a ja nie muszę się bać, że narobię w majtki w twojej obecności. Możemy zacząć odhaczać rzeczy z twojej listy.

– Z mojej listy?

– No z tego spisu wszystkich rzeczy, które chciałbyś ze mną zrobić, zanim mnie pochowają. – Musiałem wyglądać dziwnie, bo natychmiast dodała: – Nie rób takiej miny. Ja też sobie obejrzałam, kiedy akurat spałeś.

Dopiero wtedy zapytałem:

– No więc bardziej spodobała ci się wizja seksu w przebraniu księdza i zakonnicy czy może numerku na dachu? – Ponieważ roześmiała się uprzejmie, dodałem: – Wydaje mi się, że wersja z dachem jest bardziej realna. Dach jest łatwiej dostępny.

Nadal leżeliśmy, splątani. Gdy Polina się roześmiała, poczułem na twarzy podmuch wilgotnego powietrza, które pachniało jak ciepły dżem. Tymczasem Polina z powrotem zasznurowała wargi.

– Powinniśmy przeczytać najlepszą książkę, jaka powstała na tym świecie – powiedziała w końcu.

– Jesteś jedną nogą w grobie i chcesz spędzać ostatnie chwile na analizowaniu rosyjskiej klasyki? – zdumiałem się.

– Moglibyśmy jeszcze się wybrać na narty w Alpy. Zawsze o tym marzyłam – odparła.

Trafiony zatopiony, Polino.

– Ty wybierasz.

– Moją ostatnią książką w życiu musi być coś Nabokova.

– *Zaproszenie na egzekucję*?

– Zbyt przygnębiające.

– *Śmiech w ciemności*?

– *Lolita*.

– *Lolita* jest mniej przygnębiająca?

– *Lolita* jest zmysłowa. I mroczna. Ale nie przygnębiająca.

– No dobra, niech będzie *Lolita*.

– Ja myślę. W końcu to ostatnia książka w moim życiu.

– Proponuję, żebyśmy przeczytali ją jednym ciągiem. Zero snu, dopóki nie dotrzemy do ostatniej strony.

– Czy ty w s z y s t k o zmieniasz w grę?

– Wszystko.

– Iwan?

– Tak?

– Jak się zaczyna książkę, o której się wie, że będzie tą ostatnią?

– Oszukujesz samego siebie i powtarzasz sobie, że wcale tak nie jest.

– W tym punkcie mojego życia kłamstwo jest właściwie wykluczone. Umieranie przypomina serum prawdy.

Zsunąłem się z łóżka i poczołgałem do mojego pseudoregału, na którym miałem nie dwa, a trzy różne egzemplarze *Lolity*. W latach 1998–1999 była to moja ulubiona książka, więc dwa razy okłamałem Natalię, że ją zgubiłem, tylko po to, żeby mieć dodatkowe egzemplarze na wypadek jakiejś katastrofy. Przez chwilę przewracałem książki, które leżały nawet na podłodze, dopóki nie znalazłem dwóch egzemplarzy *Lolity*. Jeden z nich od razu rzuciłem Polinie. Obejrzała książkę ze wszystkich stron, pogładziła okładkę.

– Kiedy zaczynamy? – zapytała.

– Po śniadaniu. Inaczej Natalia będzie się martwić.

– Kochasz ją – orzekła Polina.

– Możesz jeszcze pospać. Obudzę cię na czas.

Popatrzyła na mnie przez kilka sekund swoimi nieprawdopodobnie niebieskimi oczami, a potem powoli je zamknęła, by pospać aż do śniadania.

Jak zwykle raczyliśmy się kapustą, kiedy do Poliny podeszła siostra Natalia z podkładką z jakimiś papierami i długopisem. Szepnęła coś Polinie do ucha, a ta w odpowiedzi pospiesznie naskrobała swoje nazwisko na dokumentach. Natalia nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać przy tym na mnie, a kiedy za którymś razem udało mi się podchwycić jej spojrzenie, podeszła, żeby i mnie coś szepnąć.

– Czemu szepczesz? – zdziwiłem się. – Nikt o tym nie wie, nikogo to nie interesuje.

– Raz, dwa... – rzuciłem.

– Nie, zaczynamy dokładnie o ósmej – upomniała mnie Polina.

Była 7.59, więc...

Masz rację, Polino.

Kiedy czerwone cyfry się zmieniły, pograżyliśmy się w lekturze niczym w transie, co jakiś czas zmieniając tylko pozycję. Początkowo leżeliśmy z dala od siebie, potem, nie wiedzieć kiedy, Polina przerzuciła mi nogi przez brzuch, by wreszcie wylądować ze

stopami tuż przy mojej twarzy.

Co jakiś czas przerywała nam tylko siostra Natalia, która pukała dwukrotnie do drzwi, a następnie podrzucała nam dwa kawałki bakławy, dwa ugotowane pierogi czy dwie bastele, a więc same dania niewystępujące w szpitalnym menu. Odezwała się do nas tylko raz:

– Na pewno nie wolelibyście posiedzieć w świetlicy, razem z bliźniaczkami?

Co należało zrozumieć jako: Dłużej już nie jestem w stanie wymyślać kolejnych wymówek tłumaczących waszą nieobecność.

Oboje bez pośpiechu oderwaliśmy wzrok od książek i wymieniliśmy spojrzenia, a potem popatrzyliśmy na Natalię i kategorycznie pokręciliśmy głowami.

– Rozumiem – rzuciła i wyszła.

Poza tym ciszę przerywały tylko nasze ulubione fragmenty, padające z naszych ust, nie zawsze zgodnie z chronologią książkowych wydarzeń, niczym eholalie u pacjentów z zespołem Tourette’a.

Polina (po 33 minutach lektury): „Życie ludzkie jest tylko serią przypisów do jakiegoś olbrzymiego, mętnego, niedokończonego arcydzieła”⁴⁰.

Odpowiedź Iwana: „A reszta to rdza i pył gwiazdny”⁴¹.

Iwan (po 339 minutach lektury): „Proszę, czytelniku (...), wyobraź mnie sobie; nie zaistnieję, jeśli mnie sobie nie wyobrazisz”⁴².

Odpowiedź Poliny: „Wyobrazasz sobie, jak to jest tkwić uwięzionym w jakiejś historii?”.

Polina (po 608 minutach lektury): „On złamał mi serce. A ty złamałeś mi tylko życie”⁴³.

Odpowiedź Iwana: „Nie złość się na deszcz, on po prostu nie potrafi padać do góry”.

Kolejna przerwa nastąpiła znacznie później, po kilkunastu godzinach lektury. Polina nieoczekiwanie przerywała czytanie i położyła sobie książkę na piersi, teraz wystarczająco płaskiej i wyprężonej, by posłużyć za taką podpórkę, a potem zapatrzyła się w sufit, zupełnie jakby wypatrywała chmur po jego drugiej stronie. Mogło to oznaczać jedną z kilku rzeczy: od krótkiego napadu nieświadomości przez katatonię – godną samego mistrza Iwana – aż po rozanielenie snami na jawie.

– Polina?

– Czy to wszystko w ogóle się dzieje?

Przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie jedynie pytanie retoryczne, ostatecznie jednak odparłem:

– Tak sędzę.

– Bo wydaje się takie nierealne.

– Co takiego?

– To wszystko.

– Masz na myśli tę książkę?
– Tę książkę i wszystkie inne książki, moje myśli i sny, marzenia moich rodziców. Mam wrażenie, że to nie ma prawa tak się skończyć.
– Wydaje ci się to nierealne, bo to jeszcze nie koniec. – To było niemal zbyt oczywiste jak dla mnie. Dla niej chyba też, bo nagle oderwała wzrok od sufitu i popatrzyła na mnie, choć w jej ciele nie drgnął ani jeden mięsień. – Nie umieraj, dopóki nie będziesz naprawdę martwa. A jeśli już musisz, niech to będzie dobra śmierć – dodałem.
– Czyli jaka?
– Taka, kiedy umiera w tobie tylko ta część, która powinna być martwa.
– Ach, to jest dobra śmierć.
– Zgadza się.
– Dobra śmierć, dobra, dobra... – Polina powtarzała te słowa coraz ciszej, wolniej, aż wreszcie powieki jej opadły.
Zasnęła. To ja skończyłem *Lolite* jako pierwszy.

[40](#) Vladimir Nabokov, *Blady ogień*, przeł. Stanisław Barańczak, Michał Kłobukowski, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA, Warszawa 2011, s. 268 (przyp. tłum.).

[41](#) Tenże, *Lolita*, przeł. Michał Kłobukowski, DA CAPO, Warszawa 2002, s. 310 (przyp. tłum.).

[42](#) Tamże, s. 156 (przyp. tłum.).

[43](#) Tamże, s. 337 (przyp. tłum.).

Dzień dziewiąty

Braterstwo krwi

Ze snu wyrwał mnie ostry głos Poliny, potrząsającej mną, jakbym był kawałkiem szmaty.

– Tu dupku!

– Co?

– Jak mogłeś pozwolić mi zasnąć?

– To nie było częścią naszej umowy.

– Spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Poza tym wracam do swojego pokoju. Od trzech dni nie zmieniałam ubrania. A policzki mam całe słone od łez.

Polina rzeczywiście pachniała teraz słodko – jak wybrudzone niemowlę, tyle że z lekką nutą śmierci. Szybko zgarnąłem dwa kawałki basteli, które zostały z naszego literackiego maratonu, nie zapominając oczywiście o okruchach ciasta, a następnie wręczyłem jej to wszystko ze słowami: – Weź to. – Wiedziałem, że w tym momencie na samą myśl o jedzeniu żołądek podchodzi jej do gardła, a jedyną rzeczą, która mogła powstrzymać odruch wymiotny, był cukier.

Polina podziękowała i wyszła. Ja musiałem jednak pojawić się na śniadaniu. Obiecałem to przecież Natalii.

Kiedy dotarłem do stołówki, większość dzieciaków siedziała już na swoich miejscach, więc jak zwykle wśliznąłem się niezauważony. Jakimś cudem cała ta scena, otoczenie, stołownicy – po prostu wszystko wyglądało inaczej. Jakby bardziej różowo, a może bardziej niewinnie (ostatecznie różowy to chyba kolor niewinności), mniej zjadliwie czy po prostu odrobinę mniej przerażająco. Zadałem sobie nawet pytanie, czy coś rzeczywiście się zmieniło (wśród możliwych rozwiązań znajdowały się: żarówki nowej marki, przycięte drzewa za zakratowanymi oknami albo jakieś zbiorowe ablucje dla co sprawniejszych pacjentów). Wiem tylko, że przez kilka sekund, kiedy sączyłem całkiem znośny sok z kapusty, czułem się tak, jakbym naprawdę współistniał z innymi mieszkańcami szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu, a nie tylko ich tolerował.

Po swojej porcji kapusty ruszyłem w objazd po całym szpitalu tylko po to, żeby sprawdzić, co jeszcze wydaje mi się odmienione. Potem wróciłem do pokoju, żeby

przeczytać parę stron, ale ledwie zdążyłem ogarnąć wzrokiem jeden rzeczownik i dwa przysłówki, a już do środka wparowała siostra Natalia z czystą pościelą.

– O co chodzi? – zdziwiłem się.

– Muszę ci zmienić pościel.

– Nieprawda. Dopiero wtorek, a poza tym to przecież nie trzeci tydzień miesiąca.

Siostra Natalia odłożyła pościel i usadowiła swoje pulchne pośladki na skraju łóżka.

– Chcieliśmy cię prosić o przysługę – wyznała.

– Nic nie mogę obiecać.

– Myślę, że chętnie się zgodzisz.

– W porządku.

– Polina potrzebuje transfuzji. Może dzięki temu zyska kilka dni.

– Pytacie mnie o pozwolenie?

– Raczej prosimy o pomoc.

– Przy transfuzji?

– Chodzi o twoją krew, Iwanie.

– Chcecie jej przetoczyć moją krew?

– Polina ma grupę AB Rh-, a w bankach posucha.

Posucha w bankach, jak ciągle słyszę, jest już regułą od czasów Ronalda Reagana. Co więcej, grupa AB Rh- to najrzadsza grupa w całym wszechświecie. Ja mam O Rh-, co oznacza, że moją krew można podać każdemu człowiekowi na świecie. Wiem o tym, bo od jedenastu lat co miesiąc władze miasta zwracają się do mnie za pośrednictwem dyrektora Michała Kruka o zostanie dawcą krwi, a ja co miesiąc kategorycznie odmawiam. To dlatego, że jak dotąd żadne abstrakcyjne ludzkie istnienie nie było dla mnie tak ważne, żebym miał próbować stawić czoło mojemu patologicznemu lękowi przed widokiem krwi.

– Dobrze – rzuciłem.

– Tak myślałam. – Natalia sięgnęła między przyniesioną pościel i wyciągnęła pusty worek, igłę oraz dobry metr rurki. Potem od razu wkłuła mi się w żyłę, nie dając mi szansy na (A) zmianę zdania lub (B) jakąkolwiek psychofizyczną reakcję, która mogłaby zniweczyć jej wysiłki.

Naprawdę sprytnie, Natalio.

Krew mająca swobodny kontakt z powietrzem zawsze wydawała mi się gorsza niż ta płynąca plastikowymi rurkami. Dlatego mogłem w miarę spokojnie obserwować, jak spływa powoli do plastikowego worka, choć kikuty nóg mi drżały, a czoło pokryła lśniąca warstewka potu.

– Tylko dziesięć sekund, Iwanie – uspokajała Natalia. – Więcej nie trzeba.

To prawda, ale czas biegnie w umyśle człowieka, a sekundy przestają być sekundami, gdy serce ci płonie.

– Osiem... siedem... sześć... – odliczała Natalia, podczas gdy przez moją głowę

przepływały wspomnienia wszystkich masturbacji.

– Na pewno się nada? – zapytałem, tak dla pewności.

– Twoja krew?

– Tak.

– Na pewno nie będzie gorsza od jej własnej – odparła Natalia z demonicznym uśmiechem. – Trzy... dwa... jeden... i koniec. Dobry z ciebie dzieciak.

– Nie będzie wiedziała?

– Tylko jeśli zapyta. Tak stanowi białoruskie prawo.

– W Sali Czerwonej?

– A gdzież by indziej? Ale na pewno nie będziesz chciał na to patrzeć.

Wyszła, zabierając ze sobą worek z krwią, a ja wbiłem wzrok w zegar, żeby odczekać minutę, aż będę mógł wstać, a potem następną, zanim ruszyłem na wózk pod Czerwoną Salę.

Najdyskretniej, jak to tylko możliwe, zajrzałem do środka. Wokół Poliny tłoczyli się siostra Natalia, siostra Katia i lekarz z miasta, którego widziałem tu parę razy wcześniej, ale którego nazwiska nigdy nie poznałem. Obserwowałem, jak Katia raz za razem wbija igłę w przedramię Poliny i wciąż nie może trafić w żyłę. Kiedy wreszcie udało jej się wkłuć, krew trysnęła raz i drugi (co również nie powinno się wydarzyć), podczas gdy Polina krzywiła się i popiskiwała niczym szczenię.

– Nie ma się czym przejmować, dziewczyno. To i tak zła krew – rzuciła Katia.

Zanim krew siknęła po raz czwarty, Natalia zdążyła podłączyć rurkę do grubego czerwonego worka zawieszzonego na przenośnym stojaku do kroplówek. Kilka sekund później poziom płynu w worku zaczął spadać, podczas gdy moja krew mieszała się z krwią Poliny.

Pojechałem do świetlicy i ze skrzyni z zabawkami wygrzebałem starą piłkę tenisową. Zaczęłem ją odbijać od ściany, a wszechświat wokół mnie rozpadał się na kawałki. W końcu wypuściłem piłkę i uciekłem w katatonie, bo dawno już tego nie robiłem. Niestety, nie trwało to długo. Siedem minut później pojawiła się siostra Natalia i zaczęła potrząsać mnie za ramię.

– Polina zasnęła. Przez większość dnia musi zostać w Czerwonej Sali, gdzie będziemy monitorować jej stan. Musimy mieć pewność, że nie wystąpi niepożądana reakcja na obcą krew – wyjaśniła.

– Po co mi to mówisz?

– Pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć.

– I tak, i nie.

– Chcesz.

– A jeśli pojawi się niepożądana reakcja?

– Będziemy musieli osłabić jej system immunologiczny.

– Przecież już jest potwornie słaby.
– Wiem.
– Ona umrze.
– Owszem – odparła Natalia. – Może dziś, może jutro albo za tydzień. Albo za sto lat. – Obróciła się na pięcie i odeszła, rzuciwszy jeszcze przez ramię: – Pomogę dziewczynom.

Wróciłem do mojego świata katatonii, tylko po to, żeby zaraz przypomnieć sobie, że zawsze gdy dzieje się coś złego, moje udawane ataki śpiączki stają się pożywką dla rozmaitych zjaw i upiorów. Dlatego uznałem, że lepiej będzie naprawdę wyrwać się z rzeczywistości, choć na chwilę.

Pojechałem do Czerwonej Sali i złożyłem pocałunek na spoconym czole Poliny. Potem z szafki z lekami wyjąłem strzykawkę z morfiną, wróciłem do łóżka Poliny i wbiłem sobie igłę w żyłę.

Dzień ósmy

Organiczna kraina cudów

(oraz inne rozmowy)

Ósmego dnia obudziłem się we własnym łóżku. Polina odgarniała palcami włosy ze spoconego czoła. Białka oczu miała zażółcone, skóra na jej policzkach zaczynała pękać. Twarz przysunęła tak blisko mojej, że czułem promieniujący od niej żar. Ale choć tak zmaltretowana, tęczołki wciąż miała zachwycająco niebieskie.

– Nie znikaj mi tak więcej – powiedziała.

– A niby gdzie zniknąłem?

– Najwyraźniej w strzykawce z morfiną.

– Naprawdę?

– Powiedzieli, że mogłeś od tego umrzeć. To dawka, jakiej używają dla spacyfikowania Dennisa. A on jest ze trzy razy większy od ciebie.

– Chciałem jakoś zabić czas.

– I o mało nie przekreśliłeś się przede mną.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła zdenerwowana Natalia. Podeszła do łóżka, palcami rozwarła mi powieki i zaświeciła niewielką latareczką prosto w siatkówkę. Potem wymierzyła mi policzek i odeszła bez słowa.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Troszeczkę lepiej – odparła Polina. – Dzięki tobie.

– Powiedzieli ci?

– To też podsłuchałam.

– Kiedy?

– Przez sen. A może kiedy już się budziłam. Na granicy między jawą a snem. Teraz chyba łączy nas braterstwo krwi.

A potem szarpnęła mnie za włosy i spytała:

– Boli?

– Co do diabła?! Dlaczego ciągniesz mnie za włosy?

– Bo musisz wreszcie się ocknąć. Dopiero co zażyłeś morfinę.

- Nie śpię. Za to niedługo będę kompletnie łysy.
- Chodźmy na dwór.
- I co będziemy tam robić?
- Po prostu siedzieć. Rozmawiać. Nasłuchiwać.
- Ty tak poważnie?
- W tych murach robię się jeszcze bardziej chora.
- Nie możemy wychodzić na zewnątrz.
- Naprawdę? A pytałeś o to kiedyś?
- Odkąd nauczyłem się mówić.
- Spytajmy Natalię.

Wstała ostrożnie, bo przy białaczce równowaga to cenny towar, a potem wyszła, ignorując moje protesty. Szybko się ubrałem i już prawie zdążyłem wdrapać się na wózek, kiedy Polina wróciła razem z siostrą Natalią.

- Spytaj ją – rzuciła.
- Nie – obruszyłem się.
- O co? – zainteresowała się Natalia.

– Iwan, za parę dni znajdę się parę metrów pod ziemią, więc wyhoduj sobie wreszcie porządne *mudia* i ją zapytaj.

- Polina chciałaby wiedzieć, czy możemy wyjść na dwór – rzuciłem.

– Ależ oczywiście, że możecie, Iwanie, ale przecież ty nigdzie się nie ruszysz – odparła Natalia, a potem odwróciła się w stronę Poliny i wyjaśniła: – Próbuję go wyciągnąć na dwór, odkąd był malutki.

Zanim zdążyłem zaprotestować, Polina pchnęła mnie na wózek.

Nie wiedzieć kiedy znaleźliśmy się w połowie korytarza. Elena, Ludmiła i Kristina („Cześć, Polino, cześć, Iwanie”) obserwowały z niedowierzaniem, jak przekraczam próg szpitala po raz drugi, odkąd tu zawitałem.

Na zewnątrz znajdowała się niewielka betonowa rampa, prowadząca na podwórko obsadzone kwiatami rozmaitych gatunków i kolorów oraz udekorowane całkiem sporą fontanną, która nie była używana ani w dwudziestym, ani w dwudziestym pierwszym wieku. Niebo, jak to na Białorusi, było szare, zasnuwane ciężkimi chmurami.

– Zostańcie tyle, ile będziecie chcieli. Albo nawet w ogóle nie wracajcie – rzuciła Natalia i zostawiła nas samych.

Milczałem. Polina też się nie odzywała. Jak na zamówienie na nasze głowy zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, podczas gdy my siedzieliśmy jak dwa skulone gawrony. Czułem, jak moje mięśnie i ścięgna z wysiłkiem starają się obkurczyć skórę. Polina tymczasem wysunęła różowy język, który wyglądał zaskakująco zdrowo w porównaniu z resztą jej niszczącego ciała, by schwytać parę kwaśnych kropeł.

- To może cię zabić – zauważyłem.

Rzuciła mi spojrzenie z gatunku: „Nie zachowuj się jak ostatni zrzęda”.

Deszcz zaczął przybierać na sile; oboje byliśmy już przemoczeni.

– Wracajmy, zanim się rozchorujesz jeszcze bardziej – zaproponowałem.

Polina przepłukała gardło deszczówką i wypluła ją niczym gargulec.

– No więc o co tak naprawdę chodzi? – odezwała się w końcu.

– To znaczy?

– Czemu starasz się uciec ze swojej skóry?

– Co ty opowiadasz?

Przerwała zbieranie wody w usta i popatrzyła na mnie, po czym otarła krople deszczu z łysej głowy.

– Nieważne. I tak już wiem.

– Co wiesz?

– Tylko na siebie popatrz, Iwan. Cały się trzęsiesz – rzuciła.

– Jest zimno.

– To twoje serce, bijące tuż pod skórą.

– Nic mi nie jest.

– Chcesz usłyszeć moją teorię?

– Pewnie.

– Kiedy siedzisz w szpitalu, wszystko wokół jest takie bezpieczne, bo równie kalekie i połamane jak ty. A na zewnątrz wszystko jest tak pełne życia. Tyle że ty czujesz się lepiej otoczony tym, co kalekie. – Teraz już drżała każda komórka w moim ciele. Nie mogłem pozbierać myśli. Wpatrywałem się bez słowa w samotną kroplę deszczu spływającą powoli po źdźbło trawy. – Dlaczego ciągle tu jesteś, Iwanie?

– Pytasz, czemu jeszcze żyję czy dlaczego wciąż mieszkam w szpitalu?

– Chodziło mi o szpital. Chociaż nie, właściwie to o jedno i drugie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, nieoczekiwanie zrobiła coś naprawdę cudownego. Ujęła moją drżącą twarz w swoje dłonie i pocałowała mnie prosto w usta. I nie odsunęła się po tym tak szybko, jakby zrobiła to wyłącznie z litości. Wciąż trzymała twarz tak blisko mojej i wpatrywała się we mnie tymi nieprawdopodobnie niebieskimi oczami, dopóki pierwszy nie odwróciłem wzroku. A potem ta drobna, krucha istota zaczęła pchać mój wózek przez trawę w stronę potężnego dębu, którego rozłożysta korona mogła nam dać schronienie przed deszczem. Siedzieliśmy tam przez resztę popołudnia i w milczeniu obserwowaliśmy świat.

Wróciliśmy do szpitala przed zmierzchem, a zanim słońce zdążyło na dobre opaść za horyzont, Polina dostała czterdziestostopniowej gorączki. Siostra Natalia biegła zaaferowana po korytarzach w poszukiwaniu paracetamolu, wymachując rękami i głośno wyrzucając sobie, że pozwoliła nam siedzieć na deszczu.

– Czeka ją dzisiaj kąpiel w wodzie z lodem, Iwanie – wyjaśniła w przelocie.

Zawieźli mającą Polinę do Białej Sali, w której znajdowała się duża poobijana

wanna. Pojechałem za nimi, bo w całym tym zamieszaniu i tak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Patrzyłem, jak ją rozbierają, jedna sztuka odzieży po drugiej, aż pozostało już tylko jej blade, posiniaczone ciało, które przywodziło na myśl człowieka torturowanego i głodzonego w kazachskim więzieniu. Nowotwór był niczym wehikuł czasu, odzierając Polinę z wszelkich krągłości, dopóki nie wróciła do stanu sprzed okresu dojrzewania. Potem Katia i Natalia ją uniosły, podczas gdy jej głowa kołysała się bezwładnie niczym wahadło zegara. Ludmiła tymczasem napełniła wannę zimną wodą, do której wsypała dodatkowo wiadro lodu. W zetknięciu z wodą Polina krzyknęła, a potem zaczęła młócić rękami powietrze, wykrzykując rozmaite przekleństwa. Pielęgniarki starały się utrzymać ją w wannie, dopóki nie przestała krzyczeć. Potem już tylko podrygiwała lekko, podczas gdy jej oczy wpatrywały się nieruchomo w sufit.

Polinę przenieśli do Czerwonej Sali, gdzie miała spędzić resztę nocy, ja natomiast pojechałem do laboratorium, by oddać kolejną porcję krwi. Kiedy siostra Natalia wyjęła igłę z mojej żyły i schowała worek do lodówki, wróciłem do Czerwonej Sali, żeby ocierać rozpalone gorączką czoło Poliny i po prostu przy niej być. Na wypadek, gdyby miała się nie obudzić.

Dzień siódmy

День я закахаўся ў⁴⁴

Siódmego dnia po przebudzeniu zorientowałem się, że całą noc przespałem z głową opartą o metalową barierkę łóżka Poliny i palcami ciasno splecionymi z jej palcami. Ponieważ nie miałem dość odwagi, by z własnej woli pokusić się o równie intymny kontakt, uznałem, że po prostu nasze dłonie jakimś cudem znalazły do siebie drogę, kiedy spaliśmy.

Kilka sekund później zjawiała się cuchnąca wódką siostra Elena i wsunęła śpiącej Polinie termometr pod język. Polina poruszyła się z jękiem, ale się nie obudziła. Nawet kiedy siostra Elena wyjęła termometr i przysunęła go sobie do oczu.

– Jaki wynik? – zapytałem.

– Trzydzieści dziewięć.

– Czyli poprawiło się jej.

– Odrobinę.

Wyszła, ale ruszyłem za nią na korytarz.

– I co teraz? – zapytałem.

– Kolejna transfuzja.

– A potem?

– Potem już nic.

Wróciłem do sali i znowu splótłem nasze palce, a potem zacząłem czekać, aż coś się wydarzy. Aż Polina się poruszy czy zmarszczy brwi, albo aż zmieni się rytm jej oddechu, a oczy drgną pod powiekami – w każdym razie czekałem na jakiś sygnał świadczący o tym, że właśnie coś jej się śni. W którymś momencie tego wyczekiwania musiałem chyba zasnąć, bo ocknąłem się z wrażeniem, że się duszę. To Polina ścisnęła mnie za nos. Gwałtownie nabrałem powietrza ustami, a ona roześmiała się szelmowsko, choć jej śmiech szybko ucichł.

– To nie było śmieszne.

– Więc czemu się śmieję? – Znowu zwróciłem uwagę na nasze splecione palce i szybko cofnąłem dłoń. – Miałam dziwny sen – powiedziała.

– To efekt czterdziestostopniowej gorączki.

- Nie chcesz wiedzieć, co mi się śniło?
 - Pewnie, że chcę.
 - Wszyscy tam byli. A kiedy mówię „wszyscy”, to właśnie mam na myśli. Wszyscy, czyli siedem miliardów czy ile tam nas teraz jest. Wszyscy na jednej wielkiej łące, na której nie było niczego innego.
 - Skąd wiedziałaś, że to wszyscy ludzie na świecie?
 - Po prostu wiedziałam. Sam rozumiesz, w snach tak już jest.
 - Czasami.
 - Stałeś obok mnie, moi rodzice i wszyscy, których znałam, też byli blisko. Obcy ludzie znajdowali się gdzieś daleko.
 - Jak wyglądałem?
 - Jak ty.
 - Coś jeszcze?
 - Mama płakała. A wszyscy pozostali – całutki świat, nawet drzewa – po prostu stali, zwrócenii w moją stronę. Ale to było takie dziwne, bo ci ludzie nie mieli twarzy. A poza tym wokół panowała cisza. Tylko Sputnik czekał, jakby nastał koniec świata.
 - Może tak właśnie było.
 - Może. – Dotknąłem jej czoła bez szczególnego przekonania, bo i tak nie miałem pojęcia, jak poznać, czy temperatura jest właściwa, ale bardzo chciałem sprawić wrażenie kompetentnego opiekuna. – Ciągle mam gorączkę, co? – rzuciła Polina.
 - Ale nie taką jak wczoraj.
 - Iwan, możesz położyć rękę z powrotem na mojej dłoni. – Gdy posłusznie spełniłem jej polecenie, zapytała: – Co to takiego?
 - Ale co?
 - No to.
- Uniosła nasze splecione dłonie, a zaraz potem opuściła je z powrotem na łóżko.
- Nic takiego.
 - Dziwne uczucie.
 - Nie chcesz umierać w samotności.
 - Nic więcej?
 - To „więcej” to tylko wina twojego mózgu, szukającego sensu...
 - Bo nasze mózgi potrzebują sensu... wiem. Jesteś tak nieznośnie sobą, Iwanie.
 - Ale mam rację.
 - Może.
 - Gdybyśmy nie siedzieli w tym szpitalu, a ty zauważyłabyś mnie gdzieś w restauracji, byłabyś na tyle piękna, by poczuć obrzydzenie na mój widok, i wystarczająco dobra, by się nade mną litować.
 - Na twój widok nie robię się mokra, Iwanie, jeśli o to ci chodzi.
 - O nic mi nie chodzi.

– Gdybyśmy znajdowali się w innych ciałach, w innym czasie i miejscu, nadal czułabym się tak, jakbyśmy spotkali się niczym dwa kwarki kilka sekund po Wielkim Wybuchu.

– I oczekujesz, że po czymś takim nadal będę cię traktował poważnie?

– Śmiertelnie poważnie.

– Chyba przyda ci się trochę świeżej krwi. Powiem im, że już nie śpisz.

Zawiadomiłem pielęgniarki, że Polina jest gotowa na kolejną transfuzję. A potem wróciłem do swojego pokoju, wybrałem na chybił trafił jakąś książkę i zacząłem czytać z nadzieją, że za chwilę zasnę. Pięćdziesiąt stron później nadal nie zmrużyłem oka.

Skierowałem się więc prosto do jednej z tajnych skrytek Eleny. Pociągnąłem spory łyk wódki, o mało się przy tym nie dławiąc, ale prawie udało mi się dotrzeć z powrotem do mojego pokoju, zanim straciłem przytomność.

Obudziłem się parę godzin później we własnym łóżku, ze sporą plamą wymiocin na piersi. Najpierw przemknęło mi przez głowę pytanie: Czy to moje? A zaraz potem odpowiedź: Oczywiście, że tak. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to pierwszy dzień, kiedy siostra Natalia ma nocny dyżur, co oznaczało, że mogę się ogarnąć już teraz i stawić czoło mocom piekielnym albo poczekać z tym do wieczora i przez ten czas siedzieć w skorupie z własnych wymiocin. Uznałem, że druga opcja bardziej mi odpowiada. Ogarnąłem się tylko prowizorycznie – obmyłem wodą z kranu i zmieniłem ubranie, a brudne ciuchy posłałem w mroczne rejony pod moim łóżkiem.

Zajrzałem do Czerwonej Sali, żeby sprawdzić, jak przebiega transfuzja Poliny. Nie zdziwiło mnie, że ujrzałem ją leżącą w płataninie rurek i pogrążoną w czymś na kształt transu. Co mam ze sobą począć?, zastanawiałem się. Szczerze mówiąc, najchętniej po prostu bym zniknął. I to bardziej niż tylko gdzieś w zakamarkach własnego umysłu, podczas gdy moje ciało nadal będzie wystawione na ciekawskie spojrzenia całego świata. Pragnąłem zniknąć jak Houdini albo Hoffa.

A potem przypomniała mi się gałąź za oknem Dennisa, którą widzieliśmy ósmego dnia, kiedy wyszliśmy z Poliną na dwór, a która, gdyby był to test Rorschacha, przypominałaby mi podjazd dla niepełnosprawnych aż na sam dach. Nie muszę chyba dodawać, że w tym akurat momencie dach wydawał mi się najlepszą kryjówką. Co więcej, brzęk naczyń dobiegający ze stołówki oznaczał, że za jakieś trzy minuty Dennis znajdzie się w świetlicy, żeby kołysać się do wtóru kolejnego odcinka jakiegoś programu czy serialu. Z kolei pielęgniarki będą zajęte albo usadzaniem pozostałych pacjentów przed telewizorem, albo sprzątaniem w kuchni. Innymi słowy, gwiazdy mi sprzyjały.

Zostawiłem wózek w swoim pokoju, przekradłem się do sypialni Dennisa dwa pokoje dalej, włamałem się tam (czyli po prostu nacisnąłem klamkę), podczołgałem się

do okna, otworzyłem je i precisiłem się między czarnymi kratami. Potem wspiałem się na upatrzoną gałąź, o mało nie łamiąc sobie przy tym karku, aż wreszcie dotarłem do krawędzi dachu, gdzie zorientowałem się, że gałąź jest odrobinę dalej od dachu, niż mi się wcześniej wydawało (krótkowzroczność). Ale skoro dotarłem już tak daleko, postanowiłem zaryzykować i stoczyłem się z gałęzi z jak największym (czyli w moim przypadku praktycznie żadnym) impetem, aby wylądować (ledwo, ledwo) na twardym betonie z co najmniej trzema krwawiącymi zadrapaniami na kikutach i łokciu.

Po takim wyczynie nie miałem ochoty się ruszać, więc po prostu leżałem i patrzyłem, jak niebo powoli szarzeje, aż wreszcie nie pozostało już nic poza czernią i wodorowymi odciskami gwiazd. Przy okazji doszedłem do wniosku, że Polina miała rację – nic nie wydaje się już rzeczywiste. Uświadomiłem sobie, że ostatnich kilka miesięcy można tak po prostu wymazać – niczym ślady kredy, po których pozostaną jedynie niewyraźne kontury pierwotnych słów, które potem wyobraźnia obuduje całą skomplikowaną konstrukcją mięśni i ścięgien, a ja nie będę kwestionować faktu, że ciało odpadło od kości, a te wkrótce spoczną głęboko pod ziemią, na której wkrótce powstaną nowe cywilizacje, nowe miasta, zaludniane przez zupełnie nowych ludzi, i tam też rozkwitną nowe miłości, podczas gdy te stare, te niegdyś tak dla nas ważne, znikną w mrokach zapomnienia, a tak w ogóle...

*

chyba jestem pijany.
przepraszam cię, czytelniku.

*

Po godzinie błękitu, trzydziestu minutach szarości zmierzchu i jakichś dwóch godzinach ciemności w moje myśli niespodziewanie wdarł się głos:

– Jakim cudem się tu dostałeś bez prześcieradeł i bandaża? – Polina wysunęła łysą głowę przez wejście na dach.

– Skorzystałem z podjazdu, tego o, tam. Skąd wiedziałaś, że tu będę?

– Nie wiedziałam, ale dach wydawał mi się jedyną opcją po tym, jak sprawdziłam twój pokój, świetlicę, wszystkie klatki schodowe i kolorowe sale. Zajrzałam nawet do łazienki i za kanapy.

– Jak się czujesz?

– Jakby w moich żyłach krążyła zupełnie nowa krew.

– Całkiem nowy gatunek wampira z ciebie.

– Też przemknęło mi to przez głowę. – Przysunęła się bliżej, więc oczywiście

natychmiast zacząłem się trząść. – Zimno ci? – zapytała.

– Niespecjalnie.

Nachyliła się w stronę mojego karku, a moją skórę owionął jej wilgotny, rozgrzany oddech. Zadrzałem jeszcze mocniej.

– Iwan?

– Tak?

– Zdejmij spodenki.

– To mi nie pomoże.

– Poprosiłam cię, żebyś opuścił majtki.

Kiedy to powiedziała, mój *chuj* naprężył się do granic możliwości.

– Nie mogę.

– Ależ możesz.

– Nie.

– Dlaczego nie możesz?

– Bo mój *chuj* całkiem stwardniał.

– Pokaż mi.

– Nie chcę, żebyś go oglądała.

– Mam go dotknąć?

– Nie.

Tak naprawdę właśnie o tym marzyłem. Na szczęście Polina sama ściągnęła mi majtki, podczas gdy ja udawałem, że jeszcze stawiam opór. Mój lekko drżący członek celował prosto w księżyc w pełni, wielki i jasny. Byłem aż nazbyt świadomy rozmiarów i wyglądu mojego *chuja*, podobnie jak tego, że twarz Poliny stanowiła niepokojącą mieszaninę seksapilu i choroby.

– Mogę go dotknąć? – zapytała Polina, ale nie poczekała na odpowiedź, tylko po prostu objęła mój członek dłonią. – Jest miły w dotyku – stwierdziła.

– Nieprawda.

– Podoba mi się – dodała, zanim zaczęła przesuwać dłonią w górę i w dół wzdłuż mojego *chuja*. – Potem przerwała na moment, by polizać dłoń, i natychmiast wróciła do przesuwania nią powoli po moim penisie, czasem tylko zmieniając tempo i położenie. Głowę miałem jasną, spokojną, wciąż jednak czułem się lekko zawstydzony tym wszystkim, a czasem też odrobinę zaskoczony, kiedy po raz kolejny docierało do mnie, że ktoś poza mną samym dotyka mojego *chuja*. – A teraz coś zrobię, dobrze?

– Co takiego?

– Zaraz ci pokażę.

Otworzyła usta i objęła nimi mojego członka, całego, aż do samej podstawy, a potem zaczęła go ssać. Nie cofnąłem się, ale powiedziałem:

– Nie, nie tak.

- A jak? – zapytała, a potem zaczęła go lizać.
- Najpierw ja chcę lizać ciebie.
- Nie, Iwanie. – Wróciła do ssania.
- Dlaczego nie?
- Bo jestem chora.
- Ja też.
- Nieprawda. A teraz rozkoszuj się tym.
- A tobie sprawiłoby przyjemność, gdybym ja ci to robił?
- Tak.
- Więc mi pozwól.
- Nie. Ta chwila jest wyłącznie dla ciebie.

Potem przestała się odzywać, całą uwagę poświęcając mojemu penisowi, którego atakowała teraz i ustami, i wilgotną dłonią z wręcz nabożnym oddaniem. Czasem tylko przerywała na moment, by opisać mi, jak smakuje. I z każdym kolejnym ruchem dłoni zdawała się nabierać coraz większej śmiałości, jakby doskonale wiedziała, czego potrzebuje mój *chuj*, by eksplodować jej w ustach. I to właśnie wtedy w głowie zaświtała mi pewna paskudna myśl, początkowo mikroskopijna i wręcz pozbawiona formy, ale tak czy inaczej nieproszona: Czy ona robiła to już wcześniej? A potem fala jeszcze nienazwanych emocji, stanowiących mieszaninę niepewności, zazdrości i niepokoju, rozlała się po moim ciele, sięgając aż do samego członka. Zacząłem się nawet martwić, że ten zwiotczeje zaraz w ustach Poliny, ale jak zwykle natura zwyciężyła w odwiecznym sporze między ucieczką i walką, a wszelkie myśli rozplynęły się w ustach Poliny, podczas gdy mój *chuj* stawał się coraz twardszy pod naciskiem jej języka.

Polina przerwała na moment, żeby powiedzieć:

- *Twoju sperma, pożałujsta?*⁴⁵.

Tyle że zanim zdążyłem podjąć jakąkolwiek decyzję, rzeczywiście wytrysnąłem prosto w jej usta, choć właściwie nie zdawałem sobie z tego sprawy, zbyt zajęty rozważaniem odkrycia, że połączenie bezbronności i poczucia więzi potrafi zaowocować orgazmem, po którym nic już nigdy nie będzie takie samo, nieodwracalnym trzęsieniem ziemi, po którym w twojej głowie dźwięczy już tylko jedna myśl: „Jeśli ten ktoś odejdzie, umrę”. Nikt mnie przed tym nie przestrzegł, co było straszne, bo przecież Polina wkrótce miała zniknąć z mojego życia.

Ona tymczasem przełknęła ze zmysłowym uśmiechem, rozbawiona zapewne widokiem moich drżących kikutów i rozdziawionych ze zdumienia ust, a potem delikatnie pchnęła mnie z powrotem na beton, który wydał mi się nagle zimniejszy, niż zapamiętałem, i oparła głowę na mojej piersi, żeby wsłuchać się w bicie mojego serca.

- Wszystko w porządku? – zapytała.
- Jasne.

- Podobało ci się?
- Tak.
- To dlaczego nic nie mówisz?
- Powinnaś już wracać. Sama wiesz, co się dzieje, kiedy zostaniesz za długo na zewnątrz.
- Jeszcze pięć minetek.
- Trzy.
- W porządku. Trzy.
- Dzisiaj w nocy dyżur ma Natalia, więc będę mógł z tobą zostać.
- To super.
- Dotknij mojej głowy.
- Dobrze.
- I pogładź.
- Dobrze.
- Dziękuję.

Nie po trzech, ale po pięciu minutach zeszliśmy po tej samej gałęzi, po której się tu wspiałem.

Dennis spał, więc Polina poprawiła mu tylko kołdrę, okrywając go starannie, a potem ruszyliśmy do mojego pokoju. Wśliznąłem się do łóżka, gdzie zasnąłem, słuchając tych wszystkich rzeczy, które opowiadała Polina.

[44](#) Z białoruskiego: „Dzień, w którym się zakochałem”.

[45](#) „Poproszę twoją spermę”.

Dzień szósty

Cienkie zielone teczki

Mam wrażenie, że żadne z nas nawet nie drgnęło przez sen. Najwyraźniej jednym z rzadziej nagłaśnianych skutków ubocznych potężnego orgazmu jest stan bliski hibernacji. W każdym razie kiedy po przebudzeniu uniosłem głowę, zorientowałem się, że leżę dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej poprzedniej nocy padłem na łóżko. Polina obejmowała mnie ramieniem od tyłu, a przez kraty w oknie wpadały pierwsze promienie słońca. Gdyby nie widmo śmierci, wiszące w powietrzu niczym smuga dymu, byłby to wręcz idealny poranek.

Polina musiała chyba wyczuć mój ruch.

– Dzień dobry, Iwanie.

Zakaszłała, a potem lekko zmarszczyła nos.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Jak *chałwa* i *kozinaki*⁴⁶.

– Kłamczucha.

– Miałam naprawdę dziwny sen.

– Znowu?

– Aha.

– Co ci się śniło?

– Że ssałam twojego *chuja*.

– Prawdziwy koszmar.

– No właśnie.

Cmoknęła mnie w nos, choć celowała w oko, a potem uśmiechnęła się szeroko. Chwilę później jej rozbawiona twarz stężała, a z każdą kolejną zmarszczką pojawiającą się na jej czole atmosfera w pokoju stawała się coraz gęstsza. Chociaż tak słabo znałem się na relacjach międzyludzkich, a poziom mojej inteligencji emocjonalnej był pewnie bliski zeru, wyczuwałem przez skórę, że nadciąga coś naprawdę złego.

– Co się dzieje?

– To znaczy?

– Czuję, że zbliża się coś złego.

– To wiadomo już od dawna. Jeden dzień nie zrobi różnicy.

To właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że źle znoszę wszelką niepewność. I natychmiast powiedziałem o tym na głos:

– Źle znoszę niepewność.

– Nie możesz poczekać jeszcze jednego dnia?

– Nie.

– W takim razie muszę ci coś pokazać.

– Dobrze.

– Ale nie mam tego tutaj.

– Jasne.

– Zaraz wrócę.

– Dobra.

Wymknęła się z pokoju niczym mały chochlik, a ja zostałem sam. Siedziałem jak na szpilkach, tak zdenerwowany, że wreszcie zacząłem liczyć w myślach. Kiedy doliczyłem do sześćdziesięciu siedmiu, drzwi znowu skrzypnęły i Polina wróciła. Trzymała w rękach trzy zielone skoroszyty. Wyglądały znajomo, bo każdemu pacjentowi szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu w chwili przybycia zakłada się taką właśnie teczkę.

Usiadła na podłodze przy łóżku, tuż koło mojej twarzy.

– Jesteś taki jak ja, Iwanie. Ciekawski mały dupek, co?

– Chyba tak.

– Jest w tym szpitalu jakiś pacjent, którego akt nie czytałeś?

– Nie, przejrzałem wszystkie.

– No jasne. Max, Alex, Dennis, bliźniaczki. Nawet tych pacjentów, którzy zniknęli stąd przed naszym pojawieniem się tutaj. Zanim ty się tutaj zjawiałeś. Wszystkie są takie interesujące, a nam się nudzi, prawda?

– Prawda.

– Gdzie znajdowałeś te wszystkie tecki?

– W szafce za biurkiem panny Kristiny.

Mówiłem szybko, jakby chodziło o zwykłą formalność w drodze do upragnionego celu.

– A kto uzupełnia rubryki w tych aktach?

– Panna Kris.

– No właśnie.

– Możemy pominąć pytania, na które odpowiedzi już znam?

– Wiesz, co nas różni?

– Ty jesteś włamywaczką? No i z włosami wyglądasz naprawdę ślicznie.

– Owszem, ale poza tym jestem znacznie bardziej cierpliwa od ciebie.

- Możliwe.
- Nigdy nie zaglądałeś do sejfu w gabinecie Michaiła. – Jest zamknięty.
- Zgadza się, ale nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby nocami, kiedy nasz pan dyrektor nie pieprzy akurat Ludmiły, wypróbować każdą możliwą kombinację, co?
- W końcu bym o tym pomyślał.
- Ale nigdy nie zdobyłbyś się na to, by wprowadzić pomysł w czyn.
- Pewnie nie.
- A ja tak.
- I to zrobiłaś.
- Właśnie.
- A w środku znalazłaś te teczki.
- Tak.
- No i?
- Popatrz na pismo. – Z jednego ze skoroszytów wyjęła przypadkową kartkę i wcisnęła mi ją do ręki. – Wygląda znajomo?
- Nie.
- Czyli to nie jest ten sam charakter pisma, co we wszystkich pozostałych teczkach w tym szpitalu.
- Nie.
- Wyjęła spod teczek inną kartkę.
- A to list do miejskiego skarbnika z prośbą o zwiększenie funduszy przeznaczonych na szpital, którego Michaił nie zdążył wysłać, bo mu go ukradłam.
- Podawała mi kartkę. List ewidentnie był pisany tym samym charakterem pisma co akta w zielonej teczce, którą trzymałem w ręce, a to oznaczało, że to Michaił Kruk wypełnił część dokumentów. Nie znałem powodów takiego stanu rzeczy, ale byłem pewien, że Polina zaraz wszystko mi wyjaśni. Skinąłem krótko głową.
- No więc czyje to akta?
- Najstarsze należą do pacjentki o imieniu Albina. Miała białaczkę, jak ja. Nie dożyła ósmych urodzin. Zmarła, zanim przyszedłeś na świat.
- W porządku. Następne?
- Potem mamy Dimitrija.
- Pamiętam go.
- A pamiętasz, na co chorował?
- Na nic.
- I prawie masz rację. Cierpiał na chorobę tkanki łącznej, tak samo jak ty. Chociaż ponoć nazywa się to przykurczami Dupuytrena, co, według jego kartoteki, oznacza, że miał niewielkie wgłębienia w dłoniach, które było widać wyłącznie z bliska.
- No i?
- Dlaczego tu trafił?

– Może właśnie dlatego odszedł.

– Może. Ale odszedł dopiero w wieku piętnastu lat. Trudno wyjaśnić piętnastoletni wyrok więzienia z powodu kilku nieprawidłowo ukształtowanych ściegien.

– A ostatnia teczka?

– To twoje akta, Iwanie.

– Niemożliwe, ja już mam swoją teczkę.

– Masz dwie teczki. – Wręczyła mi teczkę numer dwa. Otworzyłem ją i zacząłem przewracać kartki.

– To są dokładnie te same dokumenty – stwierdziłem. – Po prostu kopie.

– Zgadza się, te same. Poza faktem, że zostały wypełnione pismem Michaiła, no i poza jeszcze jedną rzeczą.

– Jaką?

– W tej znajduje się twoja data urodzenia. Urodziłeś się 6 czerwca 1987 roku. A więc jesteś Bliźniakiem, gdyby cię to ciekawiło. – Przed oczami zamigotały mi czarne plamki, a ściany, których proste kąty od zawsze traktowałem jako coś zupełnie oczywistego, zaczęły się wyginać i wybrzuszać. – Jest jeszcze jedna różnica – dodała Polina.

– Widzę.

Dla twojej informacji, drogi czytelniku, w mojej teczce numer jeden w miejscach przewidzianych na imiona matki i ojca znajdowała się informacja: „nieznana/nieznany”, tymczasem w teczce numer dwa imiona te zostały najpierw wpisane, a następnie zamazane czarnym flamastrem.

– I co o tym sądzisz? – dopytywała Polina.

Byłem zbyt zatopiony w myślach, rozważając wszelkie możliwe wyjaśnienia tego faktu, by zauważyć, że trzęsę się jak epileptyk, a kartka, którą trzymam, powoli zmienia się w kulkę. Nie dało się dostrzec zamazanego flamastrem imienia w miejscu „ojciec”, ale istniało tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego Michaił miałby trzymać w swoim gabinecie te wypełnione jego ręką, a następnie tak starannie ocenzone akta. Diabeł nie próbowałby bronić duszy, gdyby nie chodziło o jego własną. Wolałbym pozostać równie nieświadomy jak cała reszta. Żałowałem, że to niemożliwe, bo choćbym nie wiem jak próbował odwracać głowę, zatykać uszy czy zasłaniać oczy, w myślach nadal będę wykonywał wszystkie te kalkulacje, by wreszcie dojść do jednego możliwego wniosku, który Polina dawno już zdążyła wysnuć: byłem efektem jakiegoś przypadkowego ruchanka. Bękartem Najbardziej Przeciętnego Człowieka na Świecie i piersiastej pielęgniarki. Niechcianym dzieciakiem w najczystszyznaczeniu tych słów, pomyłką wszechświata, złą wiadomością, literówką. Przez całe swoje życie siedzę w zamknięciu, bo jestem żywym wyrzutem sumienia, zapisanym w bękartim DNA.

Chociaż w mojej głowie szalała prawdziwa burza, zachowałem dość przytomności

umysłu, by popatrzeć na Polinę. Płakała, zupełnie jakbym wypowiedział te wszystkie myśli na głos. Może zresztą tak właśnie zrobiłem.

– Iwan, to wcale nie musi być zła wiadomość. Może masz gdzieś rodzinę. Masz brata. A może i mamę.

– Natalia wie?

– Nie mam pojęcia.

– Przecież mógł nas całkiem wymazać. Dlaczego tego nie zrobił?

– Tego na razie nie rozgryzłam.

– Albo jeszcze lepiej, dlaczego w ogóle pozwolił, żebym wyszedł z jej pizdy?

– Naprawdę nie wiem. Facet na pewno ma coś nie tak z głową.

Zanim skończyła mówić, w mojej głowie błysnęła pewna myśl, jasna i wyraźna niczym wypisany wołami transparent w rękach złośliwego losu. Myśl, której nie sposób zawczasu zdusić w zarodku, prawdziwy cios z zaskoczenia prosto w splot słoneczny.

– Od jak dawna to masz? – zapytałem.

– Od jakichś dwóch miesięcy.

– Zanim zaczęliśmy ze sobą rozmawiać?

– Tak.

– Błagam, powiedz, że się mylę.

– Ale w czym?

– To dlatego postanowiłaś w ogóle się do mnie odezwać.

– Iwan, to nie tak. – Polina rozplakała się jeszcze mocniej.

– Właśnie tak. Wzbudziłem twoją ciekawość.

– Nie.

– Nudziłaś się.

– N i e.

– Przyznaj się.

– Może na początku. Ale potem stałeś się dla mnie żywym człowiekiem.

– T y zawsze byłaś dla mnie człowiekiem.

– Zrobiłbyś to samo.

– Bliźniaczkom, jasne.

– Tak mi przykro.

– Wyjdź.

– Nie rób mi tego.

– Wynoś się.

– Ja umieram, Iwanie. W każdej minucie. A nie chcę umierać sama.

Zrobiło mi się zimno gdzieś w środku.

Jakiś cichutki wewnętrzny głos mówił mi, że mogę się mylić, ale to nie miało znaczenia. Ograniczona liczba dni przestała się liczyć, bo jeśli chodzi o Polinę,

straciłem już rozeznanie, co jest prawdą, a co kłamstwem. Poza tym chyba jakaś częśćka mnie pragnęła połączyć siły z białaczką i ją ukarać.

– Żegnaj – rzuciłem.

[46](#) Dwa popularne słowiańskie desery na bazie orzechów i syropu.

Dzień piąty

Dysocjacja

– Co się stało?

Nie zareagowałem.

– Iwan, ta resztką życia, jaka jeszcze w niej została, teraz gwałtownie gaśnie.

Nadal milczałem.

– Jeśli nie przeszkadza ci, że ją zabijasz, nic więcej nie powiem. To twoja decyzja.

Tak wyglądała moja pierwsza rozmowa piątego dnia. Chociaż, technicznie rzecz ujmując, nie była to rozmowa, bo mówiła wyłącznie siostra Katia.

Dwanaście godzin wcześniej odbyłem prawie identyczną pogawędkę z siostrą Natalią, która właśnie zaczęła nocny dyżur. Brzmiało to mniej więcej następująco:

– Co się stało?

Nie zareagowałem.

– Iwan, ta resztką życia, jaka jeszcze w niej została, teraz gwałtownie gaśnie.

Nadal milczałem.

– To ją zabije, a ty będziesz musiał żyć aż po kres swoich dni z tą pustką w sercu, bo nie będziesz potrafił sobie wybaczyć.

Słowa Natalii były odrobinę ostrzejsze. Poza tym wszystkim nie byłem w stanie się odezwać z dwóch powodów.

Powód 1: Nie byłem w stanie się ruszyć. Chociaż próbowałem. Wysyłałem rozkazy do swoich ust, do ręki czy szyi, ale nerwy nie reagowały. Freud pewnie stwierdziłby, że to zjawisko ma zupełnie racjonalne wytłumaczenie. Każdy człowiek jest zbiorem świadomych myśli i podświadomych impulsów, które w jakiś sposób wpływają na nasz organizm. Zazwyczaj dotyczą one sensu i celu naszego istnienia, pytania o to, dlaczego to właśnie ja zostałem wybrany przez wszechświat i jaką rolę mam odgrywać w tym kosmicznym tańcu. Polina, wręczając mi tę zieloną teczkę, mimowolnie odebrała mi to wszystko. Za sprawą jej zuchwałego gestu ziemia usunęła mi się spod kółek wózka, ostatecznie straciłem trwały grunt zbudowany na miłości i zaufaniu do Natalii

oraz łatwości, z jaką mogłem podać w wątpliwość absurdalną historię mojego stworzenia.

Powód 2: W mojej głowie wciąż leżały się kolejne pytania. Zbyt wiele pytań. Niemożliwych do zniesienia. Na przykład:

1. Kto wiedział, że jestem nieślubnym synem Michała? Jego romanse to przecież najgorzej skrywana tajemnica w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu. Czy to oznaczało, że byłem tą najlepiej skrywaną?

2. Czy to tłumaczy tę podświadomą wrogość każdej pielęgniarki i każdego pracownika tego szpitala wobec mnie? Wrogość, którą odczuwałem, odkąd tylko nauczyłem się udawać stany katatonii?

3. Czy to tłumaczy podświadomą sympatię siostry Natalii? Czy moja Natalia, jedyna istota, której ufałem, okłamywała czteroletniego, a potem dziesięcioletniego Iwana? Przez całe moje życie?

Tak więc nie, moja droga Katiu. To nie była moja wina. Moje ciało nadal ani drgnie. Nawet teraz, po tylu dniach, zapisując kolejne kartki, jestem w stanie poruszać jedynie nadgarstkiem. To naprawdę podstawowe minimum, żeby utrzymać długopis albo odkręcić korek butelki. Niestety, o masturbacji mogę zapomnieć.

Muszę jednak oddać sprawiedliwość Polinie – próbowała naprawić to, co zepsuła. Umierający po prostu wiedzą, że w obliczu śmierci nie ma miejsca na unoszenie się honorem. Pamiętam, że tamtego dnia ciągle ktoś pukał do moich drzwi. Co najmniej kilkakrotnie musiała to być Polina, bo jej stukanie brzmiało charakterystycznie. Wyrzuty sumienia mają własną kadencję i rytm.

Poza tym pukały pielęgniarki, które nie czekając na zaproszenie, wpadały do środka, żeby na chwilę zaświecić mi w oczy, a potem pozwolić moim powiekom opaść z powrotem. Wszystkie wyrzucały mi przy tym, że jestem upartym osłem. Wszystkie poza Natalią, która okazała się na tyle sprytna, by kusić mnie najbardziej nieprzyzwoitymi zdjęciami pornograficznymi na Białorusi, choć i ta próba okazała się daremna.

Godziny mijały, a one poddawały mnie różnym badaniom, wbijały igły w żyłę łokciową, przykładaly stetoskopy do piersi, stukały młoteczką, by sprawdzić odruchy, świeciły latarkami w oczy, wkładały dziwnie wyglądające przedmioty do uszu, a wszystko po to, by ostatecznie orzec, że nic mi nie dolega. Siostra Elena przysłała też na mnie nawrzeszczę, ale znowu nic z tego do mnie nie dotarło, tyle że tym razem z ruchu jej warg wyczytałem coś jakby: „To wszystko rozgrywa się wyłącznie w twojej głowie”. Próbowałem nawet odpowiedzieć: „To wszystko rozgrywa się w moim życiu”, ale wyszło mi z tego tylko coś w rodzaju: „Blaaaa ba baa

bi baa”, co i tak było ogromnym postępem, bo po raz pierwszy od osiemnastu godzin z mojego gardła dobył się dźwięk. W końcu, zdesperowane niemożnością postawienia diagnozy, pielęgniarki zdecydowały się uderzyć do najwyższej instancji – samego dyrektora Michaiła, by przyjrzał się sprawie. I ku swojemu zaskoczeniu przekonał się, że ten rzekomo pogrążony w katatonii chłopak szczerzy do niego drobne, spiczaste zęby i próbuje mu wydrapać oczy, pluje na niego, wali go w policzki i ciągnie za resztki włosów, wykrzykując przy tym przekleństwa, które byłyby może zrozumiałe, gdyby wypowiedziano je po rosyjsku. Koniec końców dyrektor zaordynował podany dożylnie koktajl rozmaitych środków uspokajających, po którym wreszcie zapadła ciemność.

To wszystko wydarzyło się piątego dnia – dnia, którego żałuję najbardziej. Nie miałem prawa wiedzieć, że zostały jedynie cztery dni. Ani że tylko jeden z tych dni okaże się możliwy do zniesienia.

*

Zegar wskazuje godzinę 17.45.

Piszę od sześćdziesięciu sześciu godzin.

Jest piąty grudnia 2005 roku.

Czuję, że koniec jest blisko.

Dzień czwarty

Goodbye, Yellow Brick Road

Następnego dnia zbudziłem się w okolicach południa, kompletnie wyprany z emocji.

Byłem jak czysta kartka papieru.

Najpierw pomyślałem sobie, że straciłem jeden dzień, chociaż tak naprawdę nie zależało to przecież ode mnie, bo raczej nie miałem wyboru. Potem przyszło mi do głowy, że koniecznie muszę zakraść się do spiżarni i zwędzić coś do jedzenia. Cokolwiek, co nie będzie kapustą (krakersy z macy i w dziewięćdziesięciu procentach wyjedzony słoik trzyletniego masła orzechowego). Następnie dotarło do mnie, że muszę odnaleźć Polinę. Szukałem w jej pokoju, który okazał się pusty, potem w Czerwonej Sali, gdzie zastałem tylko mamę Dennisa i kilkoro dzieciaków z dziurawymi sercami, walczących o utrzymanie właściwego rytmu stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk, a później jeszcze w świetlicy, na klatkach schodowych i w łazienkach. I nic. To oznaczało, że albo wymknęła się do lasu, by umrzeć wśród drzew i rozmaitych dzikich żyłatek, albo była na dachu. Dlatego wróciłem na klatkę schodową, zostawiłem wózek i wspiąłem się po schodach aż na samą górę, gdzie zacząłem wrzeszczeć w stronę prowadzącej na dach kłapy z czerwonego metalu:

– Z tą łysą głową wyglądasz zupełnie jak chłopak!

Żadnej odpowiedzi.

– Jeśli planujesz tam umrzeć, to przynajmniej pozwól mi się wysmarować masłem orzechowym, żeby biedne sępy miały się czym pożywić!

Nadal nic.

I wreszcie:

– Vitas jest pedziem!

Teraz już miałem pewność, że na dachu jej nie ma.

Wróciłem do świetlicy, ale natknąłem się tam wyłącznie na siostrę Ludmiłę, która właśnie chesała Alexa. Zignorowałem ją i ruszyłem na poszukiwanie lepszego rozmówcy, takiego jak siostra Katia, zajęta superważnym zadaniem układania plastikowych pudełek według rozmiarów i kolorów.

– Gdzie ona jest? – zapytałem.

- Nagle chcesz się z nią zobaczyć?
- Gdzie?
- W swoim pokoju. Wygląda na to, że zgasła w niej ostatnia iskra. Daję jej góra dwa dni.
- Nie ma jej w pokoju. Sprawdziłem.
- W takim razie kręci się gdzieś po szpitalu.
- Dziewczyna może w każdej chwili paść trupem, a wy nie macie pojęcia, co się z nią dzieje?
- Iwan, jak daleko zdoła uciec umierająca dziewczyna?

Uznałem, że na taką uwagę nie warto nawet odpowiadać, i ruszyłem dalej. Minąłem siostrę Elenę, która leżała pijana w sztok pod drzwiami toalety, i pannę Kristinę zaabsorbowaną rozmową telefoniczną, a potem wreszcie wyjechałem przez podwójne brązowe drzwi na zewnątrz, podjazdem w dół, aż na ścieżkę. Daleko za sobą zostawiłem swój lęk, choć miałem wrażenie, jakby gdzieś wewnątrz mnie w pełni dojrzała mucha właśnie próbowała się wyswobodzić.

Krzyknąłem jej imię. Rozejrzałem się wokół. Znowu żadnej odpowiedzi, Poliny na pewno tu nie było. A więc po wszystkim. Więcej jej nie zobaczę. Wybiła godzina zero.

Zrezygnowany, już miałem zawrócić, kiedy nagle dostrzegłem jakiś błysk w trawie pod drzewem, pod którym dwa dni temu schroniliśmy się przed deszczem. Oczywiście podjechanie tam wózkiem w moim obecnym stanie wymagało ode mnie wręcz nadludzkiej siły – ale hej, czego się nie robi dla miłości, prawda? No a poza tym musiałem niezłe wyteńczyć wzrok.

Czarne. To coś było czarne. I błyszczące. Czarne, a jednak błyszczące. Obsydian. Onyks. Wypolerowana lava. Która z tych skał mogła się znajdować w pobliżu szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu? Pewnie żadna. W akcie desperacji chyba czepiałem się nadziei tam, gdzie nie został już żaden jej okruszek. Ale była to tego samego rodzaju desperacja, która sprawia, że przegrywająca drużyna piłkarska w ostatnich sekundach gry odnosi zwycięstwo, więc nie rezygnowałem. I słusznie, bo koniec końców wreszcie znalazłem tę czarną, lśniącą rzecz, która okazała się kawałkiem winylowej płyty. Istniał tylko jeden powód, dla którego ułamany fragment płyty mógł się znaleźć w trawie na szpitalnym dziedzińcu. Co więcej, nie musiałem zbytnio wysilać wzroku, by w lesie otaczającym szpital półkolem dostrzec kolejny połyskujący czernią skrawek, do którego dotarłem po przedarciu się przez koszmarnie wysoką trawę. Rzeczywiście, kawałek płyty, a parę metrów dalej następny. Najwyraźniej Polina postanowiła wcielić w życie swoją własną wersję bajki o Jasiu i Małgosi.

Kilka kolejnych wystrzępionych kawałków dalej zorientowałem się, że trop prowadzi do lasu, a konkretnie w stronę niewielkiej polanki na końcu czegoś na kształt ścieżki wytyczonej przez naturę bez pomocy człowieka. Na kikutach miałem już

całkiem spory stosik czarnych odłamków, kiedy wreszcie dotarłem do końca ścieżki, cały roztrzęsiony, z sercem walącym mi sto trzydzieści uderzeń na minutę. Próbowałem zagwizdać, ale nigdy nie byłem w tym dobry. Zresztą dotąd nie używaliśmy z Poliną tego sygnału, ostatecznie więc dałem sobie z tym spokój i zacząłem ją wołać. Na próżno.

Ziemia w lesie usłana była połamanymi gałązkami i wilgotnymi liśćmi, które stanowiły istny tor przeszkód dla mojego wózka, a jednak ruszyłem dalej, badając możliwości tego środka lokomocji dla niepełnosprawnych, no i oczywiście wypatrując gorączkowo kolejnych kawałków płyty. W końcu dostrzegłem jakiś błysk odrobinę na prawo przede mną. Z trudem ruszyłem naprzód, by przekonać się, że to kolejny fragment płyty. Ten jednak miał pewien napis – До свидания, желтая кирпичная дорога⁴⁷ – co uznałem za znak. Parę metrów dalej natknąłem się na kolejny kawałek, tym razem z czasem trwania piosenki (3:11). I kolejny, tym razem po prostu czarny. A potem koniec. Kręciłem się dobre dziesięć metrów we wszystkich kierunkach i nic.

Zacząłem układać historię ze znanych mi faktów. Pewnej nocy sfrustrowana, samotna Polina wychodzi na dwór i rozbija stare płyty, by dać upust wściekłości, którą musiała tłumić od sześciu miesięcy. Żółta ceglana droga to jedynie okrutny przypadek. Żadnych rymowanek, żadnych ukrytych powodów, tylko gniew. Zacząłem nawet wierzyć, że wcale nie było żadnej ścieżki z okruszków chleba, a ona znowu zniknęła. Dopóki nie spuściłem wzroku na trzynaście kawałków na moich kikutach i nie pomyślałem, że chyba należałoby je poskładać. Może to właśnie w nich kryła się odpowiedź na zagadkę. Zacząłem układać odłamki winylowej płyty na udach. Układałem je, jakby tylko to się liczyło, a z każdym dopasowanym fragmentem czułem przypływ nadziei.

Koniec końców okazało się jednak, że to jedynie stara płyta z plątaniną poszarpanych linii, przywodzących na myśl nogi pająka. Żadnych ukrytych wiadomości ani dalszych instrukcji.

Nic.

Poza śmiechem.

– Nie mogłeś się powstrzymać, prawda, Iwanie? – Polina, w szpitalnym szlafroku, z przykurzoną łysą głową, układała w cieniu małą chatkę z patyczków, z szeleszczącymi listkami w charakterze dachówek. – Obserwuję cię od dobrego kwadransa – wyjaśniła.

W obliczu śmierci nie ma miejsca na unoszenie się honorem.

– To nie była gra?

– Nie. Zwyczajny wybuch złości.

– To była moja druga myśl.

– Bystrzak z ciebie.

– Skąd wiedziałaś, że cię znajdę?

– Nie sądziłam, że będziesz chciał mnie w ogóle szukać.

– Bo nie chciałem. – Polina przeniosła wzrok z powrotem na swoje dzieło. – Zamierzałaś tu umrzeć? – zapytałem.

– Pewnie tak. Zawsze wyobrażałam sobie, że umrę wsparta o drzewo na klifie gdzieś w Anapie. Z widokiem na Morze Czarne. Zniknę, stopię się w jedno z naturą. Nakarmię swoimi zwłokami parę orłosepów. Ta sceneria wydała mi się odpowiednia.

– Romantycznie.

– Chcesz usłyszeć pewną historię?

– Jasne.

– To opowieść o moim ojcu.

– Adiunkcie w klasie fortepianu na uniwersytecie lwowskim w latach 1992–2004.

– Dokładnie.

Oczy Poliny rozbłysły melancholijnie.

– Nie trać czasu na historie, na których opowiadanie nie masz ochoty.

– Nie, chcę ci to opowiedzieć.

– Proszę bardzo.

– Ojciec nauczył mnie grać na fortepianie. Był moim bohaterem. Po prostu ideał.

– Typowa córeczka tatusia.

– Któregoś dnia Lwów nawiedziła powódź, więc odesłano nas ze szkoły wcześniej. Kiedy dotarłam do domu, akurat pieprzył jedną ze swoich uczennic. Na naszym fortepianie. Tym, na którym uczył mnie grać. Miała osiemnaście lat. A ja niecałe trzynaście. Poderwała się, żeby złapać swoją torebkę i majtki. A on poderwał się, żeby zakryć swojego *chuj*.

– A to pech.

– Stałam tam, roztrzęsiona, i nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Pamiętam, że w jednym miejscu tapeta odchodziła od ściany, więc wbiłam w nią wzrok. Ojciec próbował mnie dotknąć, ale zaczęłam krzyczeć. Obiecywał mi wszystko, co tylko zechcę. Zarzekał się, że kocha mnie najbardziej na świecie. Wszystkie te typowe bzdury. Kiedy człowiek ma dwanaście lat, jeszcze nie wie, że to stek kłamstw. Powiedział, że nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobił, żeby to naprawić. Rzuciłam więc, że musi się przyznać mamie. A on na to, że mogę go prosić o wszystko, tylko nie o to. Bo to zniszczyłoby naszą rodzinę. Zapytał, czy kocham swoją rodzinę. Przytaknęłam. A potem dałam mu się przekupić. Cokolwiek zechcę przez następne dwa lata. Prawie mu wybaczyłam.

– Prawie?

– Dwa lata później sytuacja się powtórzyła. Miała szesnaście lat, cycki dopiero zaczęły jej rosnać. To było na dzień przed moimi piętnastymi urodzinami. I znowu usłyszałam te same błagania. Że zrobi wszystko, by to naprawić. Więc udawałam, że nie ma sprawy. Że przyjmę prezenty. Ale zachowałam majtki tej małolaty, były niebieskie. A kiedy mama wróciła do domu, wszystko jej wyapałam. Nie chciała

wierzyć, nazwała mnie kłamczuchą. Dopóki nie pokazałam jej tych niebieskich majtek. Na szczęście żadna z nas takich nie miała.

– I co wtedy zrobiła?

– Wyszła. Na jakieś trzy godziny. Wystarczająco długo, żeby ojciec zdążył mi wybić zęb. Ale najgorsze było to, że tego dnia moja matka umarła. Nie ciałem – jej serce ciągle biło i tak dalej – ale od tamtego dnia była jak kawał niesionego prądem drewna. A ja wciąż obwiniam się, że ją zamordowałam.

– Postąpiłaś słusznie.

– Nie szukam rozgrzeszenia. To nie jest spowiedź. Wystarczającą pokutą okazała się dla mnie choroba. Proces umierania to taki akt oczyszczenia w wydaniu natury. Powinieneś tego spróbować.

– Więc po co mi to wszystko mówisz?

– Bo wszyscy trafimy do piekła, Iwanie. No, może poza tobą.

– Przecież ty nie wierzysz w piekło.

– To bez znaczenia.

– A czemu niby ja będę wyjątkiem?

– Bo jesteś oderwany od reszty świata. Stanowisz karmiczną anomalię. Dlatego zaryzykowałam wszystko, by ci to opowiedzieć. Jesteś wolny.

– Wcale się tak nie czuję.

– To nic nie zmienia. Klatka też może dawać poczucie bezpieczeństwa. Ale kiedy Michaił schował twoje akta i sfabrykował nowe, te, w których napisano, że twoim ojcem czy matką może być praktycznie każdy we wszechświecie albo właśnie wręcz odwrotnie – nikt, wszelkie twoje więzy z nim zostały zerwane. Stałeś się człowiekiem bez historii. Nie musisz żyć z brzemieniem cudzych grzechów. Ja nigdy się nie dowiem, jak to jest. Ale ty jesteś jak czysta kartka. Od jutra możesz zacząć pisać swoje życie na nowo.

– Jeśli ja jestem wolny, to ty również. Nie jesteś odpowiedzialna za grzechy ojca.

– Odegrałam swoją rolę w tym wszystkim. Brałam w tym udział. Chociaż teraz to już bez znaczenia. Wiem tylko, że po śmierci rodziców przyjrzałam się im uważnie. I zobaczyłam to w ich oczach. A potem w moich własnych. Wsączyli się we mnie – kropla po kropli. A ja już wiedziałam, że pozostaniemy tak związani na zawsze. – Urwała, żeby poprawić kilka gałązek i zdjąć dach z liści, dzięki czemu mogła zajrzeć do środka. A potem dodała: – Ty nie jesteś związany z niczym.

– Jestem – odparłem. – Z tobą. – Podniosła głowę i posłała mi dwunastoprocentowy uśmiech, co skłoniło mnie do zapytania: – Mówiłem ci już, że jesteś zaskakująco piękna jak na łysą dziewczynę?

Wypuściła patyk z palców i podczołgała się w moją stronę, pewnie dlatego, że na nic więcej nie miała siły.

Potem ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie po raz drugi. Tyle że ten

pocałunek był zupełnie inny. Nie krył się w nim żaden fałsz. Sam nie wiem, czy w tamtym momencie ogarnęła ją jakaś królewska, pozbawiona wszelkiego egoizmu litość, czy może tak jak ja uwierzyła na moment, że wcale nie jestem odrażający. Zresztą to i tak bez znaczenia. Ogarnęło mnie to uzależniające poczucie mocy. Nachyliłem się i ucałowałem jej wilgotne wargi. Zrobiłem to chyba nawet jeszcze mocniej, bardziej natarczywie niż ona, ale sam nie miałem już pojęcia, co wyczyniam, bo władzę nad moim ciałem przejęły pierwotne instynkty i to właśnie one kazały mi całować Polinę tak, jak moim zdaniem powinien wyglądać namiętny pocałunek. A potem nagle zapragnąłem, żeby odrobinę się od niej odsunąć i spojrzeć jej w oczy, by spróbować z nich wyczytać, jak zareagowała. Zanim jednak zdążyłem to zrobić, przypomniałem sobie, kogo właściwie całuję, i poddałem się tej nieuchronnej lawinie. Zacząłem ssać górną wargę Poliny, rozkoszować się jej smakiem przez tych cudownych kilka sekund, zanim wszystko się nie popsuło.

Poczułem znajomy metaliczny posmak, co oznaczało, że najprawdopodobniej Polina krwawiła prosto w moje usta. Kiedy się odsunąłem, dostrzegłem krew sączącą się z kącików jej warg. Bez namysłu otarłem ją delikatnie rogiem swojego białego T-shirtu. Polina popatrzyła na mnie z niepokojem. Kiedy dostrzegła krwawe plamy, krzyknęła histerycznie.

– Wracamy – zakomenderowałem.

Próbowała wstać, ale natychmiast opadła z powrotem między jesienne liście.

– Kiedy tu przyszłam, wiedziałam, że więcej już nie wstanę – powiedziała.

– Nie ma mowy.

Próbowałem jednym szarpnięciem posadzić ją sobie na kikutchach nóg, ona też starała się mi pomóc – po kilku minutach takich wysiłków udało nam się dowieść, że dwie połówki człowieka są równie dobre jak cały człowiek. Polina opadła na mnie ciężko i zacisnęła palce na moim zakrwawionym podkoszulku, a ja zacząłem powoli toczyć wózek. Nie miałem pojęcia, jak długo uda mi się tak wieźć ciężar dwóch osób ani czy przypadkiem Polina właśnie nie umiera, więc zacząłem wołać o pomoc. Wołałem Katię i Ludmiłę, i Elenę, chociaż nigdy wcześniej żadnej z nich o nic nie prosiłem. Ale to Polina nauczyła mnie, że w obliczu śmierci nie ma miejsca na unoszenie się honorem. Wrzeszczałem tak, dopóki kompletnie nie zdałem gardła, aż z moich ust przestały się wydobywać jakiegokolwiek dźwięki. A jednak nadal krzyczałem. Byliśmy jakieś pięć metrów od lasu, gdy ciałem Poliny zaczęły wstrząsać konwulsje. Byliśmy dwanaście metrów od lasu, kiedy krwawienie z jej ust zamieniło się w czarny jak Styks wodospad, gromadzący się na moich spodenkach w prawdziwe jezioro. Byliśmy osiemnaście metrów od lasu, kiedy jak przez mgłę dostrzegłem postacie w niebieskich uniformach, wybiegające ze szpitala. Byliśmy dwadzieścia jeden metrów od lasu, kiedy Katia i Elena chwyciły bezwładne ciało Poliny i ruszyły z nią w stronę wejścia.

– Próbujesz się zabić? – usłyszałem jeszcze połajanki Katii.

Zostawili mnie na zewnątrz samego, przedzierającego się przez wysoką trawę na podobieństwo jednorękiego demona. Niebo przypominało ciężką granitową płytę, jak każdego innego listopadowego dnia. Krople deszczu padały na moją twarz, kiedy wręcz nadludzkim wysiłkiem przedzierałem się dalej w żółtym tempie, podczas gdy moja ukochana właśnie się wykrwawiała.

Trzy minuty później znalazłem się w szpitalu, który przypominał miasto duchów. Wszyscy pacjenci trafili do swoich pokoi, a pielęgniarki tłoczyły się nad Poliną w Czerwonej Sali. Obserwowałem uważnie ich poczynania od progu. Siostra Elena wycierała krew z ust i oczu Poliny, siostra Katia poklepywała ją po policzkach, a siostra Ludmiła podłączała rozmaite rurki. Mnie pozostawało już tylko przyglądać się beczynnie – po raz pierwszy w życiu – procesowi powolnego umierania. Dopóki nie napatrzyłem się dość i nie zacząłem wrzeszczeć na pielęgniarki, żeby pobrały ode mnie więcej krwi.

– To nic nie da, Iwanie – rzuciła któraś.

– I tak wszystko z niej wyleci – dodała druga.

– Pobraliśmy ci prawie litr w ciągu trzech dni – przypomniała trzecia.

– To cię zabije – wyjaśniła pierwsza.

Mówiła prawdę – mogło się tak stać. Już po drugiej transfuzji czułem się tak, jakby w moich żyłach wciąż krążyła wódka. Ale nie mogłem już znieść tej bezsilności.

– Ile jej zostało? – zapytałem.

– Może kilka godzin – odparła druga z pielęgniarek.

– A teraz idź stąd – dodała trzecia.

Czego oczywiście nie zrobiłem. Wycofałem się po prostu parę centymetrów, żeby znaleźć się poza zasięgiem ich wzroku. I zapadłem w katatonię. Tyle że tak naprawdę słuchołem uważnie. Całego tego medycznego żargonu rozbrzmiewającego w Czerwonej Sali, który mieszał się w mojej głowie ze wspomnieniami. A potem nagle zamieszanie w Czerwonej Sali ucichło, zapadła cisza tak wielka, że słychać było tylko popiskiwanie kardiomonitorów. Pielęgniarki wyszły na korytarz, bez słowa wyminęły moje nieruchome ciało. Gdy tylko zniknęły mi z oczu, czym prędzej wróciłem do sali i ująłem śpiącą Polinę za rękę. Jej oczy poruszały się niespokojnie pod powiekami, a mnie na ten widok ogarnął wielki smutek, bo przecież nie mogło się jej śnić nic dobrego. Zacisnąłem mocniej palce na jej dłoni z nadzieją, że jakimś cudem jej neurony przekażą tę informację do jej mózgu, by wiedziała, że nie jest sama. Chociaż wiedziałem, że to i tak bez znaczenia, bo umieranie to najsamotniejszy proces w życiu człowieka. Polinę mogłyby otaczać teraz tłumy ludzi, opiekujących się nią czule i wciąż na nowo przypominających jej, jak bardzo jest dla nich ważna, a jednak nadal umierałyby w samotności. Bo kiedy ten moment w końcu nadchodzi, każdy musi zrobić krok w ciemność – sam.

Parę stanowiących jedną białą plamę godzin później Natalia zjawiała się wreszcie na

nocnym dyżurze.

– Pobierz mi więcej krwi – powiedziałem, kiedy niezgrabnie próbowała przycisnąć mnie do piersi. Przewróciła oczami. – Proszę – dodałem. Skrzyżowała ramiona na piersi. – Błagam.

– To może cię zabić.

– Bzdura.

– Tego nie wiesz.

– Mam silny organizm.

– To i tak nic nie da, Iwanie. Ona odchodzi.

– Może w ten sposób zyskać jeszcze jeden dzień.

– Ciągłe będziesz chciał jeszcze jednego dnia.

– To prawda. Ale to ważne, bo dziś nie zdążyłem się z nią pożegnać.

Najwyraźniej trąciłem właściwą strunę, bo Natalia zaczęła przewracać zawartość szuflady w poszukiwaniu igły i worka.

– Daj ramię – powiedziała.

Wkłuła mi się w żyłę i pobrała krew, a wtedy mój mózg odmówił posłuszeństwa, przed oczami zatańczyły mi koła. Czuję jeszcze, jak Natalia klepie mnie po policzkach.

Zostań ze mną, Iwanie.

Zostań.

Nie posłuchałem.

[47](#) *Goodbye, Yellow Brick Road*, najprawdopodobniej tytuł piosenki Eltona Johna z 1973 roku.

Dzień trzeci

Dzień walizki

Ocknąłem się w środku nocy, tuż po trzeciej. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, był ogromny siniak na moim czole, nos też miałem opuchnięty i obolały. Dopiero po chwili zorientowałem się, że nadal siedzę w wózku w Czerwonej Sali. Polina spała, a może zapadła w śpiączkę, tego nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, czy Natalia w ogóle przetoczyła jej krew. Wiedziałem tylko, że z nosa Poliny wystają rurki, które miały jej dostarczać tlen. Zorientowałem się też, że jeśli wpatruję się w jeden punkt zbyt długo, w głowie zaczyna mi wirować, więc położyłem ją tuż obok głowy Poliny, by powstrzymać zawroty. Pamiętam, że kilka odrastających włosków połaskotało mnie w policzek, kiedy przytuliłem twarz do jej łysej czaszki. A potem nagle zawroty ustąpiły. I znowu zapadła ciemność.

Tym razem zbudziło mnie potrząsanie za ramię. Siostra Natalia. Była piąta rano.

– Iwan, słyszysz mnie?

– Niestety.

– Muszę już iść. Zjedz trochę tulskiego chleba, to ci pomoże.

– W czym?

– Podniesie cię trochę na duchu.

– Pobrałaś mi krew?

– Sam mnie o to błagałeś.

– I przetoczyłaś ją Polinie?

– Tak.

– Obudzi się dzisiaj?

– Nie wiem.

– Nie zostawiaj nas.

– Ja też potrzebuję snu, *maja lubow*⁴⁸.

– Przecież możesz się przespać tutaj.

– Gdzie?

– W moim pokoju.

– Nie ma mowy. Dobrze wiem, co się dzieje na twoim łóżku.

– Zobaczymy się wieczorem?

– Oczywiście.

Natalia poszła do domu, a ja ugryzłem kęs chleba, dzięki czemu na moment przestało mi wirować w głowie. Wykorzystałem tę okazję, by popatrzeć na Polinę. Jej skóra miała sinofioletowy odcień – cóż za zmiana w zestawieniu z niewinnie porcelanową cerą, na którą zwróciłem uwagę, ledwie przekroczyła próg tego szpitala. A w miejscach wolnych od sińców dostrzegłem rozmazaną krew. Kości twarzy i ramion niemal przebijały skórę, kolana przypominały te u więźniów obozu w Auschwitz, których zdjęcia widywałem czasem w telewizji. Lekko rozchylone usta odsłaniały zęby, zabarwione krwią sączącą się z dziąseł. Oczy też miała podkrążone. Płytki, urywany oddech sprawiał wrażenie, jakby ktoś wcisnął jej w miejsce płuc urodzinowe baloniki. Mógłbym tak długo ciągnąć, ale obawiam się, że wówczas, drogi czytelniku, już nigdy nie pozbyłbyś się tego obrazu z głowy. Przesunąłem opuszkami palców po jej posiniaczonym policzku, a potem na powrót położyłem głowę na jej poduszce i zasnąłem.

Następne przebudzenie było wyjątkowo gwałtowne, bo Polina znowu próbowała udusić mnie przez sen. Z trudem złapałem oddech, a ona zaczęła się śmiać jak wariatka.

– Coś jest z tobą naprawdę bardzo nie w porządku – prychnąłem.

– Nie mamy wiele czasu, więc muszę cię prosić, żebyś pojechał do mojego pokoju i zajrzał pod łóżko – odparła.

– Co takiego?

– Pojedź do mojego pokoju i zajrzyj pod łóżko.

– Po co?

– Iwan, zdążę umrzeć, czekając, aż wyświadczysz mi tę drobną przysługę.

– W porządku.

Odwróciłem się i pokonałem trzy korytarze i dwa zakręty, które dzieliły mnie od pokoju Poliny. Kiedy otworzyłem drzwi, poczułem lekki zapach stęchlizny. Czym prędzej zsunąłem się na podłogę i poczołgałem do łóżka, pod którym znalazłem staromodną walizkę. Z trudem wywlokłem ją na środek pokoju. Potem otworzyłem zatraski i zajrzałem do środka. Najpierw mój wzrok przyciągnął plik banknotów, który po przeliczeniu okazał się zawierać prawie dziesięć tysięcy rubli⁴⁹. Potem natknąłem się na dużą rozkładaną mapę Mozyrza, z kilkoma punktami zakreślonymi na czerwono: restauracjami, punktami alternatywnej opieki medycznej i szczególnie ważnymi zabytkami. Poza tym znajdowało się tam jeszcze sześć paczek ciastek, trochę krakersów, dwie butelki wody, mały scyzoryk, parasolka, zamek szyfrowy, zegarek, kompas, kilka książek rosyjskich mistrzów literatury, wliczając w to *Lolite*, *Mistrza i Małgorzatę* oraz *Zbrodnię i karę*. Był tam też pamiątnik Poliny.

Wcisnąłem zeszyt w szorty, spakowałem walizkę z powrotem i wepchnąłem ją pod łóżko, a potem wróciłem do Czerwonej Sali.

– Dziękuję – rzuciłem. – Żegnaj.
– Ależ z ciebie dupek – wyszeptała, bo wciąż brakowało jej tchu.
– Chciałem się z tobą pożegnać już teraz, bo wczoraj o mało nie umarłaś, zanim zdążyłem to zrobić.

Obojgu nam zaszklily się oczy, co było całkiem miłe.

– Dziwny jesteś – rzuciła.
– Wiem.
– Może najdziwniejszy na świecie.
– Wiem.
– Wykorzystasz walizkę?
– Nie wiem.
– To nie jest właściwa odpowiedź.
– Jeszcze nie potrafię powiedzieć.
– Specjalnie dla mnie?
– W porządku.

Tak tylko powiedziałem, ale wcale tak nie myślałem.

– Myślisz, że będzie bolało? – zapytała.
– Co takiego?
– Umieranie.
– Nie. Już i tak dostałaś mnóstwo morfiny.
– A jak myślisz, będą tam potwory, tak jak twierdzą Tybetańczycy?
– Myślę, że te potwory już i tak w tobie są.
– Jak mam je zabić?
– Chyba nie musisz ich zabijać.
– Więc co?
– Moim zdaniem powinnaś je zaprosić. I pozwolić im zostać. Nauczyć się z nimi żyć.

Dzięki temu, kiedy już umrzesz, przestaną być potworami.

– Tak bardzo się boję. – Wreszcie wszelkie tamy puściły, a Polina rozplakała się jak małe dziecko. Może dlatego, że wzięła sobie moją radę do serca i wpuściła potwory. Ocierałem jej łzy najlepiej, jak umiałem, ale było ich tak wiele, że nie nadążałem tego robić. – Boję się. Tak bardzo się boję – powtarzała.

– Nie bój się strachu – próbowałem przekonywać.

Ona wciąż powtarzała, jak bardzo się boi, a ja wciąż ocierałem jej pomarańczowe łzy. I całowałem jej umorusane policzki. Trochę krwi dostało mi się też do ust, bo poczułem na języku metaliczny posmak. To była po części zła krew, a po części przecież moja.

– Chcę do mamy – wyszeptała tymczasem Polina. – Mamusiu! – powtarzała raz za razem, jak to czasem robią płaczący ludzie.

W końcu słowa ucichły. Myślałem nawet, że może jest już po wszystkim. Że Polina

umarła. Ale monitor podłączony do jej serca ciągle cichutko popiskiwał. Wymówiłem jej imię kilka razy, ale nie odpowiedziała. Już nigdy więcej się nie odezwała. Tak jak podejrzewałem, pomimo mojej bliskości Polina miała umrzeć w samotności.

Resztę dnia spędziłem przy jej łóżku. Od czasu do czasu przeczesywałem palcami jej nieistniejące włosy i nasłuchiwałem uważnie uspokajającego popiskiwanie kardiomonitora. Jakimś cudem jej twarz przybrała tak spokojny wyraz. Czasami szeptała coś niezrozumiale, a ja podrywałem się z nadzieją, że może jednak wraca z tej pustki. Szybko jednak zrozumiałem, że nadal tkwi uwięziona w swojej własnej głowie, pewnie prowadząc negocjacje z potworami.

[48](#) „Skarbie”, „kochanie”.

[49](#) Około tysiąca dolarów amerykańskich.

Dzień drugi

Dzień majaków

Następnego dnia Polinę podłączyli do obrzydliwej maszyny, która sączyła morfinę do jej krwi i utrzymywała ją w odpowiednio nieobecny stan. Ścisnąłem swoją bladą, kaleką ręką jej drobną porcelanową dłoń przez cały ranek, podczas gdy do sali wciąż ktoś zaglądał, by sprawdzić, czy Polina już umarła. Była podłączona do kroplówki z solą fizjologiczną, która miała odpowiednio ją nawodnić, a jednak usta miała coraz bardziej spierzchnięte. Niemal na moich oczach jej wargi zamieniały się w spękaną pustynię.

Natalia nadal pracowała na noc, a jednak jakimś cudem tego ranka zdołała się pojawić.

– Co ty tu robisz? – zdziwiłem się na jej widok.

– Chciałam ci to dać. – Wyglądało jak lizak, tyle że zamiast cukierka na końcu patyczka znajdowała się wilgotna gąbka. – Możesz zwilżać jej tym wargi – wyjaśniła Natalia i pokazała mi, jak to robić, ostrożnie zwilżając wodą język i usta Poliny. Następnie zademonstrowała mi jeszcze, jak ponownie nasączyć gąbeczkę. – Będę na miejscu – dodała. – Przez cały czas.

– Przecież nie musisz.

– Ale chcę.

– Będziesz nocować w pokoju Poliny?

– Tylko tam jest wolne łóżko.

– Nie zaglądam pod nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Dobrze, Iwanie. – Nachyliła się, ujęła mnie za podbródek i popatrzyła mi w oczy z macierzyńską czułością. – Teraz to ty jesteś najbardziej samotny z was dwojga – dodała. – I nie próbuj zaprzeczać.

Kiedy to powiedziała, uświadomiłem sobie, że i ona była kiedyś na moim miejscu.

– Dam sobie radę – zapewniłem.

– Wiem. Gdybyś mnie potrzebował, będę zmywać naczynia.

Jeśli nie liczyć pielęgniarek, pojawiających się od czasu do czasu, by spisać dane z rozmaitych monitorów wyświetlających parametry życiowe Poliny, właściwie tylko ja się nią tego dnia opiekowałem. Zwilżałem jej usta, sprawdzałem puls i temperaturę, żeby porównać je z danymi wyświetlającymi się na monitorach, delikatnie poruszałem jej ręką czy nogą, by zapobiec odleżynom (nawet jeśli, to i tak nie miało już najmniejszego znaczenia), uważnie sprawdzałem ilość soli fizjologicznej w kroplówce i morfiny dostarczanej do krwi Poliny, żeby wezwać kogoś, gdy poziomy były zbyt niskie, nie zważając na dasy pielęgniarek, ocierałem pot z jej rozgorączkowanej, łysej głowy, poprawiałem poduszki, nuciłem znane przeboje (fałszywie, więc nawet nie wiem, czy była w stanie rozpoznać te melodie). Przede wszystkim jednak czekałem na jakiś znak, że Polina wraca z tymczasowych wakacji gdzieś w swojej głowie.

O jedenastej Polina zaczęła majaczyć, chociaż może wcale nie były to majaki, a jakaś potężna bitwa o jej kolejne wcielenie z gatunku tych opisywanych w *Tybetańskiej Księdze Umarłych*. Zaraz potem uświadomiłem sobie jednak, że takie myśli są sprzeczne z trzema zasadami iwanizmu, więc zdusiłem je w zarodku.

Niełatwo było rozszyfrować jej szept, mamrotanie, jęki i gardłowe dźwięki, ale bardzo starałem się zapełnić te luki prawdopodobnymi szczegółami. O 11.17 ewidentnie była Kleopatram opłakującą samobójczą śmierć Marka Antoniusza. Godzinę później, mniej więcej w okolicach 12.31, była sobą – siedmiolatką jadącą z rodzicami autem przez Syberię i wypytującą ojca, dlaczego księżyc nie spada na ziemię. O 13.00 była kochanką Józefa Stalina, a o 14.30 znalazła się wewnątrz swojego psa Sputnika, z którym się wychowała.

A potem – o 15.17 – wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Coś, co wywołało u mnie prawdziwą kaskadę biochemicznych reakcji, od czubka głowy aż po kikuty nóg. W drzwiach Czerwonej Sali stanęły dwie obce kobiety. Jedna była w wieku siostry Eleny, druga wyglądała na rówieśnicę Poliny. Spanikowałem, bo przecież kompletnie nie miałem pojęcia, kto to taki. W szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu rzadko pojawiają się goście. A tym bardziej, kiedy ktoś miał umrzeć – bo przecież wszyscy podświadomie wyczuwamy zapach śmierci i staramy się go unikać niczym najgorszej zarazy. I właśnie dlatego pojawienie się tych dwóch nowych postaci w tym akurat momencie było tak zaskakujące. Powiedziałbym nawet, że w złym guście.

– Dzień dobry – odezwała się ta starsza.

– Kogo szukacie? – rzuciłem. – To Czerwona Sala, tu ludzie umierają. Chyba nie ten pokój chciałyście znaleźć.

– Pielęgniarka powiedziała, że to właśnie tutaj. Pokazała nam drogę – wyjaśniła starsza kobieta. Młodsza sprawiała wrażenie zdezorientowanej i przejętej.

– No cóż, a kogo konkretnie szukacie?

– Poliny Puszkina. Jest tutaj? – tym razem odezwała się młodsza.

Miałem ochotę zaprzeczyć. Zamiast tego przerwałem tylko zwilżanie ust Poliny.

– A wy to kto? – zapytałem.

Wymieniły spojrzenia, jakby próbowały podjąć bez słów decyzję, która z nich ma to powiedzieć na głos.

– Nazywam się Maria Markow, a to moja córka Katerina. Przyjaźniły się z Poliną w szkole.

– Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami – potwierdziła dziewczyna.

– Skąd w ogóle wiecie, że Polina tu jest? – zwróciłem się bezpośrednio do niej. – Jej rodzice nie żyją.

Znowu wymieniły z niepokojem spojrzenia.

– Dostałam od niej list. Jakiś miesiąc temu – wyjaśniła ta.

– Co pisała?

– Że mieszka tutaj. I jest bardzo chora. Może nam pan powiedzieć, gdzie ona jest?

– Tutaj.

– Gdzie?

– Tu. – Wskazałem bezwładne ciało Poliny, na co obie kobiety gwałtownie pobladły.

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, jak bardzo Polina jest wyniszczona. Ja patrzyłem na nią każdego dnia, więc dla mnie wciąż była tą samą piękną dziewczyną, którą znałem, nawet łysa i krwawiąca. Dla kogoś, kto pamiętał ją zupełnie inną, a teraz widział w takim stanie po raz pierwszy, jednak musiał to być szok.

– To nie jest Polina. – Młodsza kobieta pokręciła głową.

– Przysięgam, że jest.

– Co się stało z jej włosami?

– Chemioterapia.

– A jej oczy?

– Komórki krwi nie pracują prawidłowo.

Dziewczyna zaczęła płakać.

– *Maja lubow'*, przecież wiedziałaś, że Polina jest chora. Rozmawialiśmy o tym – odezwała się starsza.

– Czy ona umrze?

– Za kilka godzin – odparłem.

Dziewczyna zaczęła płakać jeszcze mocniej. Miałem ochotę powiedzieć im obu, że słone łzy wywołują u chorych na białaczkę nieoczekiwane i fatalne w skutkach reakcje. Nie chciałem dzielić z nimi śmierci Poliny.

– Co się stało z jej dziąsłami?

– Już wam mówiłem, zła krew.

Zastanawiałem się, co pomyślałaby o mnie Polina, gdyby usłyszała, że zachowuję się jak ostatni dupek wobec jej przyjaciółki, a tymczasem dziewczyna okrążyła łóżko. Polina wymamrotała kilka słów w malignie.

– Czy ona próbuje mi coś powiedzieć? Wie, że tu jestem? – zapytała dziewczyna,

dławiąc się łzami.

– Nie, wydaje mi się, że gra w pokera z Oscarem Wilde’em.

– Hę?

– Nic.

– Dlaczego jej dotykałeś?

– Opiekowałem się nią.

– Dlaczego tak wyglądasz?

– Z tego samego powodu, co ty – kiepskie geny.

– Nie lubię cię.

– A ja mam cię w nosie.

– Przestańcie! – krzyknęła matka.

Dziewczyna w końcu dała mi spokój i odwróciła się z powrotem w stronę Poliny. Próbowала czule pogłodzić ją po policzku, bo ewidentnie uznała to za właściwe postępowanie, ale było widać, że tak naprawdę czuje przede wszystkim obrzydzenie. Przypominała mi jajko, które wygląda dokładnie tak, jak jajko wyglądać powinno, ale które okazuje się niedogotowane w środku, kiedy człowiek zabiera się do jego jedzenia.

– Mamo, trzeba było przyjechać wcześniej. Ona jest już martwa – powiedziała dziewczyna i znowu się rozszlochala, przyciskając głowę do piersi przyjaciółki.

Widziałem, jak jej łzy powoli wsiąkają w koszulę Poliny. Miałem ochotę przeskoczyć przez łóżko i z całej siły walnąć tę idiotkę w jej wielką opuchniętą głowę.

– Lepiej tego nie rób. Łatwo nabawia się sińców – powiedziałem w końcu.

– Przestań odgrywać eksperta i pozwól mojej córce pożegnać się z przyjaciółką – wtrąciła matka.

– Nie mogę tu zostać – odezwała się w końcu dziewczyna. – Po prostu nie mogę. – Potem podniosła głowę i spróbowała popatrzeć Polinie w twarz. Było zupełnie tak, jakby patrzyła prosto w słońce, dopóki to nie wypaliło jej siatkówek, bo nagle odwróciła głowę, wykrzywiając wargi. – Chodźmy, mamo – dodała.

– Ale dopiero co przyjechałyśmy – zaproponowała kobieta.

– Przecież powiedziałam: ja naprawdę nie mogę tu zostać – upierała się córka.

– Jechałyśmy tu tyle... – matka próbowała ją jeszcze przekonywać, ale kiedy młoda wyszła z sali bez słowa, spojrzała na Polinę, a potem przeniosła wzrok na mnie.

– Kochasz ją – stwierdziła.

– Nie wiem, co to znaczy – odparłem.

– Oczywiście. Jesteś prawdziwym dupkiem. Ale i tak mi cię żal.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyszła. A jednak szepnąłem w ślad za nią:

– Dziękuję.

Zostałem sam, zdezorientowany. Nie wiedziałem, czy cieszy mnie, czy raczej smuci fakt, że sobie poszły.

Większość tego popołudnia spędziłem na zastanawianiu się, jak długi jest jeszcze lont, bo stało się oczywiste, że Polina stanowi tykającą bombę zegarową. Tyle że była to magiczna bomba, która nie uszkodzi mojego ciała, tak jak zrobiłby to normalny ładunek wybuchowy. A właśnie taki byłby znacznie milej widziany, jeśli wziąć pod uwagę stan mojej fizycznej powłoki, której przecież niewiele już mogło zaszkodzić. Tymczasem śmierć Poliny będzie dla mnie oznaczała przede wszystkim prawdziwą katastrofę emocjonalną, choć jej skutków na razie nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić.

Po godzinie czy dwóch takiego bicia się z myślami z otępienia wyrwał mnie głos: „Ale czyż ten lont już się nie wypalił, a bomba nie eksplodowała?”. Uniosłem głowę i przekonałem się, że to matka. Pojawiła się po drugiej stronie łóżka Poliny, dokładnie tam, gdzie jeszcze kilka godzin temu stała przyjaciółka mojej ukochanej.

„Ona już nie żyje”, dodała matka. „Pozwól jej odejść”.

„To prawda, nie żyje. Ale też i kłamstwo”, próbowałem jeszcze walczyć.

„A niby w jaki sposób ona nadal żyje?”, dopytała matka.

„W taki, że wciąż mogę się nią opiekować”, przekonywałem. „I w taki, że przecież może jeszcze wydarzyć się coś nieprawdopodobnego”.

„Jak na nihilistę masz w sobie sporo nadziei”, stwierdziła matka.

„Nie interesują mnie już etykiety, mamo. Bo cóż to teraz oznacza nihilista?”.

„Na dokładkę pytania retoryczne? Nie poznaję mojego małego synka”.

„Nie jestem pewien, czy sam siebie jeszcze poznaję”.

„Lepiej rozpocznij proces żałoby, *maja lubow*”.

„Nie mogę”.

„Dlaczego nie?”.

„Po prostu nie mogę”.

„Bo nie chcesz. Przecież za godzinę, tej nocy czy nawet jutro rano rozpocznie się agonia. A ty nadal będziesz z tym walczył. Nie będziesz chciał przyjąć do wiadomości, że to się wydarzyło. Wciąż będziesz wierzył, że pochowali tę dziewczynę żywcem. Więc lepiej już teraz daj temu spokój”.

„Chciałbym”.

„To jedyna rozsądna rzecz, jaką możesz teraz zrobić”.

„Rozsądek jest przereklamowany”.

„Jeszcze miesiąc temu nie był”.

„Trafiony zatopiony, mamo”.

„Bo ja wiem lepiej”.

„Jeśli cię nie posłucham, to ciebie też stracę, prawda?”.

„Może”.

„Ale bardziej tak niż może?”.

„Tak”.

„I dokąd pójdziesz?”

„Może ucieknę do Polinezji Francuskiej. Albo do twojego hipokampu”.

„Dlaczego?”

„Bo już dłużej nie będziesz mnie potrzebował”.

„To nieprawda”.

„Ale twój mózg mówi mi, że tak właśnie się stanie”. Na chwilę popadła w zamyślenie, a potem dodała z ironicznym uśmiechem: „Ale rób, jak uważasz”.

Zamknąłem oczy.

Matka zniknęła.

Wtedy po raz ostatni z nią rozmawiałem.

Trzy godziny później wciąż tkwiłem przy łóżku Poliny i wcale nie zamierzałem się z nią rozstawać. Uparcie zwilżałem jej usta i język, chociaż nie potrafiłem powiedzieć, kiedy ostatni raz sam coś piłem. Po wyjściu pozostałych pielęgniarek siostra Natalia próbowała coś na to zaradzić, proponując mi oranżadę, lemoniadę, oranginę oraz kilka gatunków butelkowanej wody mineralnej – towaru deficytowego w Mozyrzu na Białorusi. Zignorowałem te propozycje, nadal całkowicie skoncentrowany na Polinie. Kilka razy nie wytrzymałem i zasnąłem. Początkowo przyłapywałem się na tym, gdy tylko głowa zaczynała mi opadać, ale za ósmym razem obudziłem się dopiero, kiedy Natalia wyciągnęła szpatułkę z gąbką do zwilżania ust z gardła rzęzącej Poliny.

– Prześpij się – upomniała mnie. – W takim stanie jej nie pomożesz.

– To się nie powtórzy.

– Jak chcesz. Wiem, że jesteś zbyt uparty, żeby mnie posłuchać.

Miała rację. Ale była też mądrzejsza ode mnie. Znała mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że za chwilę głowa znowu mi opadnie. Wyszła więc z Czerwonej Sali, by poczekać, aż powieki zaczną mi ciążyć, a kiedy tak się stało, natychmiast wyjęła szpatułkę z mojej ręki, zgasiła światło i zostawiła mnie śpiącego, z głową wtuloną w szyję Poliny.

W takiej właśnie pozycji obudziłem się następnego dnia. Ostatniego dnia.

Dzień pierwszy

Śmierć Poliny Puszkin

Wtorek.

Wydaje mi się, że zbudził mnie odór raka.

Dzięki moim udawanym stanom katatonii wiedziałem już, że w środowiskach naukowych toczy się nawet debata na ten temat. Niektórzy twierdzą, że komórki rakowe nie mają zapachu. Inni, że zapach śmierci zależy tak naprawdę od konkretnej osoby, rodzaju pościeli, gatunku bandaży i gaz, środków czyszczących i antybakteryjnych mydeł używanych w tym konkretnym szpitalu, a wszystko to zmieszane z ogólnymi zapachami otoczenia i w ogóle miasta. Jeszcze inni upierają się, że same komórki rakowe mają swój niepowtarzalny, ostry zapach, trudny do opisanego, a jednak wyraźnie uchwytny. Tamtego poranka, kiedy umarła Polina, ten dyskurs został ostatecznie rozstrzygnięty, przynajmniej dla mnie. To nie był zapach szpitala, żadne mydło ani pościel czy jakikolwiek środek chemiczny nie mogły tak pachnieć. To było coś organicznego. Żywego. Ale też martwego. Przyciągało do siebie i jednocześnie odpychało. Słodki zapach rozkładu.

Odkaszlnąwszy wreszcie pokłady tego słodko-cierpkiego zapachu, który zebrał się w moich płucach, wróciłem do zajmowania się Poliną. Najpierw zauważyłem, że ostatecznie przegrałem moją walkę o to, by się nie odwodniła. Jej wargi przypominały teraz krajobraz marsjański – z czerwonymi dolinami, które przywodziły na myśl tektoniczne uskoki. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, bo kiedy na nie popatrzyłem, poczułem obrzydzenie.

Potem dostrzegłem opuchnięty język i oczy zapadnięte w tył głowy, tak że widać już było tylko same białka. Zwróciłem też uwagę na jej oddech, który zamienił się w jedną długą serię charczących wydechów, aż zacząłem się zastanawiać, jakim cudem może wydychać całe to powietrze, skoro w ogóle go nie nabiera, a potem przemknęło mi przez głowę, że przez szesnaście lat życia zgromadziła w swoim ciele ukryte zapasy tlenu, który teraz po prostu zwracała wszechświatowi. Ktoś bardziej duchowo usposobiony pewnie powiedziałby, że w ten właśnie sposób uchodzi z niej dusza, kawałek po kawałku, oddech za oddechem. Gdybym nie był racjonalny, pewnie

pomyślałbym tak samo.

Zwróciłem też uwagę na jej skórę, która była już niemal całkowicie fioletowoczarna, a na gładkiej dotąd głowie sprawiała wrażenie popękanej.

Przez szpitalną koszulę przebijały żebra, które przywodziły na myśl zmarszczki na powierzchni piasku, wystające spod niej nogi przypominały kije od miotły.

Bezwiednie zaciskałem palce na jej dłoni, bo tak naprawdę nie wiedziałem, co innego mógłbym robić.

Była 7.43.

Podczas gdy ja rejestrowałem wszystkie te szczegóły, dłoń Poliny stawała się coraz zimniejsza, jakby chciała przygotować mnie na to, co nadciągało. Potem ciało osiągnęło temperaturę krytyczną, a cała klatka piersiowa uniosła się w jednym długim, wysiłonym wydechu, podczas gdy kiedyś tak kształtne piersi stanowiły teraz jedynie lekkie wybrzuszenia na jej wyprężonej powierzchni. Trwało to ułamki sekund. Zaraz potem Polina opadła z powrotem na łóżko. Jej pierś nie uniosła się już ponownie. Popiskiwanie kardiomonitora umilkło. Przysunąłem policzek do jej spękanych ust, ale nic nie poczułem.

Żegnaj, moja Polino.

CZEŚĆ TRZECIA

Pożegnalna piosenka

I

Następstwa

W pierwszej chwili po odejściu Poliny pomyślałem sobie, że najlepiej by było, gdyby te warte miliony rubli maszyny, do których była podłączona, poinformowały pielęgniarki o jej śmierci, żebym ja nie musiał tego robić. Wpatrywałem się w jej puste oczy w równie martwej twarzy minuta za minutą, ale nikt nie nadchodził. Powiedziałem więc na głos:

– Dokonało się.

A potem odczekałem jeszcze kilka sekund. Nadal nikogo. Przemknęło mi przez głowę, że może nie powiedziałem tego wystarczająco głośno, więc powtórzyłem mocniej:

– Dokonało się!

I ciągle nic. Żadnej nerwowej bieganiny po szpitalnych korytarzach, stukotu obcasów pielęgniarek spieszących tu ze świetlicy – zwyczajnie żadnego z dźwięków, które zwykle towarzyszą śmierci. A może to głos odmówił mi posłuszeństwa? Postanowiłem powtórzyć po raz ostatni, pełen obaw, że na więcej nie zdołam się już zdobyć:

– DOKONAŁO SIĘ. W CZERWONEJ SALI LEŻY MARTWA DZIEWCZYNA. UWAGA: NATYCHMIAST ZABRAĆ MARTWĄ DZIEWCZYNĘ Z CZERWONEJ SALI.

Musiał towarzyszyć temu spory hałas, bo zacząłem wyszarpywać rurki z martwego ciała Poliny, a potem zrzuciłem jakieś monitory, zasypując całą podłogę warstwą rozbitego szkła. Najwyraźniej wreszcie udało mi się zbudzić wszystkich, bo w pokoju nagle zaroilo się od pielęgniarek, czyli dokładnie rzecz ujmując, zjawiły się tam Natalia, Ludmiła, Katia oraz Elena. No i oczywiście Michaił Kruk, mój ojciec.

Następna godzina upłynęła mi w jakiejś plątaniu momentów rozgrywających się to jak na przyspieszonym filmie, to niczym w zwolnionych obrotach. Wszędzie było pełno rąk, ciągnących za sobą smugi kondensacyjne, wyjmujących stetoskopy, a zaraz potem je chowających, wyciągających igły z żył, odłączających kroplówki, wyłączających monitory, zmiatających szkło z tych rozbitych, ścierających pot i żółć, rozbierających, a potem na powrót ubierających Polinę, przenoszących jej ciało na inne łóżko (takie

z kółkami), które zaraz zabrano w jakieś nieznane mi miejsce. Przez cały czas trwania tego tańca przypominałem nieruchomy rekwizyt, który wszyscy omijają, czyli było dokładnie tak samo jak przez całe moje dotychczasowe życie.

W którymś momencie kurtyna opadła, a jednak ja ciągle tam siedziałem. Dopiero Natalia spróbowała wyrwać mnie z tego otępienia.

– Iwanie? *Maja lubow’*? Gdzie się ukryłeś?

Sam tego nie wiedziałem. Za to wiem, że następnego ranka obudziłem się we własnym łóżku, dosłownie sparaliżowany. A trzy dni później, dokładnie trzy dni temu, zacząłem spisywać dla ciebie moją historię, mój drogi czytelniku.

*

Zegar wskazuje godzinę 5.55.

Piszę od siedemdziesięciu trzech godzin.

Jest szósty grudnia 2005 roku.

I tym sposobem wreszcie dotarłem do terażniejszości. To zdumiewające, że zdołałem przywrócić cię na tak długo do życia, moja najdroższa, by pozwolić ci na nowo umrzeć. W tym momencie najbardziej boję się tego, że cię zawiodłem. Że to wspomnienie o tobie nie okaże się godne dzieł Bułhakowa, Nabokova czy Tołstoja, już nie wspominając o tobie samej. Gdzieś w głębi ducha mam ochotę porwać te kartki na strzępy i zacząć wszystko od nowa. Ale jestem już taki zmęczony.

Właśnie zakończyłem skomplikowaną operację, w czasie której wyciąłem ze swojej duszy dwustukilogramowy guz, więc chyba nie mam ochoty wpychać go tam z powrotem. I jeśli mam być całkowicie szczery, nie wiem, czy to oczyszczenie było potrzebne mnie, czy może raczej tobie. Ale wydaje mi się, że teraz wreszcie będę mógł zasnąć. Naprawdę zasnąć. Jak kamień. To pragnienie powoli narasta gdzieś u podstawy mojego mózgu i rozprzestrzenia się na ciało migdałowe, a stamtąd dalej, aż do płatu potylicznego. Za kilka minut dotrze do oczu. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Natalia mnie przyłapała.

– Zmierzyłam cię, kiedy spałeś – oznajmiła, wdzierając się do mojego pokoju z nieposkromionym entuzjazmem. Ręce chowała za plecami, ewidentnie coś w nich trzymała.

– Długo spałem?

– Prawie cały dzień.

– I co zrobiłaś?

– Zmierzyłam cię.

– Po co?

– Żeby się upewnić, że się w to zmieścisz.

Wyciągnęła zza pleców czarny garnitur. Nogawki spodni zostały starannie podwinięte, tak by nie przyciągały uwagi do mojego kalectwa.

– Mam to włożyć?

– Oczywiście.

– Skąd to wzięłaś?

– A jakie to ma znaczenie?

– Bardzo duże.

– Z cerkwi.

– W takim razie nie ma mowy, żebym to włożył. Powinnaś lepiej mnie znać.

– Daj spokój. Zachowujesz się, jakby sam Pan Jezus uszył to ubranie. A tak naprawdę należało ono do chłopca, który teraz studiuje astrofizykę na uniwersytecie w Heidelbergu.

– W porządku.

– W porządku?

– Jak się tam dostaniemy?

– Minęło sporo czasu, odkąd Karl Benz wynalazł samochód.

– Przecież wiem.

– Więc czemu pytasz?

– Nigdy wcześniej nie jechałem samochodem.

– To zupełnie jakbyś siedział na łóżku, Iwanie. Tyle że się przemieszcza.

– Zrobiłaś się bardziej dowcipna.

– Zmieniłam gatunek kawy. A teraz szybko, ubieraj się.

Zwykle po takim dictum zaczynam się jeszcze mocniej opierać, ale tym razem, ku mojemu zaskoczeniu, wcale nie miałem ochoty się kłócić.

– Dobrze.

– Żadnego sprzeciwu?

– Wystarczy mi świadomość, że byłbym w tym pojedynku na słowa zwycięzcą.

Natalia sprawiała wrażenie zaskoczonej. Podejrzliwie zmarszczyła brwi, ale zaraz potem na jej twarzy wrócił pogodny uśmiech.

– W porządku, w takim razie wrócę za kwadrans zawiązać ci krawat – dodała na odchodne.

Rozłożyłem garnitur na łóżku i wśliznąłem się w niego, a potem poczołgałem się po podłodze, cały czas wyrzucając sobie w duchu, że nie pomyślałem o tym przed włożeniem odświętnego ubrania. Musiałem jednak się wysikać, a że długo nie opróżniałem pęcherza, trochę to trwało. I właśnie przy tej czynności spojrzałem w wiszące nad umywalką lustro. Zwykle tego nie robiłem, bo jak już wcześniej wspominałem, mam fobię na punkcie odbić. Tym razem jednak zdjęła mnie ciekawość,

bo ostatecznie po raz pierwszy w życiu miałem na sobie garnitur, nawet jeśli ze śladami kurzu na kłapach. Najpierw zauważyłem, że mam naprawdę koszmarną fryzurę, więc polizałem dłoń i spróbowałem jakoś okiełznać tę szopę włosów w odcieniu burego blondu. Na dodatek chwilę później uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy w życiu nie czuję kompletnego obrzydzenia na swój widok, chociaż zasługi należałoby w tym przypadku przypisać w większości garniturowi. Skończyłem opróżnić pęcherz, a potem poczołgałem się z powrotem do łóżka, żeby sprawdzić, która godzina. Zostały mi jeszcze tylko trzy minuty, bo siostra Natalia była naprawdę punktualna, jeśli chodzi o ubieranie się i pogrzeby. Postanowiłem wykorzystać tę wolną chwilę na zajrzenie do schowanej pod łóżkiem teczki i wyjęcie z niej pierwszej strony, tej z zamazanymi flamastrem fragmentami. Złożyłem kartkę i schowałem ją do kieszonki na piersi, jak widziałem to w filmach, choć sam nigdy tego nie robiłem, bo zwyczajnie dotąd nie miałem ubrania z taką kieszonką. Potrzebowałem na to dokładnie dwóch minut i dwudziestu sekund, więc w tych ostatnich czterdziestu sekundach, które mi zostały, pociągnąłem jeszcze parę łyków wódki, po czym wyjąłem pamiętnik Poliny i otworzyłem go na ostatniej stronie.

Kochany Iwanie!

Przestań czytać mój pamiętnik, bo ewidentnie masz z tym problem. Jeśli w przypadku duchów to w ogóle możliwe, będę za tobą tęsknić. Już nie mogę się doczekać, kiedy zacznę cię nawiedzać.

*Żyj.
Polina*

PS. Lepiej wykorzystaj tę walizkę. Nie masz pojęcia, jak trudno było zdobyć dziesięć tysięcy w tym parszywym szpitalu.

Potem do pokoju wpadła Natalia i rzeczywiście zabrała się do zawiązywania mi krawata. Stała naprzeciwko mnie, więc miałem okazję przyjrzeć się całej serii min, jakie robiła podczas tej skomplikowanej czynności.

– Trochę czasu minęło – mruknęła w końcu.

– Od śmierci twojego męża? – zapytałem, wstrzymując oddech, by nie wyczuła zapachu wódki.

– Aha, od jego śmierci – przytaknęła, a potem, po kilku kolejnych sekundach walki ze skrawkiem materiału, wreszcie przestała mnie szczypać w szyję i rzuciła: – No, udało się. Wyglądasz całkiem szykownie.

– Wiem.

Natalia wytoczyła wózek ze mną na korytarz i dalej, obok biurka panny Kristiny,

przez podwójne brązowe drzwi, aż wreszcie znaleźliśmy się na zewnątrz. Przystanęła, pewnie po to, żeby pozwolić mi się oswoić z przestrzenią, a może po prostu zmęczyła się już pchaniem wózka. Odgarnęła mi jeszcze włosy z czoła, po czym ruszyliśmy dalej, betonowym podjazdem aż na niewielki parking, na którym zostawiała auto.

– Co to za samochód? – zapytałem.

– Łada.

– Wygląda na starą.

– Bo taka jest.

Podjechała wózkiem do samochodu, ale nie nazbyt blisko, bo przecież potrzebowała miejsca, żeby otworzyć drzwi, które przypominały mi skrzydło pterodaktyla. Dopiero po ich uchyleniu przysunęła wózek do auta i spróbowała przełożyć mnie na siedzenie.

– Dam radę – rzuciłem.

– Wiem – odparła, w końcu mnie puszczając.

Oczywiście podczas próby ułożenia się na siedzeniu pasażera swoją starą metodą wicia się i czołgania spadłem z wózka i rozciąłem sobie podbródek o metalową ramę auta. A to oznaczało, że teraz musiałem już walczyć z dwoma moimi fobiami (agorafobia i krew).

– Słodki Jezu... – jęknęła Natalia, nachylając się, żeby podnieść mnie z ziemi.

– Poradzę sobie – upierałem się.

I rzeczywiście sobie poradziłem. Prawie. Nie do końca. Bo po raz kolejny się pośliznąłem i wyrznąłem nosem w koło. Znowu połała się krew, przed oczami stanęły mi świece.

– Nie rusz – rzuciłem na wszelki wypadek.

Natalia ani drgnęła.

Wreszcie po długich wysiłkach, które sprawiały wrażenie, jakbym musiał się wspinać na całkiem sporą górę, znalazłem się na przednim siedzeniu łady. Kiedy stało się jasne, że jednak się nie zabiję, Natalia złożyła wózek i schowała go na tylne siedzenie.

– Pas – przypomniała mi jeszcze.

Patrzyłem, jak błyskawicznie wślizguje się za kierownicę, zapina swój pas i uruchamia silnik.

– Mam tylko jedną rękę – rzuciłem.

Przyjrzała mi się uważnie, a potem lekko zmarszczyła brwi i sama zapięła mi pas. Po czym już bez słowa ruszyliśmy długim podjazdem prowadzącym od szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu w kierunku szosy – po raz pierwszy w moim życiu.

Prawie całą podróż na cmentarz odbyliśmy w milczeniu.

A było po temu kilka powodów.

Powód 1: Popatrzyłem na siostrę Natalię i przekonałem się, że zapadła w jakiś trans, może wróciła myślami do czasów, gdy żył jej mąż. Bałem się ją o to zapytać.

Powód 2: Złożona kartka w kieszonce na piersi zdawała się przepalać materiał na

wylot.

Powód 3: Czułem się niebezpiecznie bliski zarzygania całego samochodu Natalii za każdym razem, gdy tylko pomyślałem, że kiedy zatrzymamy się ponownie, pokażę jej tę kartkę.

W drodze na cmentarz musieliśmy pokonać dokładnie siedem zakrętów. Liczyłem, bo za każdym razem, gdy jakiś pokonywaliśmy, z trudem przełykałem soki żołądkowe podchodzące mi do gardła. Po dotarciu na miejsce zrobiło się jeszcze gorzej, bo cmentarz był pocięty siatką krętych piaszczystych drózek, mających umożliwić dostęp do każdego nagrobka, co niezbyt dobrze działało na mój żołądek. Natalia wreszcie otrząsnęła się z transu i przypomniała sobie, że siedzę z nią w samochodzie.

– To się nazywa choroba lokomocyjna, Iwanie. Dosyć powszechna przypadłość.

– Jak powszechna?

– Bardzo.

– To rzadko się zdarza, prawda?

– Owszem, ale przecież nigdy nie jechałeś samochodem.

Pozwoliłem jej wierzyć, że to rzeczywiście choroba lokomocyjna.

– Daleko jeszcze?

– Kilkadziesiąt metrów.

– Dlaczego wybrałaś właśnie ten cmentarz?

– Bo jest naprawdę ładny.

– I darmowy?

– Nie darmowy, ale tani.

– Darmowy.

– Nie, po prostu miejsce jest już opłacone.

– Kto za nie zapłacił?

– Mój mąż.

– Twój zmarły mąż?

– Zgadza się.

– Ale przecież on nie żyje.

– Kupił tę kwaterę jeszcze za życia.

– Czemu kupił grób, w którym nie zamierzał zostać pochowany?

– To było miejsce dla mnie.

Natalia zaparkowała, podczas gdy ja ciągle jeszcze nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia.

– Dlaczego nie miałabyś zostać pochowana obok swojego męża?

– Ależ właśnie miałam być. On też tu leży.

Natalia wskazała wykopany grób jakieś pięćdziesiąt metrów od auta. Obok stała już trumna, w której pewnie spoczywała Polina. Po drugiej stronie trumny znajdowała się płyta nagrobna.

– To twój mąż?

– Owszem.

– Polina będzie leżeć obok twojego męża w grobie, który był przeznaczony dla ciebie?

– Tak.

To jej proste „tak” wprawiło mnie w niepokój z kilku powodów. Po pierwsze, byłem wściekły, że Natalia robi coś takiego sobie i swojemu zmarłemu mężowi. Po drugie, bo podobna wielkoduszność nie pasowała do mojego świata. Więc rzuciłem pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy. Może nie było innego wyjścia.

– Czy Dimitrij był moim bratem?

Od tego momentu przypatrywałem się jej uważnie. Zareagowała chyba zupełnie szczerym zdumieniem. Sergiej Goglinow w swojej książce *Sztuka odczytywania twarzy* zdradza, że zdziwienie może przybierać rozmaite formy. To malujące się na twarzy Natalii było z gatunku: „Do licha, co mu strzeliło do głowy?”, w odróżnieniu od typu: „Skąd on o tym, do jasnej Anielki, wie?”. To rozróżnienie było naprawdę ważne i przemawiało na korzyść Natalii.

– Dimitrij nie miał brata, Iwanie. Ty też nie.

– Skoro tak twierdzisz.

Twarz Natalii się zmieniła. Moja ulubiona pielęgniarka była teraz ewidentnie wściekła, o czym świadczyły zmarszczone brwi i zaciśnięte usta.

– Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy, Iwanie? I lepiej się streszczaj, bo się spóźnimy na pogrzeb.

– A stąd.

Wyciągnąłem kartkę, a potem uważnie obserwowałem, jak Natalia ją rozkłada. Rozluźniła szczęki, zmarszczki na jej czole odrobinę się wygładziły. Teraz znowu była już tylko zaskoczona. Jej oczy, o lekko błękitnych twardówkach i tęczęwkach przechodzących od zieleni do pomarańczowego, biegały po kartce, jakby próbowała objąć wzrokiem cały tekst naraz. Dopiero po chwili jej oczy zaczęły się poruszać tradycyjnie, od lewej do prawej i z góry na dół. A potem, kiedy już skończyła czytać, wróciła do początku – do linijki z moim imieniem – i zaczęła od nowa. Chwilę to trwało, ale w końcu opuściła na kolana rękę, w której trzymała kartkę, i popatrzyła w niebo, zupełnie jakby próbowała się do czegoś dokopać, przywołać wspomnienia i złożyć tę historię w całość, łącząc maleńkie nutki jakiejś sekretnej symfonii, która czaiła się tuż pod powierzchnią jej pamięci.

W pewnym momencie rozchyliła lekko wargi, uniosła dłoń do ust, a potem popatrzyła na mnie z mieszaniną litości, gniewu i współczucia, przebaczenia, matczynej troski i determinacji, aż zacząłem się zastanawiać, jakim cudem jej mózg jeszcze nie eksplodował, skoro tyle się w nim dzieje.

– Och, Iwanie, na miłość boską...

Na jej policzkach, nie wiedzieć skąd, pojawiły się małe łzy, choć wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet na jotę.

– Chcę poznać odpowiedzi – rzuciłem. Twardo. Spokojnie. Stanowczo.

– Skąd to masz?

– O n a to znalazła. W gabinecie Michała. I nie zadawaj więcej pytań.

– W porządku.

– Kto o tym wiedział?

– Nikt nie był pewien – odparła Natalia.

– Ale...

– Ale parę osób miało pewne wątpliwości.

– Dlaczego?

– Bo któregoś dnia jedna z pielęgniarek nagle zniknęła.

– Ale nikt nie zadawał pytań.

– Nie zadawał.

– Dlaczego?

– Po prostu takich pytań się nie zadaje.

– Zasluguje na coś więcej. Zwłaszcza od ciebie.

– Wiem.

Łzy toczyły się po jej policzkach coraz szybciej.

– Znałaś moją matkę?

– Tak.

– Skąd ta pewność?

– Miała na imię Julia. Widzę „J” i „l” przebijające przez ten czarny flamaster.

Na potwierdzenie swoich słów podsunęła mi kartkę pod nos.

– Była pielęgniarką?

– Tak.

– Twoją przyjaciółką?

– Tak.

– Przysięgniesz, że o niczym nie wiedziałaś?

– Przysięgam – zdołała z trudem wydusić, bo jej twarz wykrzywił grymas, zupełnie jakby to krótkie słowo zamieniło się w zgniłe jabłko.

– Jaka była?

– Mądra, tak jak ty. I zawsze potrafiła mnie rozbawić. Jak nikt inny.

– Jak wyglądała?

– Miała wielkie błękitne oczy. Masz je po niej. Pamiętam, że zaczynała siwieć, chociaż była jeszcze młoda, ale dzięki tym szpakowatym włosom była jeszcze piękniejsza na swój sposób.

– Co się z nią stało?

– Więcej się do mnie nie odezwała.

- Nigdy?
- Tylko raz dostałam od niej z Leningradu krótki list.
- I co pisała?
- Że jest szczęśliwa.
- Bo ma rodzinę?
- Tak.

Coś ścisnęło mnie za gardło.

- Ile miała lat?
- Kiedy odeszła ze szpitala czy kiedy założyła rodzinę?
- I jedno, i drugie.
- Dwadzieścia trzy, kiedy odchodziła. Trzydzieści, kiedy przysłała mi ten list.
- Wiedziałaś, że była w ciąży?
- Tak.
- Powiedziała ci?
- Nie, domyśliłam się.
- Ale nie wiedziałaś, że to o n?
- Podejrzywałam. Jak my wszystkie.

Próbowałam pozbierać myśli, zanim zadam następne pytanie.

- Dlaczego po prostu się nas nie pozbył?
- Masz na myśli aborcję?
- Dokładnie.
- W tamtych czasach aborcja była łatwiej dostępna niż chleb. Ale ten Michaił, którego znam, nigdy by na to nie pozwolił. To najbardziej bogobojny babiarz, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Jak inaczej mógłby zostać dyrektorem najbardziej kościelnego szpitala w całym bloku wschodnim?
- Może być nas więcej?
- Pewnie tak.
- Więc czemu zatrzymał właśnie m n i e?
- Mogę się tylko domyślać, że to z powodu twojej choroby.
- No i?
- Wiadomo było, że będziesz wymagał leczenia. A do tego potrzeba pieniędzy i odpowiedniej historii – dwóch rzeczy, przez które mógł napytać sobie biedy. Jeszcze pojawiłyby się pytania o zaginione dzieci czy braki w kasie. – Siostra Natalia wstrzymała oddech w zamyśleniu, po czym podjęła wątek: – W szpitalu nie kosztujesz praktycznie nic. Więc mógłby udawać, że tak naprawdę nigdy się nie urodziłeś. Nawet jeśli naprawdę przykro ci to słyszeć, *maja lubow*'. – Próbowała mnie przytulić, ale ją odepchnąłem. – Synku...
- Mam ochotę go zamordować.
- Iwanie, nie jesteście jednej krwi.

– O niczym innym nie marzę, tylko o tym, żeby poderżnąć mu gardło.

– Iwanie, nie jesteś taki jak on.

Po raz pierwszy w całym swoim życiu popatrzyłem Natalii w oczy i jej nie uwierzyłem.

Bo byłem.

Byłem taki jak on.

Niezależnie od tego, co mówiły Natalia czy Polina.

Wiedziałem jednak, że wybór nie należy do mnie.

W końcu więc się poddałem i przycisnąłem głowę do jej piersi.

A potem zacząłem płakać.

Płakałem tak mocno, że nie mogłem złapać tchu.

A jednak ciągle przyciskałem się do Natalii, przez co jeszcze trudniej było mi oddychać.

Płakałem, aż wreszcie zabrakło mi łez.

Zachciało mi się pić.

A potem przypomniałem sobie, że przecież przyjechaliśmy tu pochować Polinę. I pomyślałem o tym, jak wiele straciłem w równie krótkim czasie.

– Chyba ją kochałem – powiedziałem, kiedy już byłem w stanie to zrobić.

– Ona też cię kochała.

– Może.

– Kiedyś coś o tym wspomniała.

– Co takiego?

– Powiedziała, że przy tobie zapomina o śmierci. Że ofiarowałaś jej lekarstwo na nią – samego siebie. I może na tym właśnie polega miłość, Iwanie.

– Może.

– Ja przynajmniej tak uważam.

– Chodźmy.

– Dobrze.

Natalia otarła twarze nam obojgu, a potem ruszyliśmy w stronę dziury w ziemi, w której miała spocząć Polina.

II

Pogrzeb

Na pogrzebie Poliny zjawily się cztery osoby: siostra Natalia, pop, kuzynka Natalii, Maria, oraz ja sam. Polina oczywiście też była obecna, ale znajdowała się w zamkniętej, pozbawionej ozdób trumnie, w jakich chowa się padłych na placu boju żołnierzy.

Pop, którego Natalia przedstawiła jako ojca Petrowa, długoletniego przyjaciela rodziny, rozpoczął ceremonię bez zbędnej zwłoki.

– Boże duchów i ciała wszelkiego, który śmierć zdeptałeś, szatana obezwładniłeś i darowałeś życie Twemu światu, sam Panie, daj odpoczynek duszy zmarłej Twej służebnicy, w miejscu światłości, w miejscu szczęśliwości, w miejscu pokoju, skąd uciekają boleść, smutek i westchnienie...

A ja mogłem myśleć wyłącznie o tym, jak bardzo śmiałyby się Polina na widok całej tej celebry. Na pewno natychmiast zaczęłyby dyskutować o zaletach i wadach ohydnych wąsów ojca Petrowa.

– Ze świętymi daj odpoczynek, Chryste, duszy zmarłej Twej służebnicy, gdzie nie ma cierpień, smutku i westchnień, lecz życie bez końca...

Te słowa jakoś mi nie pasowały do Poliny, nie stanowiły odpowiedniego ukoronowania jej życia, takiego, na jakie zasługiwała. Aż zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem był wcześniej przygotować sobie zestawu cytatów z jej ulubionych książek i piosenek. Moim zdaniem Tołstoj, Nabokov i Janis Joplin byliby w jej przypadku znacznie lepszymi prorokami. Polina na pewno by mi przytaknęła ze swojej trumny.

– „Przylgnęła do prochu moja dusza: Przywróć mi życie według Twego słowa!”⁵⁰.

A jednak taka celebra coś w sobie ma.

– „Odwróć me oczy, niech na marność nie patrzą; przez swoje słowo udziel mi życia!”.

Prawie potrafi człowieka zwieść.

– „Oto pożądam Twoich postanowień: według Twej sprawiedliwości zapewnij mi życie!”.

Przekonać, że jest coś więcej.

– „Sprawiedliwość Twoich napomnień trwa na wieki: daj mi zrozumienie, abym żył”.

Zacząłem się nawet zastanawiać, czy sam mógłbym dać się tak zwieść. Bo to było naprawdę cudowne uczucie.

– „Broń mojej sprawy i wybaw mię; według Twej mowy obdarz mię życiem!”.

Podjechałem do trumny i wśród protestów Natalii oraz ojca Petrowa uchyliłem wieko, by spojrzeć na Polinę, jakiej nie powinien oglądać świat.

Dziękuję ci, Polino. Teraz już nikt mnie nie zwiedzie.

Opuściłem wieko i pozwoliłem kapłanowi dokończyć ceremonię. A kiedy słowa wreszcie się wyczerpały, jacyś ludzie chwycili trumnę i złożyli ją do grobu.

Mam nadzieję, czytelniku, że do tej pory zdążyłeś już się przekonać, że w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu śmierć jest obecna praktycznie cały czas. Maleńkie rączki zjaw wciąż wyłaniają się ze ścian, jej zapach bezustannie atakuje moje nozdrza, wciąż zapycha mi nos. Ale paradoksalnie właśnie to zdążyło mnie przygotować na widok bezwładnego, sinego, pozbawionego życia worka kości, którego pocałunki jeszcze kilka dni temu były tak ciepłe. Jeśli mam być szczery, Polina to jedyna istota, której kiedykolwiek pozwoliłem stać się w tym moim świecie realną. Matka (ta nawiedzająca mnie w myślach) miała rację. Mój opór przed zaakceptowaniem śmierci Poliny dał życie pewnej przerażającej myśli. Zakradła się do mojej głowy nieproszona i tak pełna buty natychmiast się tam zagnieździła: A jeśli moja ukochana Polina wcale nie umarła? Jeżeli z powodu jakichś anomalii po prostu zapadła w niewytłumaczalną śpiączkę? A jeśli moja ukochana Polina zbudzi się na długo po tym, jak ją pochowają? Wyostrzona po latach pozbawionego bodźców życia wyobraźnia natychmiast podsunęła mi stosowny scenariusz. Polina otwiera oczy w ciemnej, zimnej celi, z pachnącym cierpko sosną wiekiem zaledwie parę centymetrów od swojej twarzy. Po kilku sekundach dezorientacji zaczyna się zastanawiać, czy to wszystko nie jest przypadkiem kolejnym przerażającym snem. Gdy jednak uświadamia sobie, że to prawda, przerażenie ściska jej serce. Może ogarnia ją klaustrofobia, a może uczucie przemożnej samotności. Pewnie wpadłaby też w panikę. Zaczęłyby kopać i walić pięściami w wieko, drapać solidne deski, by wreszcie uświadomić sobie, jak ciasne jest jej więzienie. A jednak walczyłyby nadal przez jakąś minutę, choć z jej perspektywy czas zdawałby się ciągnąć w nieskończoność. A potem nagle by znieruchomiła. W końcu dotarłaby do niej beznadziejność jej położenia. Zrozpaczony układ sympatyczny wreszcie musiałby zaakceptować fakt, że w takiej sytuacji wybór pomiędzy ucieczką a walką nie ma żadnego zastosowania. Leżałaby więc już tylko, zdjeta strachem i rozpaczą, dopóki by się nie udusiła.

Zaraz za tą przerażającą wizją pojawiła się kolejna myśl – wyrosła z niej niczym kwiat z ziarna. Może w tej strasznej chwili samotności Polina przypomniałaby sobie

swoje ostatnie świadome momenty, może dlatego, że były tak świeże w pamięci, a może dlatego, że w porównaniu z tym, co akurat by przechodziła, okazałyby się tak cudowne. Może ogarnęłyby ją wspomnienia naszej wspólnej nocy. I to poczucie odrealnienia, którego wtedy doświadczyliśmy. A może pomyślałaby o naszym pocałunku. I może właśnie to wspomnienie stałoby się całym jej światem, podczas gdy jej ciało, cząstka po cząstce, szykowałoby się na prawdziwą śmierć. I może zabrałaby ten obraz ze sobą i dalej, w tę przyszłość, której żadne z nas nie potrafiło sobie wyobrazić, a o której powinna przecież myśleć w tym zimnym, samotnym grobie. I może jednak umarłbym razem z nią.

[50](#) Fragmenty psalmu 119 za Biblią Tysiąclecia. Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1989, s. 682–688 (przyp. tłum.).

III

Podróż powrotna

Odbyła się w milczeniu.

Nie czuliśmy się jednak skrępowani. Było to dla nas oczyszczające doświadczenie.

Wpatrywałem się w twarz siostry Natalii na tyle długo, by zorientować się, że choć nie odrywała wzroku od drogi, wciąż myślała o mnie i Polinie, o Michaile i o swoim mężu, i o mojej matce, która najwyraźniej miała na imię Julia. Wszystkie te postacie wirowały w jej głowie jak na wielkiej karuzeli – widziałem nasze niedorzeczne twarze odbijające się w jej oczach.

Ja natomiast rozmyślałem o zwyczajach godowych pingwinów, o zaletach i wadach obrzezania i o tym, że antybiotyki są w powszechnym zastosowaniu od niecałych stu lat, więc dla facetów z dziewiętnastego wieku rzeźączka musiała być czymś naprawdę strasznym. Myślałem o tym, jakim cudem wczesnym człowiekowatym udało się przetrwać syberyjskie mrozy bez całej tej naszej współczesnej technologii, no i w ogóle o wszystkim, co pozwalało mi nie myśleć o ostatnich stu godzinach mojego życia.

Na szczęście, zanim skończyły mi się tematy do rozmyślań, dotarliśmy do szpitala. Ledwie dostrzegłem jego brudnobiałą fasadę, ledwie doleciały mnie głosy pielęgniarek i pokrzykiwania pozostałych pacjentów, wylewające się przez otwarte okna, a już poczułem się ciężko chory. Ale w tym najcudowniejszym sensie. Jakoś udało mi się zapanować nad falą mdłości, a potem rozejrzałem się wokół, popatrzyłem na las i trawę, i nagle uświadomiłem sobie, że ta otwarta przestrzeń już mnie nie przeraża. A to oznaczało, że po raz pierwszy w całym swoim życiu wolałbym pozostać na zewnątrz, zamiast wchodzić do środka.

Siostra Natalia w milczeniu wyciągnęła z auta wózek i pomogła mi się na niego przesiąść, a następnie ruszyliśmy niebrukowaną ścieżką w stronę ciężkich podwójnych drzwi. Ja miałem na powrót zanurzyć się we wszystkich tych wspomnieniach, które odtąd będą mnie nawiedzać, ale Natalia czuła chyba zupełnie inaczej, bo zmierzała w stronę szpitala o wiele zbyt rażnym krokiem, a na jej twarzy, o odrobinę obwisłych policzkach, malowała się wręcz niepokojąca determinacja. Kiedy już raz złamaliśmy

pieczęć, ta intensywność emocji nawet na moment nie słabła.

Natalia poprowadziła mój wózek w głąb korytarza, obok stanowiska panny Kristiny („Dzień dobry, Natalio”), coraz szybciej i szybciej, przez świetlicę, gdzie bliźniaczki właśnie budowały zamek z poduszek, Dennis kołysał się niczym żywe wahadło zegara, Alex rozsmarowywał sobie czekoladę po całej twarzy, zaś kilkoro dzieciaków z dziurawymi sercami po prostu siedziało bez ruchu, z ponurymi minami, starając się unikać wszystkiego, co mogłoby podwyższyć ich tętno, obok Czerwonej Sali, gdzie nie został już nikt umierający, aż do damskiego skrzydła i wreszcie do pokoju Poliny. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zatrzasnęła drzwi.

– Natalio? – zapytałem.

Wcisnęła swoje pulchne ciało w ciasną przestrzeń pod łóżkiem, niemal je przy tym unosząc. Szukała i grzebała, by wreszcie wyciągnąć na światło dzienne walizkę. Moją walizkę, tę kapsułę ratunkową, którą stworzyła dla mnie Polina. I tę właśnie walizkę Natalia położyła teraz na moich kikutach.

– Powiedz jedno słowo, a już nas tu nie ma – rzuciła. – Ale to musi być twoja decyzja.

– Dokąd miałbym pójść?

– Ze mną.

– Do twojego domu.

– Do mojego domu.

– A Michaił?

– Ja się nim zajmę. – Pokój zawirował, kiedy moje serce zaczęło tłoczyć całą krew, jaka jeszcze pozostała w moich żyłach (tę, której nie oddałem Polinie), do najdalszych części mojego ciała – palców, kikutów ud i płatków uszu. A potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego właściwie tak bardzo się boję. Natalia musiała czytać w moich myślach, bo natychmiast stwierdziła: – Wtedy twoje życie będzie należeć wyłącznie do ciebie. Ale to samo będzie dotyczyć rozpacz i cierpienia. Nic nie będzie już należało do Ludmiły, Michaiła czy do państwa. – Wiedziałem, że ma rację. Coś takiego powiedziała mi pewnie teraz moja matka (ta wymyślona), gdyby ciągle tu była. Te słowa padły jednak z ust realnego, żywego człowieka, co komplikowało sprawę. – Iwanie, jeśli chcesz uczynić ich strażnikami swojego nieszczęścia, na pewno...

– Nie – wyrzuciłem z siebie to jedno słowo niczym kulę.

– Co takiego? – zdziwiła się Natalia.

– Powiedziałem: nie.

– Ale co „nie”?

– Czy masz telewizor?

– Iwanie, dzisiaj wszyscy mają telewizor.

– A barszcz?

– Co niedzielę.

– W takim razie w porządku.

Ze zwinnością, niezbyt pasującą do jej wieku czy kondycji, Natalia wypchnęła mój wózek z powrotem na korytarz. W ostatniej chwili zdążyłem przytrzymać walizkę, która o mało nie spadła przy tym gwałtownym ruchu na podłogę. Ale kiedy już Natalia zaczęła pchać, nie zamierzała się zatrzymywać. Mknęliśmy po pokrytej linoleum podłodze. Znowu przez świetlicę z menażerią moich przyjaciół mutantów, obok biurka panny Kristiny w recepcji („Do zobaczenia, Natalio, do zobaczenia, Iwanie”), przez podwójne brązowe drzwi.

I znowu łąda Natalii, trzydzieści kilometrów drogi aż do niewielkiego miasteczka na przedmieściach Mozyrza, przy ulicy Wostok. Przez urocze czerwone drzwi wejściowe, przez salon o ładnym, choć nieco już przestarzałym wystroju, przez jadalnię aż do pokoju gościnnego, który najwyraźniej odtąd miał należeć do mnie, bo był już przygotowany na moje przyjęcie – wyposażony w duży regał pełen klasyków rosyjskiej, jak również francuskiej i amerykańskiej literatury oraz podręczników z najprzeróżniejszych dziedzin, od medycyny po fizykę kwantową. Ściany ozdabiała plakaty przedstawiające rozmaite zjawiska astronomiczne, portrety Jamesa Joyce’a i Franza Kafki.

A potem Natalia wyjaśniła:

– Miałam nadzieję, że któregoś dnia tu zamieszkas. Po prostu nie wiedziałam, kiedy to nastąpi.

Skinąłem na nią, żeby do mnie podeszła, bo nie byłem w stanie wydusić z siebie nawet słowa, a kiedy przysunęła się bliżej, ucałowałem ją w policzek. Potem poprosiłem, żeby dała mi chwilę na wyjęcie pamiętnika i spisanie tego wszystkiego, co właśnie mi się przytrafiło. Co niniejszym czynię.

Iwan Isajenko
6 czerwca 1987 – 10 czerwca 2008
Mozyrz, Białoruś

EPILOG

Potomków dawnych mieszkańców Prypeci prześladują upiory. Ukrywają się wewnątrz każdego plemnika i każdej komórki, czają w umysłach, by wedrzeć się w każdą myśl, splamić każdą iskierkę nadziei. Tutaj radość narodzin i zachwyty pierwszej miłości nie mogą pozostać prawdziwie niewinne. Niektórzy nazywają to bombą z opóźnionym zapłonem, choć nikt nie ma pojęcia, na którą godzinę ustawiony jest jej zegar.

Iwan Isajenko ostatecznie skończył swoją walkę z upiorami 10 czerwca 2008 roku. Sześć miesięcy wcześniej zdiagnozowano u niego chłoniaka nieziarniczego, jeden z najczęstszych demonów Prypeci. Trudno przecenić fakt, jak bardzo gorzka okazała się ta pigułka, kiedy poznaliśmy już zakończenie historii Iwana.

Jeśli nie liczyć jego zgonu, niewiele wiemy o tym, jakie życie wiódł Iwan po opuszczeniu szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu – poza kilkoma optymistycznymi szczegółami. Iwan mieszkał z Natalią Beneszenko przez prawie dziewiętnaście miesięcy, zanim ostatecznie przegrał swoją walkę. Natalia Beneszenko zrezygnowała z pracy w szpitalu dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzu wkrótce po przeprowadzce Iwana. Wiadomo również, że przez te dziewiętnaście miesięcy pobytu poza murami szpitala Iwan opublikował dwa opowiadania, jedno w „Kronice Mozyrza”, zatytułowane *Дважды*⁵¹, drugie w czasopiśmie wydawanym przez Białoruski Uniwersytet Państwowy, zatytułowane *Клепк*⁵². Odwiedził również grób swojego mistrza, Vladimira Nabokova, w Montreux w Szwajcarii podczas wycieczki objazdowej po krajach Europy Zachodniej.

Natalia Beneszenko pochowała Iwana na tym samym cmentarzu, na którym spoczywa jej mąż, tuż obok Poliny Puszkina.

Historia Iwana kryje w sobie tyle tematów, ile ma stron. To jednocześnie i romans, i opowieść o mrocznym dziedzictwie sowieckiego eksperymentu, to próba dyskusji na temat etyki w medycynie, wyrzut przeciwko hipokryzji religii, przestroga, by nigdy nie rezygnować z marzeń ze strachu przed porażką. Ale przede wszystkim to opowieść o życiu jednego człowieka, które choćby najbardziej błahe i krótkie, może tak wiele w sobie kryć. Mamy nadzieję, że czytelnicy zdołają zatrzymać się na chwilę w biegu, by docenić ten fakt.

[51](#) Z rosyjskiego „dwukrotnie”.

[52](#) Z rosyjskiego „kancelista”, „urzędnik”.

PODZIĘKOWANIA

Gdyby nie wymienione poniżej osoby, ta książka nigdy by nie powstała albo to nie ja byłbym jej autorem.

Victoria Sanders – Victorio, pewnie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale Ty sama nauczyłaś mnie o pisaniu więcej niż jakakolwiek inna osoba na świecie. Cieszę się, że mam Cię po swojej stronie.

Jen Enderlin, wymarzona redaktorka, dzięki której opowieść o Iwanie w ogóle mogła powstać. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszej osoby, z którą miałbym dzielić radość tworzenia.

Bernadette Baker-Baughman, mój dobry duch, dzięki któremu nie wstydę się zadawać najbardziej nawet niedorzecznych czy naiwnych pytań o ten niesamowity, nowy dla mnie świat wydawniczy.

Linda Stambach – dzielnie wspierająca mnie w pogoni za najbardziej nawet szalonymi marzeniami, jakie roją mi się w głowie, odkąd skończyłem pięć lat.

Shawn i Nicole, najcudowniejsze rodzeństwo pod słońcem.

Najlepsi kumple z boiska: Ryan Begley, Bill Kalish, Danny Trout, Matthew Elish. Kim byłbym bez Was?

George and Donna Lightsey, moi rodzice z Zachodniego Wybrzeża – pewnie nigdy się nie dowiecie, jak bardzo jestem Wam wdzięczny za niegasnącą miłość i noc Wielkiego Wýbuchu.

Stacey Keating, moja bratnia dusza, moralna busola, współzałożycielka Noetic i milion innych ważnych rzeczy w moim życiu.

Cat White, dziękuję za przeczytanie pierwszych niewprawnych jeszcze wersji tekstu. I za przyjaźń.

Anna Chiles, koleżanka z pracy, która nieustannie przypomina mi, że zawsze należy walczyć o to, by każdego dnia stawać się kimś lepszym.

Lucy Boulatnikov, za cierpliwe sprawdzanie rosyjskich słówek – w tej powieści jest tak wiele z Ciebie.

Tania Jabour, moja cudowna przyjaciółka – ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie Six Flags w 2013 roku.

Paul Temple, mój brachol i chyba najbardziej życzliwy człowiek na świecie.

Mike Anderson – za całe lata inspiracji, wsparcia i niekończące się rodaków

rozmowy.

Jon Yu i Matt Ortiz, moi kumple z Sets.

Na podziękowania zasłużyli także wszyscy, którzy czytali moje wcześniejsze próby i zachęcali mnie do dalszego pisania: Matt Martin, Mike Heyd, Isaac Rivera, Kennadi Yates, Sarah Dear, Ady Sukkar Kayrouz, Isabella Miranda, Samira Kester, Miriam Tullgren, Erin Duarte, Alejandra Torrero, Deborah Kutyla, Daniel Cordello, Jyothsna Konda.

Wszyscy moi nauczyciele – za całą wiedzę, jaką mi przekazali.

Wszyscy cudowni, szaleni, pełni zapału uczniowie z High Tech High, Mesa, City oraz Grossmont, których miałem kiedykolwiek okazję zanudzać gadkami na temat fizyki i kosmosu. Kiedy patrzę na świat Waszymi oczami, staję się lepszym pisarzem.

Przepraszam, jeśli kogoś pominąłem, ale przecież i tak wiecie, że Was kocham. Po prostu kiedy zbliża się termin oddania tekstu, człowiek traci głowę...

Spis treści

PRZEDMOWA

CZĘŚĆ PIERWSZA. Lista obecności

- I. Znieczulenie Iwana Isajenki
- II. Spektrofobia
- III. Dzień, w którym zyskałem świadomość
- IV. Chłopak w śpiączce
- V. Dzień z życia Iwana Isajenki
- VI. Mieszkańcy szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu
- VII. Krwawiący, Niekrwawiący oraz Polina Intruz
- VIII. Trzymiesięczniacy
- IX. Personel szpitala dla ciężko chorych dzieci w Mozyrzcu
- X. Jungowskie archetypy
- XI. Doktor Michaił Kruk, dyrektor
- XII. Mój terapeuta, doktor nauk medycznych Arkady Jakowlew
- XIII. Moja matka
- XIV. Początki
- XV. Chemofryzura Poliny
- XVI. Mój chuj
- XVII. Sarkofag
- XVIII. Iwanizm
- XIX. Pamiętnik Poliny
- XX. Przypadek wymagający diacetylomorfiny

CZĘŚĆ DRUGA. Odliczanie

- Dzień dwudziesty pierwszy. Otrzęsiny i wtajemniczenie
- Dzień dwudziesty. Dzień, w którym dołożyliśmy swoją cegielkę do wychowania Maxa
- Dzień dziewiętnasty. Wieczór gier
- Dzień osiemnasty. Dzień pustki
- Dzień siedemnasty. Gwiazdy i schody
- Dzień szesnasty. Retrospektywna biografia Iwana Isajenki
- Dzień piętnasty. Magiczny autobus szkolny Poliny

Dzień czternasty. Dzień Janis Joplin

Dzień trzynasty. Dzień, w którym uciałem sobie pogawędkę z dyrektorem

Dzień dwunasty. Dzień Snu

Dzień jedenasty i dziesiąty. Płacz z Nabokovem

Dzień dziewiąty. Braterstwo krwi

Dzień ósmy. Organiczna kraina cudów

Dzień siódmy. Дзень я закахаўся ў

Dzień szósty. Cienkie zielone teczki

Dzień piąty. Dysocjacja

Dzień czwarty. Goodbye, Yellow Brick Road

Dzień trzeci. Dzień walizki

Dzień drugi. Dzień majaków

Dzień pierwszy. Śmierć Poliny Puszkina

CZĘŚĆ TRZECIA. Pożegnalna piosenka

I. Następstwa

II. Pogrzeb

III. Podróż powrotna

EPILOG

PODZIĘKOWANIA